



[ *Klasyka gatunku.  
Literacki majstersztyk.* ]

**Ramiro Pinilla**

**JESZCZE  
TYLKO JEDEN  
NIEBOSZCZYK**

**Media Rodzina**

**Ramiro Pinilla**  
**JESZCZE**  
**TYLKO JEDEN**  
**NIEBOSZCZYK**

Tłumaczyła  
Aleksandra Wiktorowska

**Media Rodzina**

Romowi P. Girce<sup>1</sup>, mając w pamięci jego  
*Misterio de la pensión Florrie* (1944)

1. Romo P. Girca, pseudonim literacki Ramira Pinilli, który opublikował pod nim w 1944 roku swoją debiutancką powieść sensacyjną, *Misterio de la pensión Florrie* [Tajemnica pensjonatu Florrie]. (Wszystkie przypisy pochodzą od tłumaczki). ↪

## Stara sprawa dla nowego Samuela

Moje podeszwy ciągną się po plaży w kierunku morza. Ręce z pogardą trzymają mały pakunek, który chwilę wcześniej odebrałem z poczty w Algorcie – to rękopis mojej ostatniej i decydującej powieści, odrzucony przez kolejne wydawnictwo. Spotkał go ten sam los, co piętnaście poprzednich. Tym razem to była ostatnia próba. Chyba wystarczy? Jestem pewien, że przekroczyłem już cienką czerwoną linię, która ostrzega o braku pisarskiego talentu.

Tylko buzująca we mnie krew burzy panujący dookoła spokój. Nie przeszkadza mi to rozejrzeć się po plaży w poszukiwaniu odpowiedniego kamienia, dzięki któremu ów pakunek spotka los, na jaki zasługuje. I skończą się raz na zawsze moje obsesyjne poszukiwania tej wyjątkowej powieści kryminalnej, której blasku przydawałyby „whisky z wodą sodową”, „ktoś musi zostać na miejscu, żeby zliczyć ciała”, „uderzyłem go w podbródek, wymierzając cios poparty moimi stu dziewięćdziesięcioma funtami wagi”, „zamordowany był chudym młodzieńcem, do niedawna wyglądającym jeszcze całkiem nieźle”... Co za styl! Kim jestem ja obok takich Hammettów, Chandlerów, Cainów, Himesów, Amblerów i całego tego Olimpu? Nawet sobie nie odpowiadam. Staram się ich naśladować od lat, czytam ich książki na wrywki, przed zaśnięciem powtarzam sobie ich doskonale frazy, zniekształcam swoje dni po to, aby żyć w ich świecie... Próżny trud, żeby czymkolwiek się od nich zarazić. Jeżeli te ostatnie linijki nie brzmią tak fatalnie, to tylko dlatego, że obok wymienilem wielkie nazwiska autorów tych zdań. To nie pierwszy raz, już parokrotnie byłem bliski, żeby ochrzcić jednego ze swoich bohaterów Chandler albo Cain, tylko po to, by odnaleźć ich na kartach mojej powieści i wzbogacić własny twór magią ich brzmienia. Jeżeli nigdy tego nie zrobiłem, nie pozwoliły mi na to resztki przyzwoitości.

Podnoszę z piasku odpowiedni kamień, wyciągam z kieszeni sznurek i formuję pakunek z ciężarkiem. Trzymam go w prawej ręce, by cisnąć nim daleko, niczym atleta dyskiem. Po smutnym locie zatonię w morskich odmętach i położę kres mojemu uporowi. Szesnastokrotne rozpoczynanie pierwszej strony od rozdziału pierwszego, szesnastokrotne stawianie ostatniej kropki, szesnaście odrzuceń! Między dwustu pięćdziesięcioma a trzystu stronami – im wystarcza ta objętość, żeby skonstruować porywające historie. Czy istnieje jakieś lekarstwo na moje rozwlekłe rozpisywanie się? Niestety, kiedy staram się pisać zwięźlej, treść przypomina bardziej telegram. Chodzi mi o to zdanie powyżej: „Po smutnym locie zatonię w morskich odmętach”. Oni piszą trzewiami, ja limfą.

Nie wiem dlaczego, ale mój wzrok zatrzymuje się na majaczącej w oddali po prawej stronie skale, która wyłoniła się w czasie odpływu. Nazywamy ją skałą Felixa Apraiza. U dołu znajduje się metalowy hak, do którego ktoś przywiązał łańcuchem szyje bliźniaków Altube, żeby utopili się w czasie przyływu. Ten epizod wydobył Getxo z odrętwienia. „Wydobył Getxo z odrętwienia” – to zdanie ma pazur, odpowiednią siłę i ekspresję. Myślę, że sam Hammett mógłby się pod nim podpisać. Ciekawe, że przyszło mi do głowy... w tym momencie.

Widok skały wstrzymuje mój rzut. Poza tym wcale nie jest łatwo skończyć w tak okrutny sposób ze złudzeniem trwającym połowę życia. Choć wiem, że po moim powrocie Koldobike powie: „Nareszcie, sieroto!”. Koldobike pracuje u mnie w księgarni. Po czym doda: „Teraz możesz poszukać sobie jakiejś dziewczyny”... Te zdania nie są za bardzo w stylu Chandlera ani

Hammetta, ani Caina... Są za bardzo w moim stylu!

Z determinacją znów ściskam pakunek.

To zabójstwo – śmierć braci Altube – nigdy nie zostało wyjaśnione. W rzeczywistości nie zginęli obaj. Eladiowi cudem udało się ująć z życiem – kiedy Antimo Zalla przybył na miejsce z piłą do metalu, woda sięgała mu już oczu, a z ust i nosa uchodziły bąbelki topielca... Podobają mi się te „bąbelki topielca”. Ciekawe.

Koldobike ośmieliła się powiedzieć mi dawno temu: „Opowiadasz historie kompletnie nijakie, jak ta o porywaczach dzieci, którzy zwracali je nie tym rodzicom, co trzeba. »To nie jest mój syn«, protestował ojciec. A porywacz krzyczał coraz głośniejsze: »A żeby to wszyscy diabli! Kolejna fuszerka Jamesa! Niech pan idzie na Tal Street, gdzie jest ojciec z synem, który też nie jest jego...«. Pierepałki rodziców wymieniających swoje dzieci po całym Nowym Jorku”. Samuel Esparta, mój prywatny detektyw, złapał porywaczy na pożyczone dziecko, sam ukrywając się na karuzeli... Cała ta historia znajduje się w powieści numer dziewięć. Samuel Esparta pochodzi od Sama Spade’a.

Tego ranka do Etxego dotarły rozpaczliwe krzyki, jak się okazało, ostatnie dla jednego z bliźniaków. Etxe ruszył biegiem w jego stronę, najpierw po plaży, a potem po kamieniach, słysząc cały czas wrzaski Eladia, który dławiąc się wodą, wołał: „Uwolnij mnie!”... Fale, które nie były jeszcze tak duże, ale zwiastowały stale podnoszący się poziom morza, uderzając w Eladia, zalewały mu usta. Nie brzmi najgorzej to o „dławieniu się wodą”, chociaż może cały ten dokładny opis, który następuje później, jest niepotrzebny. Ciekawe, że sam to zauważyłem.

Koldobike ostatnimi czasy stała się nieubłagana. „Cóż to za historia! Kobieta zjawia się w biurze Samuela i zleca mu śledzenie swojego męża, którego podejrzewa o zdradę, po czym zapada się pod ziemię. Wtedy Samuel zwraca się do jej męża, żeby zapłacił mu po dwadzieścia pięć dolarów za każdy dzień plus wydatki, a ten ostatni wpada w gniew, ale w końcu wynajmuje Samuela, żeby odnalazł żonę i jej kochankę, a wówczas kochanek żony uwodzi kochankę męża i następnie to oni, każdy na własną rękę, wynajmują Samuela, żeby śledził to drugie, i wtedy powraca żona, która pierwsza wynajęła Samuela, i nakazuje mu, żeby śledził całą trójkę, jej męża, jego kochankę i jej własnego kochanka, a Samuel mówi, że teraz pracuje już dla kogoś innego, a poza tym że jest mu winna wiele dniówek po dwadzieścia pięć dolarów plus wydatki, a kobieta nazywa go dusigroszem, ale mu płaci, i wówczas Samuel nie wie, którym ze swoich licznych klientów ma się zająć, ale wszystko się wyjaśnia, gdy ktoś morduje męża i nikt nie prosi go, żeby szukał sprawcy, i Samuel na końcu domyśla się, że zabili go we trójkę, i tak kończy się historia”. Historia, o której opowiada numer dwanaście, dobrze je wszystkie pamiętam... Jeżeli tym, co mi nie wychodzi, jest treść, powinienem winić własny brak wyobraźni. Akceptuję to ze wszystkimi konsekwencjami, teraz kiedy jestem o krok od zarzucenia mojej przekłętej kariery.

Nie mogę oderwać wzroku od tej skały z hakiem. Przyniósł go i solidnie zamocował Félix Apraiz, żeby przywiązywać do niego swoje takle, i odkąd to zrobił, skała nosi jego imię. Naturalnie nie kupił jej od nikogo, nie miał żadnej zgody Rady Miejskiej, ale było tak, jakby wypełnił i podpisał wszystkie papiery notarialne, nikomu z Getxo nie przyszło bowiem odtąd do głowy mocować swoich sieci do tego haka, mimo że było to świetne miejsce na połów ryb... Chociaż nie dostrzegam jeszcze haka, a widzę jedynie skałę, która należy do tych większych, jestem pewien, że hak dalej tkwi na swoim miejscu. Nigdy nie słyszałem, żeby ktoś lub coś – taki na przykład sztorm – go wyrwały. Jeżeli mówię „jeszcze”, to dlatego, że kieruję się teraz w tamtą stronę.

W rękę trzymam dopiero co odesłany pakunek z poczty. Jest przytwierdzony do kamienia i okręcony co najmniej osiem razy sznurkiem. Nie chcę przytaczać więcej wynurzeń Koldobike na temat moich powieści. Możliwe, że atakowanie mnie w ten sposób nie sprawiało jej

przyjemności, ale musiałem go słuchać za każdym razem, kiedy odsyłano mi kolejny rękopis. W tym momencie Koldobike jeszcze nie wie, że już nigdy więcej nie będzie miała powodów, żeby się mnie czepiać. Ale jestem przekonany, że ucieszy się ze względu na mnie, kiedy powiem jej o podjętej decyzji.

To niezupełnie prawda, że nikomu nie przyszło do głowy, żeby korzystać z haka Felixa Apraiza. Robili to bezczelni bliźniacy Altube. Przywiązywali do niego swoje własne takle w czasie odpływu... zawsze kiedy Felixa Apraiza nie było w pobliżu. Chociaż krążyły i pogłoski, że przywiązywali swoje takle do tego żelastwa nawet tuż obok takli właściciela, zważając przy tym, żeby odcepić je, zanim on pojawi się po swoje, to znaczy, przed nadejściem kolejnego odpływu. Odwiązywali jedynie swoje takle ze złapanymi na haczyki rybami czy zabierali też połów Felixa Apraiza? Nic dziwnego, że to na niego padły oskarżenia o morderstwo, chociaż nie tylko on miał powody, żeby dać bliźniakom srogą nauczkę. W Getxo uważano ich za nienasyconych krwiopicjów... Podobają mi się ci „nienasyceci krwiopicjcy”, nigdy wcześniej nie przyszło mi do głowy, żeby tak ich nazwać. To trafne i mocne określenie... Ciekawe, że w ostatnich minutach przychodzą mi do głowy podobne sformułowania...

Piasek na tutejszej plaży w Arrigunaga nie jest drobny i biały, ale raczej ciemny i gruboziarnisty, a dzieje się tak dlatego, że w pobliskiej hucie palą koksem, który następnie z łodzi rybackich wysypują do morza, a prądy wynoszą go na brzeg. Ludzie mieszkający nieopodal zbierają go, to ich dodatkowy połów – może się jeszcze przydać, bo służy im jako opał. W każdym razie bliźniacy Altube mieli też w zwyczaju przywłaszczać sobie stosiki tego nalotu, które każda rodzina składowała na plaży. Byli z nich, tak, nienasyceci krwiopicjcy.

Morderstwo zostało popełnione w tysiąc dziewięćset trzydziestym piątym roku i przypuszczam, że jeśli nie odnaleziono winnego, to dlatego, że nie chodziło o przestępstwo polityczne. Później Franco powiedział zapewne: „Tym Baskom nie będzie brakowało jednego ze swoich, tylu ich teraz potracili”. Policja, władze miasta i sędziowie nie zrobili właściwie nic, cztery pytania i po sprawie. Zatem dzisiaj, w tysiąc dziewięćset czterdziestym piątym, w dalszym ciągu gdzieś tutaj pęta się morderca. Dlaczego wszyscy, w tym i ja, zapomnieliśmy na tyle lat o tej sprawie? Widocznie Franco miał rację, w tym czasie zginęło zbyt wielu, najpierw ci na niedawnej wojnie, później kolejni w latach represji, ciągle zresztą trwających. Dlaczego mielibyśmy zainteresować się jedną ofiarą, która nawet nie cieszyła się szacunkiem mieszkańców? Wydaje się, że nie wystarczyło, że Leonardo Altube był synem Roque Altube, tego z Altubeny, chłopem z krwi i kości. Jego bliźniacy błyskawicznie zyskali sobie opinię malwersantów, ot, dwie czarne owce w rodzinie... Cóż, podoba mi się styl, w którym opisuję tę parę. Szkoda tylko, że tych zdań zapisanych jedynie w mojej głowie nie będzie mogła przeczytać Koldobike. Byłyby dla niej czymś zupełnie nowym. Tak przypuszczam.

Moje nogi sprawiają wrażenie dużo lżejszych, a stopy stąpają po piasku z większą pewnością. Oddycham niemal gwałtownie, żeby płuca wypełniło pokrzepiające morskie powietrze. Ciężar, który spoczywa w mojej dłoni, przypomina mi, po co tu przyszedłem. I nagle staje przede mną fabuła mojego ostatniego powieściidła. Nigdy ich tak nie nazywałem. Dlaczego wyrządzą samemu sobie przykrość, wracając do biura Samuela Esparty w Los Angeles?... Otrzymuje on list, w którym zawarta jest prośba o przybycie do pewnej rezydencji, „gdzie ma dojść do wielu zbrodni”. List nie ma podpisu i kończy się obietnicą przekazania prywatnemu detektywowi pokażnej sumy dolarów, jeżeli będzie w stanie wskazać zabójcę. Samuel wykrzykuje wówczas coś, czym dzisiaj nie skompromitowałbym własnego pióra: „Kurka siwa!”. Idiotyczne. Ekscesy w podobnym guście rujnowały moje teksty. Samuel Esparta jest prywatnym detektywem zaprawionym w walce na wszelkie sposoby – ciosy pięścią, strzelanie, bójki na noże, gęsto ścielący się trup... Jedynie mierny prozaik, taki jak ja, ośmieliłby się włożyć temu

silnemu mężczyźnie w usta „Kurkę siwą!”. Gdyby jednak chodziło tylko o głupie wyrażenia tam i ówdzie...! Ale nie, chodzi o cały szkielet, całą konstrukcję. Koldobike zauważyła to już dawno, a ja dopiero teraz, porównując i porównując... Ścisła mnie w żołądku... No nic, odkąd Samuel pojawia się w rezydencji, cały czas tropi, kto spośród licznie zebranej śmietanki towarzyskiej jest tym, który go wynajął. Jedni należą do rodziny Baxterów, inni zostali po prostu zaproszeni na to dziwne przyjęcie mające trwać cztery dni i noce. Wydaje się, że jeszcze nikogo nie zamordowano, choć Samuela martwi głównie to, który frak czy też która wieczorowa suknia wiszą mu po dwadzieścia pięć dolarów za każdy dzień plus wydatki. Przypatruje się uważnie twarzom, nadstawia uszu wyczulony nawet na najniewinniejsze słowa. Śledzi ruchy całej tej menażerii, która przydaje salonom kolorytu. Kiedy wydaje mu się, że jakaś para oczu zatrzymała się na nim, zagaduje, mogłoby się здаwać, sprytnym pytaniem: „To pan jest tym od szklanej kuli?”. A nagabywany odwraca się do niego plecami, ale zanim to zrobi, Samuel słyszy chrząkanie: „A co pan tu robi bez stroju pingwina?”.

Samuel nie tropi mordercy, tylko stara się odnaleźć ofiarę, przypuszczając, że to ona po niego posłała i jest mu winna wynagrodzenie. A jak niby miałaby mu je wypłacić, jeśli wcześniej zostałaby zamordowana? Musi ją odnaleźć, nie ma wyjścia, póki jeszcze żyje i choćby miała wydać ostatnie tchnienie na jego oczach, przynajmniej wyjaśniłoby się, kto napisał ów list. Martwił go moment, który miał nastąpić pomiędzy. Z jednej strony zabójca szykujący się do ataku, a z drugiej sam Samuel mający wtargnąć i mu przeszkodzić. Czy zdoła zainterweniować odpowiednio szybko? Był odważnym detektywem, spędził cztery dni i cztery noce, wywracając pokoje do góry nogami, poddał nocnym przesłuchaniom ze sto osób, przeczytał ukradkiem listy i sekretne pamiętniki, zajrzał za obrazy i przerzucił ziemię w doniczkach, śledził wyniosłe damy, aż po drzwi łazienek, wyciągał pomięte karteczki z popielniczek i starał się je odczytać, bo mogły zawierać jakieś wskazówki, czytał z oddali z ruchu ust... Ciężko pracował i chciał dostać wynagrodzenie. Udało mu się – w trakcie jednej z ostatnich rund po domu usłyszał, jak ktoś się skrada. Podeszedł bliżej i zobaczył cień ramienia, który zamierzał się kandelabrem z brązu na czaszkę staruszki drzemiącej w fotelu. Wtedy przystąpił do akcji i ją uratował. „Czyli to była ona”, skonstatował Samuel. Napastnikiem był wnuk wydziedziczony przez babkę. Samuel wręczył babci rachunek na sto dolarów (tym razem bez wydatków), a ona przypieczętowała go swoim podpisem, i nasz człowiek otrzymał honorarium. W tym czasie na miejsce przybyła policja, żeby zająć się sprawą. Kiedy inspektor McCorman zapytał go o metodę, którą się posłużył, żeby rozwiązać zagadkę, usłyszał: „Jestem Samuel Esparta, prywatny licencjonowany detektyw, i mam swoje własne metody”.

Tę właśnie wspaniałą historię zawiera pakunek, który z największą przyjemnością cisnę w morze... Czuję, że w rękach pali mi się sprawa bliźniaków; tak jakby w moich żyłach zaczęła nagle płynąć świeża krew. Wydaje mi się, że stoję teraz mniej więcej w tym miejscu plaży, z którego Etxe usłyszał przeraźliwe krzyki Eladia tamtego poranka trzydziestego piątego roku. I widzę stąd dokładnie skałę z hakiem Felixa Apraiza. Etxe podbiegł w stronę krzyków. Nie dostrzegł nikogo, musiał zejść z plaży na pierwsze kamienie i przejść jeszcze spory kawałek, zanim zauważył na wielkiej skale coś, co przypominało głowę. Resztę ciała do niej należącego przykryła już woda. Jego uwagę przykuły przymocowane do haka łańcuchy. Huk nadciągających fal przyplątał się z nawoływaniem. Chcę przez to powiedzieć, że do Etxe docierały krzyki tylko wtedy, kiedy cofające się fale pozwalały Eladiowi złapać oddech pomiędzy podtopieniami. „Uwolnij mnie! Uwolnij mnie!”, słyszał Etxe. Jego przerażenie wzrosło, kiedy odkrył, że pod Eladiem znajdował się Leonardo, któremu fale nie dawały już chwili wytchnienia na złapanie oddechu. Etxe w desperacji zaczął szarpać za splątane łańcuchy. „To się nie uda! Biegnij i przyrowadź kowala z Cuatro Caminos!”, zawołał Eladio. I Etxe popędził, jak nigdy

dotąd (jest cherlawym mężczyzną, bez ikry, o powolnych ruchach), zostawił za sobą plażę i zaczął się wspinać po zboczu, które prowadzi do Cuatro Caminos, gdzie znajduje się kuźnia Antima Zalli. Miasteczko nigdy nie doszło do porozumienia co do czasu, w jakim udało mu się pokonać dystans i wrócić do Eladia. Nie chodziło o to, żeby policzyć, ile czasu zajęłoby to jakimś sprawnym nogom, tylko ile zajęło to jemu. Ktoś przypomniał, że każdy zeskoczy z muru, z którego nigdy by nie zeskoczył, jeżeli nie biegłby za nim byk. Najlepszy czas, jaki mu przypisano, to dwadzieścia minut. „I to w jego najlepszych latach”, mówiono, a sporo później przy barze w La Venta sprzeczano się na ten temat. Za każdym razem, kiedy Etxe musiał opowiadać tę historię, jego oczy przepełniało przerażenie: „Nie wiem, jak mógł przeżyć, dlatego że częściej miał głowę pod wodą aniżeli na powierzchni”. Niemało kobiet, a i niektórzy mężczyźni zaczęli mówić o cudzie. Minuty, które zajęło Antimowi Zalli przepięłowanie ogniwa łańcucha, też były przedmiotem spekulacji. Komu kowal pomógł najpierw: Leonardowi czy Eladiowi? Większość była za Eladiem, mniej podtopiony, miał większe szanse na przeżycie, podczas gdy drugi nie miał żadnych. Ale wówczas nie decydowała logika. Trzech wytraconych z równowagi mężczyzn (Etxe, choć nie stał na skale, też brał udział w akcji ratunkowej) walczyło o życie bliźnich, mimo że byli nimi antypatyczni bliźniacy Altube.

Możliwe, że nie zapadła żadna decyzja, a tylko trzęsące się dłonie kowala złapały przypadkowo za łańcuch Eladia. Naprężenie łańcucha i przeszkoda w postaci fal sprawiły, że pięć ostrzy się skruszyło (mówiono także o czterech i o sześciu), zamieniono je na zapasowe, co też zajęło trochę czasu. Potem Antimo, jego syn Tomasón i Etxe przenieśli Eladia na suchy kawałek plaży i na zmianę robili mu sztuczne oddychanie. Aż do momentu, kiedy młody Tomasón wrócił na skałę i zaczął krzyczeć do pozostałych, że został przecież jeszcze ten drugi, którego – wydobywszy z łańcuchów i uwolniwszy z jego wodnego grobu – położyli obok brata. Etxe opowiadał, że zarówno on, jak i dwóch kowali nie mogli oderwać wzroku od martwego Leonarda, dla którego nie dało się już nic zrobić, podczas gdy żywy Eladio oczyszczał sobie płuca, wypływając morską wodę. Opowiadał też Etxe, że kiedy Eladio zdołał wreszcie się podnieść i kiedy spojrzął na brata, w jego oczach było więcej łez niż wody. Podczołgał się i potrząsając nim, starał się go wskrziesić...

Nie notuję tego na papierze, jedynie zapisuję w głowie. Ale piszę, niech nikt w to nie wątpi. A to, co czytam, podoba mi się... Na końcu ramienia czuję ciężar, spuszczam wzrok i widzę, że jest to pakunek z moim, no właśnie, powieściłem, spisany na maszynie do pisania, moim underwoodzie. Czy to jedynie wrażenie, czy piszę teraz w inny sposób? Mówią, że próbą ogniową dla pisarstwa jest przelanie myśli na papier, a jedynym, co mam na papierze, jest moje powieściło. Być może to, co siedzi teraz w mojej głowie, jest tylko delirium i rozplynie się, jeżeli popełnię błąd i zdecyduję się cokolwiek zapisać na papierze. Jeżeli tak, to kodeks pisarza podpowiada mi, żeby niczego nie notować. Chociaż to, co już napisałem (mam coś naprawdę?), jest przecież złożone ze słów, a jedno słowo będzie zawsze słowem, zarówno to zapisane w jednym miejscu, jak i w innym, muszę się więc dowiedzieć, dlaczego słowa, które chodzą mi po głowie, brzmią dużo lepiej. Czy przypadkiem nie są to te same słowa, co zawsze? Wciąża mnie ten epizod sprzed dziesięciu lat tak bardzo, że zapominam, co trzymam w ręku...

Cztery postaci stały naokoło topielca, dopóki wznoszący się poziom morza ich stamtąd nie przepędził, a wówczas złożyli ciało nieboszczyka najwyżej na plaży. Wtedy Antimo zdołał wykrztusić, że powinni zawiadomić władze, i jego syn Tomasón poszedł się tym zająć. Minęła długa godzina, zanim wrócił na miejsce z sędzią śledczym, lekarzem i policjantami, a tymczasem ani Etxe, ani Eladio nie mogli oderwać wzroku od gipsowej twarzy Leonarda... I tak skończyła się ta historia, przynajmniej tak skończył się wątek, który mnie na razie interesuje.

Późniejsze śledztwo nie dało najmniejszego rezultatu. Policja z Bilbao pojawiła się



osobiście w niektórych domach, żeby przesłuchać świadków, ale policjanci zrobili to bez hałasu, a rodziny opowiedziały tak niewiele, że pozostały tylko domysły. Apraizów odwiedzili dwa razy, co nie zdziwiło nikogo, jako że Félix był właścicielem haka. Mijały tygodnie i miesiące, podczas których przekazywano sobie drobne przecieki, ale kiedy wybuchła wojna, wszyscy zapomnieli o całej sprawie. Kto zamordował Leonarda Altube? Nawet nie podano do publicznej wiadomości nazwiska podejrzanego. Mimo że bliźniacy nie cieszyli się naszą sympatią, Getxo było pogrążone w smutku. Nie chodziło nawet o brutalną śmierć jednego z naszych mieszkańców, ale o pewność, że ktoś jeszcze gorszy od nich mieszka pośród nas.

Do tego momentu dochodzi opowiadanie, które snuję sobie w głowie. Wydaje mi się, że jest całkiem niezłe. Mogę tak powiedzieć, ponieważ jestem obiektywny i na przykład szesnaście poprzednich moich powieści z bólem serca zmuszony jestem nazwać beznadziejnymi. A ktoś, kogo stać na taką samobójczą obiektywność, jest po prostu przenikliwy.

Ten dobry początek tajemniczej powieści zasługuje na dokończenie. Na nieszczęście źródło brutalnie wyschło, moje wspomnienia nie oferują już nic poza tym. Ale po co je winić, skoro nic więcej wówczas się nie wydarzyło?

Rok później wybuchła wojna i wszystko się rozmyło. Ale w czasie tego roku nastąpiły wydarzenia powiązane z tą zbrodnią i wydaje mi się, że skoro wydarzyły się w miasteczku, warto o nich opowiedzieć.

Jest rok tysiąc dziewięćset czterdziesty piąty, minęło więc dziesięć lat. Co myśli dzisiaj Félix Apraiz o tamtej sprawie? A Lucio Etxe? A Eladio Altube, brat bliźniak, który przeżył? A jego rodzice, Roque Altube i Madia, zwana też Magdą? A Cenobia, Anastasi, Pelayo i Aurelio, bracia bliźniaków? A magnat Efrén Bascardo, u którego pracowali za młodu Eladio i Leonardo i którego bezwstydnie okradli, co w Getxo ochrzczono wprawką w ich późniejszych oszustwach i szachrajstwach? A don Manuel, który w szkole był ich nauczycielem? I tylu innych, całe miasteczko, ludzie, którzy przemierzają plażę od czasu do czasu, żeby się wykapać albo połowić, i zwracają uwagę, tak jak ja, na ten hak i na skałę, i może też pamiętają, i przechodzi ich dreszczyk na myśl o tym, że mordercą był ktoś z sąsiadów, mieszkający pośród nas... Wszystkie historie potrzebują zakończenia, a ta go nie ma.

Zakończenia, które niebawem spotka trzymany przeze mnie pakunek.

– „Co nic niewarte, ukryj pod Galeą!”, jak mówią w Getxo – wołam, zakręcam ramieniem niczym wiatrak i ciskam ten subprodukt w morze, najdalej jak to możliwe. Długo leci, zataczając elipsę, aż połyka go głuchy plusk.

Siadam na piasku. Co teraz? Zakończyłem właśnie pewien etap i zanim zacznę zajmować się czymś innym, przeznaczenie jest mi winne chociaż odrobinę spokoju. I owszem, udaje mi się zamknąć oczy, żeby nie widzieć skały, i wyobrażam sobie hak nadszarpnięty zębem rdzy... Ile lat trwał mój bzik? Mój pierwszy nieudany twór nosi datę 1939 – w takim razie sześć. Lata jakże szczęśliwe i jednocześnie stracone bezpowrotnie! *Ama*<sup>1</sup> ucieszy się z mojego powrotu do rzeczywistości. „Tak, lepiej żebyś zajął się księgarnią, która daje ci na chleb”, powie. Moja siostra prześle mi swoje milczące zrozumienie. Koldobike pokręci głową: „Wreszcie przejrzałeś na oczy”.

Zostawiam za sobą plażę, z melancholią wspominając ten przeklęty pakunek, który poszybował w powietrzu do lepszego świata, do swojego niemożliwego błękitnego odkupienia.

*Ama* w języku baskijskim oznacza mamę.

## Księgarnia Beltza

Kościelne dzwony w San Baskardo przywracają mnie światu. Co też ja właściwie wyprawiam, siedząc na kamieniu starego młyna w La Galea? Koldobike pewnie już zamknęła księgarnię. Myślenie o tym sprawia, że wstaję i zaczynam iść. Dwadzieścia minut później stoję przed przeszklonymi drzwiami i szukam po kieszeniach klucza. Moje palce ponoszą klęskę, chwytam za klamkę, a drzwi otwierają się z din-don dzwonka, który dźwięczy mi nad głową. Obchodzę całe pomieszczenie pod czujnym spojrzeniem Koldobike i w końcu siadam przy swoim biurku. Co ona jeszcze robi tutaj o tej porze?

– Właśnie sprzedawałam przez telefon jedną książkę Navarra Villoslady – słyszę jej głos. Stoi przede mną. – Co ci dolega?

– Nie będziesz dzisiaj jadła? – warczę.

– Wiedziałam, że coś ci dolega.

– Myślisz, że zawsze wszystko wiesz.

– Mam chułki.

W jej odpowiedzi jest dużo wdzięku. To pewien sposób mówienia, którego do dzisiaj nie zauważyłem. Dobrze brzmi.

– Jeżeli znalazbyś prawdę, zakochałabyś się we mnie – rzucam niespodziewanie.

Dobrą chwilę wytrzymuję jej spojrzenie. Koldobike wydaje się zaskoczona. Jest wysoką dziewczyną, bez powabu, z burzą loków w kolorze marchwi. Można powiedzieć, że kiedy otworzyłem księgarnię pięć lat temu, ona była już w środku.

W Getxo ludzie nie kupują zbyt dużo książek, podobny los spotyka buty, koszule i spodnie – wiele osób nie zmieniło swoich przyzwyczajęń i nadal robi zakupy w Bilbao, mimo że wymaga to pokonania trzynastu kilometrów. Bilbao od zawsze było ośrodkiem handlu i pozostaje nim do dzisiaj. Jest miastem pełnym sklepowych lad, w którym nieustraszeni sprzedawcy namawiają klientów do zakupów, zapewniając, że spełnią ich oczekiwania i uczynią szczęśliwymi. Klientela nie dopomina się księgarni, na jej skali wartości książki zajmują to samo miejsce, co zbyteczne zabawki. Czyta się mało, a pisze jeszcze mniej. Jedynie jakiś jeden uczony mąż podpisuje się pod dziełkiem o starych zamkach i wieżycach, pogrzebowych stelach albo o złoczyńcach jak Jaunsolo czy rodzina Garzea, którzy zboczyli krwią cały kraj; tematy, które mimo że lokalne, nie interesują moich ciężko pracujących rodaków. Jeden jedyny uniwersytet jezuitów, który kształcił narybek bogatych rodzin, przeznaczony na prowadzenie wielkich interesów i wielkich przedsiębiorstw, nie może – i na pewno nawet nie próbuje – wytworzyć klimatu życzliwego księżkom. Mimo wszystko ja założyłem księgarnię w samym sercu Getxo.

Wuj Anselmo, brat amy, musiał wyrzucić na bruk uczonych najemców, którzy zajmowali jego mieszkanie w Las Arenas, bo przez dwa lata nie zapłacili ani grosza. Wuj kazał im zostawić meble, w tym cztery skrzynie wypełnione czymś niezwykle ciężkim. Czterech interesantów pojawiło się później w mieszkaniu, żeby zakupić niektóre sprzęty. Kiedy otworzyli skrzynie i odkryli ich zawartość, błyskawicznie je zamknęli i zajęli się resztą wyposażenia. Tylko cztery skrzynie nie zostały sprzedane. „Co jest w środku?”, zapytała *ama* swojego brata, kiedy zaproponował jej, że ulokuje je u nas na poddaszu. „Makulatura”, odpowiedział wuj. Dwóch mężczyzn przetransportowało skrzynie wozem, a następnie wniosło po schodach. *Ama* nie była ani trochę zaintrygowana tym, co pozwoliła umieścić pod swoim dachem, ale ja byłem

ciekawskim piętnastolatkiem. Otworzyłem pierwszą kłódkę, podniosłem wieko i... książki, setki tomów. To samo w trzech pozostałych skrzyniach. W szkole zaznajomili mnie z książkami – poza kwiatkami, drzewami, zwierzątkami i życiorysami wielkich ludzi nauczyciel kazał nam czytać fragmenty *Don Kichota* i *Przygody Ulissesa* w wersji dla dzieci. Kiedy w wieku czternastu lat opuszczałem szkolne mury, don Manuel przykazał: „Nie zapominaj o książkach”. W czterech skrzyniach odnalazłem wszystkie, które moim zdaniem w ogóle kiedykolwiek zostały napisane. Po kryjomu, przy świeczce, pochłonałem *Wyspę Skarbów*, *Bunt na Bounty*, *Chatę wuja Toma*, różne utwory Dickensa... Powieści kryminalne Rexa Stouta, Stanleya Gardnera, Ellery Queen..., których porzuciłem, kiedy odkryłem Hammetta i Chandlera, wielkich autorów tak bardzo wyróżniających się spośród innych, i przeczytałem takie perełki, jak: *Krwawe żniwo*, *Szklany klucz*, *Kłątwa Dainów*, *Sokół maltański*, *Szantażyści nie strzelają*... Tysiąc dziewięćset trzydziesty dziewiąty był rokiem, kiedy ośmieliłem się skopiować ich po raz pierwszy.

Jakiś czas później *ama* wyznała don Pedrowi Sarrii na spowiedzi, że jej syn ukrywa w pokoju przerażające zapiski, powieści i inne, zagrażające młodym umysłom. Książkowi nakazał jej, żeby natychmiast wszystko spaliła. Wtedy przypomniałem sobie o małym sklepie kolonialnym w Algorcie, który wuj nabył nie tak dawno i który stał pusty. Porozmawiałem z krewnym i pozwolił mi ocalić zawartość tych skrzyń. „Czyli to były książki”, mruknął. „Dlaczego chcesz przechowywać coś tak bezużytecznego? Sprzedaj je lepiej, sprawdź, czy ktoś się w ogóle nimi zainteresuje”. Panował ciężki okres powojenny, a ja nie wnosilem do domu ani jednego reala. Nie mieliśmy też nawet kawałka ziemi, na którym można by cokolwiek uprawiać: ziemniaki, fasolę czy sałatę.

Opróżniałem trzecią skrzynię, kiedy nagle pojawiła się Koldobike, którą ledwo znałem, i zaczęła udzielać mi rad. Pierwszą lokalizacją książek była zwyczajnie podłoga, leżały sobie w rzędach pod ścianami. Trzy z opróżnionych skrzyń porąbałem siekierą na opał, a z czwartej Koldobike postanowiła zrobić ladę, ponieważ niektórzy ciekawscy już zaczęli wciskać głowy, a nawet wchodzić do środka. Wojna i lata powojenne przyzwyczyły nas do panującej beznadziei, bardziej niż kiedykolwiek pociągała kultura smutku, rozkład i ogołocenie. A tu, w sklepie, wyglądało na to, że ludzie znajdują wielką przyjemność w nachylaniu się nad książkami i gładzeniu opuszkami palców ich starych okładek. Czasami wybierali jakiś egzemplarz i wpatrywali się we mnie oraz w Koldobike, jakby chcieli zapytać nas, co dalej. A kiedy oni zadawali sobie to pytanie, ja zapytywałem samego siebie, co właściwie robi tutaj moja sąsiadka – pomagała tu i tam, z determinacją charakterystyczną dla kogoś, kto narodził się, żeby żyć tą chwilą. „W porządku, jedna peseta”, usłyszałem, jak zwraca się do pierwszego klienta, który położył zwitek na czwartej skrzyni i zabrał książkę. Jakim kryterium kierował się w wyborze? Żadnym. Czym kierowała się Koldobike, ustalając cenę każdego egzemplarza? Może grubością tomu? Tego pierwszego dnia utarg wyniósł dziewięć peset. Większość z nich wybito w czasie wojny na papierze Rządu Basków, czyli nie przedstawiały już żadnej wartości i trzymanie ich mogło być nawet niebezpieczne, ale przez wzgląd na sentyment przyjęliśmy je bez słowa, w ramach pewnego rodzaju protestu. Kiedy zaszło słońce, Koldobike pomogła mi opuścić żaluzje i pożegnała się dezorientującym mnie: „Do jutra”. Na kolację – trzy jajka na głowę – dałem amie dziewięć peset. Mimo błysku w jej oczach nie zdecydowałem się wyznać, że pieniądze zarobiłem na książkach; przeżegnała się ręką, w której trzymała banknoty, i zaczęła je przeliczać. Po odłożeniu pięciu peset, które nie miały żadnej wartości, zostawały cztery, a to oznaczało obiad.

Następnego dnia przed sklepem pojawiło się pięciu mężczyzn w niebieskich koszulach i w czarnych lederwerkach, towarzyszyli im strażnicy miejscy. „Jakiego rodzaju propagandę pan tutaj rozdaje?”, złąkali mnie. „Och, są tu papiery z całego świata, książki” – usłyszałem za plecami. To była Koldobike. Pomogła mi także podnieść żaluzje. Książki leżały nadal na

podłodze, trochę w nieładzie po wczorajszym wieczornym przeglądaniu... Pięciu falangistów rozejrzało się dookoła, nie znajdując nigdzie antyfrankistowskiej propagandy, którą spodziewali się tu zastać. Rozczarowani złapali siedem worków, w których spoczywały porąbane na opał skrzynie, wytrząsnęli ich zawartość, rzucając drewnem gdzie popadnie, i przestrzegli: „Lepiej na siebie uważaj”. A wtedy strażnicy miejscy zapytali mnie: „Ma pan pozwolenie na prowadzenie działalności handlowej?”. Usłyszałem, jak Koldobike mówi za moimi plecami: „Czy to wygląda na sklep?”. A oni: „Każda żaluzja, która otwiera się od ulicy, musi mieć pozwolenie, a z wczoraj zostały państwu jeszcze książki do sprzedania”.

Kiedy tylko strażnicy miejscy sobie poszli, pochylałem się i po raz drugi pozbierałem z podłogi wszystkie książki, tak jakby podczas pierwszego razu – w moim pokoju – mógł ujść mojej uwadze tytuł jakiegoś kryminału. Trzydzieści jeden, które wówczas znalazłem, spoczywało na dnie szafy; wypadłoby powiedzieć, że były wśród nich i policyjne, i z „czarnej” serii, w tamtym czasie jeszcze ich nie rozróżniałem. Niewiele już brakowało, żeby Hammett i Chandler porwali mnie bez reszty. Jednak wtedy nie ośmieliłem się jeszcze chwycić za pióro, żeby spróbować ich naśladować. Następnie zacząłem zbierać porzucane polana z powrotem do worków. „Dadzą nam pozwolenie. Jeżeli chcielibyśmy sprzedawać kaszankę i kiełbasy, mielibyśmy konkurencję, ale z książkami w Algorcie będziemy sami”, usłyszałem Koldobike. Wyprostowałem się. Nie sprawiało trudu podjęcie decyzji, która została już podjęta, ale niełatwo przyszło mi zwrócić się po raz pierwszy do dziewczyny, która stała za moimi plecami: „Pozwolenie?”. Nie zainteresował jej mój pomruk. „Jeżeli te książki, które leżą na podłodze, można sprzedać za pieniądze, to nie wiem, dlaczego nie byłyby ich warte też i te, które wysłałoby nam z wydawnictw. Musimy jakoś przeżyć. Ja zajmę się rachunkami”. Odwróciłem się, żeby spojrzeć jej w oczy, też po raz pierwszy. Ale to ona pierwsza się odezwała: „Jestem z Ibaicetów, tych z Puerto Viejo. A ty jesteś z rodziny Bordaberrich z Algorty. Teraz już się znamy”. Dzisiaj, sześć lat później, w dalszym ciągu nie wiem, dlaczego pojawiła się z taką bezceremonialnością w sklepie kolonialnym wuja i dlaczego w dalszym ciągu pracuje w księgarni – którą ochrzciła Beltza (co po baskijsku znaczy „czarna”) – za te marne grosze, które sama wyznaczyła sobie za pensję.

Słyszę Koldobike:

– Wyszedłeś odebrać z poczty swoją ostatnią powieść... i wracasz bez niej. Nie była niczemu winna.

– Spotkał ją akurat taki los.

Podchodzi nieco bliżej i nachyla się nade mną, opierając ręce o blat biurka.

– Gdzie byłeś, jeśli można wiedzieć?

– Plaża świeciła pustką.

– A więc nikt nie widział pogrzebu. Dużo czasu zajęło jej pójście na dno?

– To była cegła.

Prostuje się.

– Idź do domu, ja zamknę.

– Nie. Zostanę.

Zdejmuje czerwoną kurtkę ze stojaka na ubrania i odchodzi, narzucając ją na siebie, z krótkim: „Na razie”.

Słyszę dzwonek, drzwi się zamykają, ale Koldobike pozostaje w środku, nie przekroczywszy progu księgarni.

– Znam już to na pamięć – mówi.

Zdejmuje kurtkę i odwiesza na wieszak.

– Która godzina? – pytam.

– Druga.

Wstaję i cofam się, popychając do tyłu krzesło i szepcząc:

– *Ama* będzie się niepokoić.

– Wysłałam jej wiadomość, że nie przyjdiesz na obiad, bo masz dużo pracy.

– Co ty takiego wiesz?

Siadam z powrotem. Koldobike wzdycha i kiwa głową.

– Zawsze ta sama śpiewka: odsyłają ci je, a ty zamykasz się tutaj, licząc na pocieszenie ze strony twoich Chandlerów, Hammettów i całej reszty.

Raymond Chandler i Dashiell Hammett są perełkami działu specjalnego, „czarnej” serii, która zajmuje najwyższą półkę, najbliżej nieba. Niżej stoją: Stanley Gardner, Rex Stout, Valentin Williams, Earl Derr Biggers, Martyn, Mash, Mason, Angelis... Też należą do działu i nie zasługują na pogardę, ich historie bowiem noszą ślady „czarnej” serii. Być może S.S. Van Dine’owi i Agacie Christie nie spodobałoby się, że zajmują półki, które ocierają się o podłogę. Wyobrażam sobie, że byli tak samo elitarni jak ich bohaterowie detektywi: Philo Vance i Herkules Poirot; nie mają nic wspólnego z Philipem Marlowe’em i Samem Spadem, dziećmi Chandlera i Hammetta, którzy pływają się w najbardziej lepkiem ludzkim i społecznym bagnie za dwadzieścia pięć dolarów dziennie i koszta.

Zauważam Koldobike, która stoi między działem specjalnym a mną.

– Ucieknij od nich, nie są tacy wspaniali. Różni was tylko to, że ich wydają, a ciebie nie. Nie patrz na nią. Ścisza głos.

– Ci pisarze nie są wcale tacy wspaniali – jakiś żart od czasu do czasu i tyle. Jeżeli twoje powieści potraktować od ich humorystycznej strony, mają więcej dowcipu niż te wszystkie bzdury, które opowiadają sobie przy barze w La Venta. – Muszę jej się wydawać straceńcem na progu samobójstwa. – Zapomnij o nich. Jeżeli dostaniemy coś nowego Chandlera, Hammetta albo któregośkolwiek z pozostałych...

– Nie ma prawie żadnych pozostałych.

– Wiesz, że więcej niż jeden raz byłam bliska, żeby wynieść je na ulicę, ułożyć na stercie i podpalić? Nigdy jeszcze nie widziałam, żeby ktoś z ich powodu cierpiał na tak ogromną niestrawność!

– Marlowe i Spade to bohaterowie walczący przeciw systemowi! – wykrzykuję.

– Narażają własne życie, żeby bronić niewinnych, słabych, kobiety w opresji. Doprowadzają przestępców przed sąd. Nie wystarcza im wskazanie winnych, demaskują skorumpowanych, hipokrytów, wyzyskiwaczy. Są ostatnimi rycerzami!

Koldobike odkasłuje i czeka, aż okiełznam swoją wściekłość.

– Oni piszą o tym, co widzą w swoich amerykańskich miastach, w których nie zmieściłby się już ani jeden szczur, a kiedy ludzie żyją w takim zagęszczeniu, jedni zabijają drugich, żeby było więcej miejsca. Nie muszą robić nic więcej, wystarczy, że usiądą przy maszynie i będą zapisywać, co dzieje się dookoła: strzały, krew, ciała w pięknych krawatach pływające po rzece albo poćwiartowane, platynowe blondynki palące jak smok, szpiedzy, donosiciele, płatni mordercy... Oni nie muszą niczego wymyślać. Tym, który musi, jesteś ty, dlatego że w Getxo nic się nie dzieje.

Ostatnia sylaba odzywa się echem, kiedy Koldobike przymyka oczy. Sześć lat po wojnie, a mieszkańcy Getxo w dalszym ciągu są zabijani przez Franco. Nie muszę mówić Koldobike, że czarny okres, w którym żyjemy, nie ma nic wspólnego z „czarną” serią. Jej ojciec siedzi w więzieniu skazany na karę śmierci. Mojego rozstrzelali w trzydziestym dziewiątym. Swojemu utykaniu zawdzięczam, że nie spotkał mnie podobny los. Urodziłem się z lewą nogą krótszą od prawej, niewiele, kwestia centymetra, chociaż to za dużo, kiedy muszę wsiąść do autobusu. Przez

sześć lat chodziłem do szkoły don Manuela, po czym zrobiłem kursy handlu i pisania na maszynie w szkole zawodowej w Algorcie. Jednocześnie zacząłem wówczas zapisywać kartki, starałem się naśladować historie, które wychodziły w serii Złota Biblioteka.

Staram się uszanować przez parę sekund ból Koldobike, aż odłoży to do akt jednym: „Tak, Bordaberri, musiałeś wymyślić to, czego nie widziałeś”.

– Idź, zjedz coś – mówię jej.

Koldobike odrzuca to jednym: „E tam, potem coś przegryzę”, po czym przyjmuje wyczekującą postawę, co zmusza mnie, żeby się przed nią otworzyć:

– Rzuciłem kartami o stół.

– Dzięki temu będziesz zdrowszy.

– Ale dostałem nowe karty.

Oczywiście nie może wiedzieć, o czym mówię. Przymyka oczy do połowy, chce się dowiedzieć czegoś więcej. Wstaję, podchodzę do działu specjalnego i gładzę grzbiety poszczególnych woluminów.

– Oni obserwowali to, co się dzieje wokół, i zapisywali. Ja też będę obserwował i pisał.

– Grozę jej palcem. – I miej się na baczności, laleczko, bo piszę o wszystkim, co napotkam na swojej drodze. O wszystkim! W tym i o tobie. Mam nadzieję, że dorównasz postaci, którą dla ciebie przewidziałem.

Oczywiście nic nie rozumie. Na szczęście dla niej, może złapać mnie za słówko.

– O co chodzi z tą „laleczką”?

– Tak cię to dziwi? Oni piszą w ten sposób, jak dobrze wiesz. Przyzwyczaj się. A teraz posłuchaj mnie uważnie.

I opowiadam jej ze szczegółami o wszystkim, co wydarzyło się na plaży. Równocześnie, w trakcie gdy posuwam się naprzód, opowiadając starą historię dotyczącą bliźniaków, czuję się tak, jakby słowa stawały po mojej stronie. Kończę historię, mając wrażenie, że udało mi się trafić w sedno.

– Bliźniacy Altube... – mruczy Koldobike z niewielkim zainteresowaniem. – Miałam wtedy czternaście lat, ledwo cokolwiek pamiętam.

– To dobra historia.

– Ale kogo ona jeszcze interesuje?

– Co nie zmienia faktu, że to dobra historia, nie możesz jej tego odmówić. – Moja pewność siebie słabnie, a żołądek daje o sobie znać. – Dobra historia zawsze będzie dobra, choćby nawet ktoś źle ją opowiedział! – protestuję.

– Chcesz opowiedzieć o sprawie, która nie została nigdy wyjaśniona?

– Otóż to, nigdy nie została wyjaśniona, zdążyła się jedynie rozpocząć.

– A ty chcesz...?

– Mój *underwood* ma bardzo ładny klawisz z kropką końcową.

– I wymyślisz drugą część historii, która ma jak na razie tylko prawdziwy początek, dopisując jej, co ci ślina na język przyniesie? Przecież nie umiesz wymyślać.

Nie, nie odważa się iść tą nową drogą. Biorę ją pod rękę, prowadzę do mojego biurka i zmuszam, żeby usiadła na krześle. Jest blada, a ja postanawiam opowiedzieć jej ze szczegółami mój plan, który z każdą minioną minutą wydaje mi się coraz bardziej fascynujący.

– Słuchaj... – zaczynam, starając się uspokoić twórczy zapal chodzeniem po księgarni.

– To będzie coś znacznie ciekawszego od tego, czym oni się zajmują...

Ale mogę zrobić tylko dwa kroki.

– Wiem, co ci się roi w łepetynie – ucina Koldobike – i niemożliwe, żebyś brał to na poważnie. Przedtem przynajmniej starałeś się naśladować Chandlera i Hammetta... a teraz

chcesz zostać nikim innym aniżeli ich Marlowe'em i Spadem! Chcesz wyjść na ulicę jako uosobienie Samuela Esparty! Wiesz, co ci powiem? Nie widzę cię w tej roli.

Ta przekłeta wiedźma odgadła moje plany i opowiedziała o moich zamiarach znacznie lepiej, niż sam bym to zrobił. I jej twórczy zryw nie był owocem jakiejś strasznej pomyłki. Kiedy wracam do biurka, widzę Koldobike tę samą co zawsze.

– Będziesz jak policjant fatalnie opisujący swoje wspomnienia – opiniuje. – A policji mamy już tutaj po dziurki w nosie. Dlaczego miałaby ci wyjść z tego dobra powieść?

– Słyszę inną muzykę, która rozchodzi mi się po ciele... Nie brzmi to wszystko inaczej?

– Niczego nie słyszę.

– Nie chcesz słyszeć. Nawet ja sam jestem speszony... Piszę innym językiem!

– Pokaż mi, chcę przeczytać.

– Mam to tutaj, tutaj jest zapisane! – Pukam się palcem w czoło, tak jakbym chciał w nim zrobić dziurę. – Jedyne inny pisarz byłby w stanie mnie zrozumieć, laleczko... Mam już zapisane parę stron i mogę cię zapewnić, że tym razem dałem się ponieść, napisały się właściwie same... Postaram się i ciebie włączyć, mała. Samuel Esparta potrzebuje sekretarki, nie pracownicy. I blondynki. To podstawa.

Koldobike w milczeniu dotyka dłonią włosów, nie odzywa się ani słowem, myśli, że żartuje. „Ach, prawie kompletnie zapomniałam, muszę zapakować książkę *Villoslady*”. Wstaje i kieruje się w stronę drzwi, przeszukując półki. Mimo że jest wiejską dziewczyną, ma swój styl; wystarczyłby jakiś mały retusz i wcale nie różniłaby się od wyszukanych sekretarek. Znalazłszy książkę, podchodzi z nią do swojego miejsca – jeszcze jedno biurko stojące przy wejściu, jest czerwone, stoi na nim telefon i mała kasa sklepowa – bierze kawałek niebieskiego papieru w kropki i natychmiast spod jej rąk wyłania się elegancki pakunek ze złotą wstążką.

– À propos, jeżeli rozlegnie się dzwonek i jakaś zdesperowana kobieta będzie chciała skorzystać z moich usług albo jeśli jakiś mężczyzna będzie chciał rozmawiać bezpośrednio z Samuelem Espartą, poinformujesz ich ze smutkiem, że twój szef prowadzi teraz najbardziej tajemniczą sprawę w całej swojej długiej karierze.

Koldobike patrzy na mnie z ukosa i cierpliwie kiwa głową.

– Uwierzysz mi, jeśli cię zapewnię, że czuję się niemal onieśmieszony tym wielkim tematem, który przypadkiem wpadł mi w ręce? – Koldobike nie odrywa wzroku od trzymanego pakunku. – Tak właśnie, który wpadł mi w ręce bez jakiegokolwiek wysiłku z mojej strony... Zardzewiały hak Felixa Apraiza tkwił tam sobie spokojnie, wbity w skałę, którą wszyscy tak świetnie znamy. Félix Apraiz w cementował go w naturalnie powstałą szczelinę, nie wiadomo nawet kiedy, i do niej przyczepiał swoje takle na wieczorny połów. Czasami komuś udawało się go wyprzedzić, komuś, kto nie miał żadnego prawa korzystać z jego haka. To naturalnie doprowadzało go do białej gorączki. Odcinał nieznaną linkę i przywiązywał własną. Słyszysz, co mówię? Nie odwiązywał obcej takli, tylko ją odcinał. A wśród tych, którzy doprowadzali go do białej gorączki, byli triumfujący bliźniacy Eladio i Leonardo... Ale czy to był wystarczający powód, żeby ich zabić?

– Wystarczyłoby zabić jednego – przerywa mi Koldobike, która bierze udział w moich spekulacjach. – Drugi zrozumiałby i emigrował.

– Emigrował? Ejże! Natychmiast by na niego doniósł. Albo rozwaliliby mu czaszkę.

Bliźniacy byli w gorącej wodzie kąpani. Ale ten, który przeżył, nic takiego nie zrobił.

– W takim razie Felixowi Apraizowi na rękę byłoby zamordować obydwu.

– Właśnie, kimkolwiek był morderca, chciał się pozbyć obydwu.

– To dlaczego ich nie zabił?

– Już ci to tłumaczyłem: bo Etxe pojawił się na czas i udało się przeciąć łańcuch, którym

przypięta była szyja Eladia, kiedy woda sięgała mu już nosa. Utopiony Leonardo unosił się tuż obok.

Koldobike zaczyna otwierać paczki z wydawnictw, które dzisiaj otrzymaliśmy.

– Czy Eladio jeszcze żyje?

– Nie słyszałam, żeby umarł.

Koldobike zarzuca swoje zajęcie i staje przede mną twarzą w twarz.

– Jeśli Félix Apraiz miał dziesięć lat, żeby dokończyć robotę, a tego nie zrobił...

odpowiedź jest prosta. Musisz poszukać gdzie indziej... Jeżeli podjąłeś się tej sprawy, bo myślałeś, że jest taka prosta, zapomnij o niej i zajmij się sprzedażą książek, a nie ich pisaniem.

– Prosta czy nie... jest mi to obojętne. Wybrałem ją, bo jest prawdziwa! Czy w dalszym ciągu nie rozumiesz?

Ależ tak, rozumie. Wymiana strzałów między nami okazała się bardzo obiecująca.

– A niebezpieczeństwo... – mówi, zamierzając się na jedną z paczek nożyczkami.

– Jakie niebezpieczeństwo?

– Od tej chwili to nie twoje pióro będzie poruszało mordercę, on będzie poruszał się sam.

Jest na wolności i wcale go nie uraduje, że ktoś postanowił przerwać mu jego dziesięcioletnią sjęstę. Będzie się chciał z tobą zmierzyć. Słyszysz, co mówię? Przyjdzie po ciebie.

– Dziękuję za ostrzeżenie, aleczko. Będę się miał na baczności, żebyś nie popełniła samobójstwa.

Milknę, żeby się przekonać, czy zapyta mnie o coś w stylu: „To też już napisałeś?”, ale nie. Wręcz przeciwnie.

– Tak, niebezpieczeństwo – powtarza – prawdziwe niebezpieczeństwo poza kartami powieści.

– Kiedy ja właśnie szukam realizmu!

– A co zrobisz, kiedy zaczniesz do ciebie mierzyć z dubeltówki?

– Z Getxo zniknęły wszystkie strzelby, wszystkie zostały zawinięte w stare szmaty i głęboko zakopane. Poza tym przeczytałem wszystkie powieści i widziałem wszystkie filmy czarnego kina. Znam wszystkie chwyt.

Odpowiedź Koldobike daje wyraz jej myśleniu i tłumaczy to spojrzenie, którym mnie obrzuca.

– Niech szewc Suelas zrobi ci wyższy obcas, żebyś przekroczył chociaż z metr sześćdziesiąt pięć... A jeśli morderca wyjechał do Ameryki? Oby! Wówczas twoja powieść nie będzie miała zakończenia, nie będzie powieści.

– Wojna wysłała na emigrację tylko najlepszych, ten człowiek zapewne tu na mnie czeka.

– Chcesz naprawić niedopatrzenie Franco.

– Sprawa była już zamknięta, kiedy odwiedził nas Patxi. Leonarda zamordowali w czerwcu trzydziestego piątego, na trzynaście miesięcy przed wojną. Nasza policja miała do dyspozycji całe trzynaście miesięcy, żeby przeprowadzić śledztwo. Wojna była na rękę mordercy, ludzie zaczęli się martwić czymś innym. Później, kiedy „wyzwolili” Getxo, w czerwcu trzydziestego siódmego, Franco, z rękami splamionymi krwią tylu poległych, nie miał zamiaru zajmować się tylko jednym i w dodatku jeszcze tak mu dalekim... Ale owszem, przeprowadzono śledztwo, trwało trzynaście miesięcy.

– Zdajesz sobie sprawę? Tylu polujących łowców: policja, niżsi urzędnicy, sędziowie śledczy, prawnicy, donosiciele... a ty chcesz wygrać tam, gdzie oni wszyscy ponieśli klęskę!

Ani na chwilę nie przerywa swojej pracy, teraz przegląda dokumenty. A mi ta cała sprawa nie pozwala przestać przemierzać księgarni krokami.

– Tylko heroiczne wielkie sprawy zasługują na to, żeby je opisać – mówię.



Koldobike podnosi głowę, patrzy na mnie, a ja zaczynam sobie z upodobaniem wyobrażać, że myśli teraz o sobie samej, że mogłaby zacząć żyć innym życiem. Dlaczego, jeśli to nieprawda, siada i z większą uwagą obciąża bluzkę?

– W tej grze od początku przewagę ma morderca. On będzie wiedział, kim jesteś, a ty niestety nie będziesz wiedział, kim jest on.

– Ale ten mężczyzna nie będzie się niczego spodziewał, a ja będę przygotowany na wszystko.

– Mężczyzna? A czemu nie kobieta?

Mężczyzna, mężczyzna, i ona też dobrze o tym wie.

– Jeszcze jeden punkt dla mnie – pomyśli, że jego śladem podąża roztrzepany księgarz i poczuje się bezkarnie.

– Gdybyś chociaż był nie jednym, a całym tuzinem księgarzy!

– Moja prawdziwa przewaga polega na tym, że on nie czytał Raymonda Chandlera ani Dashiella Hammetta, a ja tak. – Koldobike posyła w moją stronę ciche westchnienie. Zatrzymuję się przed regałem z działem specjalnym. – Dostarczono dzisiaj jakiś nowy tytuł? – To pytanie, które zadaję jej niemal codziennie.

– Nie. I lepiej żeby nie przysyłali nowych, bo inne nie schodzą i nie ma miejsca. I wiesz, co ci powiem? Jeżeli ten pomysł nie wyleci ci z głowy, rozpalę na ulicy ognisko wszystkimi tymi książczyniami, które zjadły ci mózg.

Stoi za moimi plecami. Czuję zapach jej tanich perfum.

– Idź do fryzjera i niech cię zrobią na blondynkę.

Słyszę, jak wstrzymuje oddech. Nie ośmielam się odwrócić.

– Czyżby blondynki sprzedawały więcej książek?

Wiem, że tak nie myśli. Odwracam się z nagłym entuzjazmem i łapię ją za ramiona.

– Słuchaj, prosty parawan zamieni mój kantorek na zaplecze w biurze z prawdziwego zdarzenia, w którym Samuel Esparta będzie przyjmował swoich klientów w opresji. Do księgarni przybędą interesanci... mężczyźni i kobiety, to bez znaczenia... którzy nie będą szukać książek, tylko prywatnego detektywa Samuela Esparty, a ty będziesz udawać, że wyjmujesz z ust gumę do żucia albo wyciągniesz ją naprawdę, przykleisz ją pod biurkiem i zapytasz: „Kogo mam zapowiedzieć?”, po czym podejdziesz do parawanu, wetkniesz głowę i zapowiesz: „Pan X albo pani X”. Wszystko to lepiej zrobi sekretarka blondynka.

Cofa się o krok, wyswobodzając się z mojego uścisku.

– Jak śmiesz rozkazywać mi cokolwiek w sprawie moich włosów? Zwariowałeś.

Będziesz musiał poszukać sobie innej.

– Nie chcę innej, chcę ciebie.

Wypuszcza powietrze, ale nie całkiem.

– Podobają mi się moje włosy, nigdy ich nie farbowałam i nie mam takiego zamiaru.

Wzruszam ramionami.

– Dobra... Niech będzie, to tylko szczegół... wcale nie najważniejszy.

– Nie? – Koldobike zaczyna być ostrożna, zraniłem ją niechcący, z mojej strony nie było to najmądrzejsze.

– Zacznę od tego, co już mamy, i zobaczymy, co dalej – ogłaszam.

Podchodzi do swojego biurka, ale jeszcze przy nim nie siada.

– Wiesz już przypadkiem, od czego zacząć śledztwo?

– Od plaży, naturalnie. Od Etxego, który odkrywa bliźniaków przywiązanych do skały Felixa Apraiza. Moim premierowym wystąpieniem będzie rozmowa z Etxe, moje pierwsze przesłuchanie.

O czym myśli Koldobike w czasie tej przerwy, którą sobie robi?

– Wiesz, co ci powiem? – Wskazuje na mnie palcem. – Powinieneś zacząć od wizyty u księdza.

– Księdza? Jakiego księdza?

– Księdza, któremu się wyspowiadał.

– Kto się wyspowiadał?

Jej twarz spowijają cienie.

– Zapomnij o tym, nie chcę się w to bawić.

– To nie zabawa, to wszystko jest tak prawdziwe, jak samo życie.

– Tylko w powieściach tak mówią.

– A to nie jest już przypadkiem powieść?

Kiwa głową ze znużeniem, wydaje mi się, że uznała mnie za całkowicie beznadziejny przypadek. Ale ten pomysł z księdzem...

– Tylko w filmach mordercy chodzą do konfesjonału.

– Filmy i powieści... jedno warte drugiego! Chociaż jeśli to wariactwo, w które się wpakowałeś, jest prawdziwe, powinni się w nim znaleźć też i księża, którzy spowiadają morderców.

– Tak, ale cała ta sprawa pójdzie o krok dalej, powstanie z niej powieść... To już jest powieść!

Podbiegam do biurka, siadam przy nim, wyciągam z szuflady plik białych kartek, wybieram z kubka na przybory do pisania wieczne pióro, ściągam skuwkę i zaczynam pisać pierwsze zdanie, pierwsze słowo. Drży mi ręka. Patrzę na Koldobike i przyłapuję ją na tym, jak śledzi moje poczynania. Tę ciszę mógłby zmącić jedynie odgłos chrobotania pióra po kartce, ale moja ręka jest jak z kamienia.

– Od czego ty byś zaczęła? – szepczę. – Jestem na plaży, właśnie przypomniałem sobie, co zdarzyło się na tej skale i o bezkarności mordercy... A wszechmogąca rzeczywistość narzuca mi muzykę słów, z którą muszę myśleć... z którą muszę pisać! Posłuchaj, co napisałem dzisiaj rano na plaży: „Piszę bez pióra i bez papieru, jedynie w głowie. Ale piszę, niech nikt w to nie wątpi. A to, co czytam, podoba mi się...”. To nie jest początek powieści. Prawdopodobnie powinienem wrócić w to samo miejsce... Dlaczego mi nie pomożesz?

– W tej studni z węzami, do której chcesz wskoczyć, ja widzę tylko jedną osobę w czerni, która wie, kim jest morderca.

– Gdybyś przynajmniej mogła mówić już o bohaterze, a nie o osobie!

– Właściwie wiedzą o tym dwie osoby: ksiądz i morderca. Poszukaj tego księdza. Nie jest z Getxo, mieszka w Quimbambas.

– Brzmi całkiem dobrze, podoba mi się, to będzie częścią tekstu... Jesteś sekretarką, jakiej potrzebuję!... Ale to jeszcze nie jest idealny początek.

Koldobike podchodzi do mnie niezwykle poważna.

– Czy po dziesięciu latach nasze miasteczko potrzebuje, żeby ktoś przypominał mu o podwójnym morderstwie, które...?

– Doskonale! – wykrzykuję w euforii.

Chrobotanie mojego pióra brzmi jak najpiękniejsza muzyka.

– Co piszesz?

– Doskonały początek... który z kolei rozpocznie następny akt... bardzo podobny do „czarnej” serii... i do innych powieści na poziomie: „Chociaż, w rzeczywistości, nie zginęło dwóch bliźniaków, a tylko jeden z nich”.

– Wymyśliłeś już moje nowe imię?

- Koldobike. Żadnych zmian, to bardzo dźwięczne imię.  
Wewnętrzna rekonstrukcja własnej osoby zajmuje jej trochę czasu.
- Niech będzie Koldobike... Ale powinienesz być mnie ostrzec, mam na sobie wygniecioną spódnicę. A powinienesz mnie teraz zobaczyć w tej, której akurat nie mam na sobie. Opiszę ci ją: jest niebieska i ma takie małe plisy...
- Nie widzę jej. Piszę tylko o tym, co realne. Jeśli nie, musiałbym wrócić do przekłetej fikcji.
- Nie bądź uparty jak osioł. Spójrz na to tak. Jeżeli teraz poszłabym do domu, żeby się przebrać, i wróciła w niebieskiej spódnicy, byłaby to rzeczywistość, tak? I napisałbyś, że Koldobike wyszła na chwilę z księgarni i wróciła w starannie wyprasowanej niebieskiej spódnicy... Nadążasz? A ponieważ nie ma sensu opisywanie „całej” rzeczywistości, mam nadzieję, że nie wspomniałeś wcześniej o niedoprasowanej spódnicy, i w ten sposób Koldobike będzie miała na sobie przez cały dzień wyprasowaną spódnicę, a wszystko to będzie zgodne ze stanem rzeczywistym.
- Nie, nigdy! Byłoby to tym samym, czym wykorzystanie nędznych forteli, które mogą służyć autorowi dla podtrzymania jego realizmu.
- W takim razie będę przychodzić do pracy w sukni ślubnej.
- Czy naprawdę proszę o tak wiele, jeśli chcę, żebyś po prostu pojawiła się tutaj taka jak zwykle?
- A ty pokazujesz siebie takim, jaki jesteś?  
Czuję się na tyle oszołomiony, że aż sama Koldobike musi przyjść mi z pomocą.
- Nie przejmuj się, jest jeszcze ktoś, kto nie będzie samym sobą. – Nachyla się z bibułą, żeby wchłonęła kroplę atramentu, która skapnęła mi z pióra. – Mam nadzieję, że odnajdziesz go, zanim on odnajdzie ciebie, Samie Esparto.

## A gdzie kobiety?

Na początek przechodzę całą długość brzegu, od jednego do przeciwległego końca plaży, na wszelki wypadek, gdyby przeklęty pakunek, który cisnąłem dzień wcześniej, został wypłuty przez morze minionej nocy. Czuję, że otaczający mnie świat daje mi swoje błogosławieństwo, droga wolna.

Przyszedłem poczekać, aż zjawi się Etxe, ranny ptaszek, pierwszy w miasteczku, który sprawdza, co takiego podarowały nam fale każdego ranka w czasie swojej ostatniej wędrówki. Nie są to żadne wielkie skarby, a nawet jeśli kiedyś takie się trafiły, to Etxe, na którego wówczas padło, pary z ust nie puścił. Co to mogło być? Może jakiś wspaniały medalion albo mały kuferek ze starymi złotymi monetami? Nie było rozczarowania, bo Etxe nigdy nie spodziewali się niczego wielkiego. W każdym razie być może powoduje nimi najzwyczajniejsze pragnienie, żeby odnaleźć to, czego tak bardzo im brakuje – kobietę. W La Venta krążył przez jakiś czas ten gorzki żart. Dlatego że mężczyznom z rodziny Etxe kobiety żyły krótko, mam na myśli, że szybko umierały. Z ich twarzy wyziera spojrzenie samotnego rozbitka. To tak, jakby na wybrzeżu mieli nadzieję odnaleźć kobietę, której odmawia się im na stałym lądzie. Marzenie – wyobraźmy to sobie – niemożliwe do spełnienia i co dzień trzeba się z nim pożegnać, morze wyrzuca bowiem jedynie zwłoki. Czym się zajmują, właściwie nie wiadomo, żyją z upraw i z tego, co im wyrzuci morze.

Właśnie zaczynam się obawiać, że udało mi się ubiec samego Etxe, kiedy dostrzegam go na horyzoncie w bladym świetle poranka. Jestem mniej więcej w połowie plaży, na wysokości ostatnich warownych murów z piaskowca, należących do starego fortu. Drobną postać zbliża się w moim kierunku, kilkakrotnie zbacza z drogi, zanim staje na mojej wysokości, więc i ja muszę iść po skosie, żeby przeciąć mu drogę.

– Dzień dobry – pozdrawiam go. Nie miał innego wyjścia, musiał się zatrzymać. Jego oczy wolałyby na mnie nie patrzeć. – Czyżby ktoś wyrzucał was co rano z łóżka? – Nie, może nie powinienem zaczynać tak obcesowo. – Wyrzucili cię z łóżka – staram się załagodzić – tak jak i mnie.

Wpatruję się w jego bladą twarz dziecka. Tych z rodziny Etxe rzadko dosięgają promienie słońca. Ale tak naprawdę tym, co zwraca moją uwagę, nie jest bladość tej twarzy, a...

– Mogę o coś zapytać? – Spogląda mi w oczy po raz pierwszy. – Ile masz lat?

Zastanawia się przez chwilę.

– Chyba dwadzieścia jeden.

– W takim razie nie możesz pamiętać... Mam na myśli tamten dzień, kiedy o podobnej porze nie było cię wtedy na plaży, musiałeś być w domu, bo miałeś jedenaście lat. A ponieważ nie widziałeś bliźniaków na skale, nie możesz niczego pamiętać. – Mój pierwszy krok nie okazał się owocny. Dławię w sobie gniew i z łagodnością zadaję mu kolejne pytanie: – Z kim mieszkasz, chłopcze?

– Z ojcem.

– Oczywiście, z ojcem – powtarzam. – I co, pewnie w Etxetxenie... W takim razie go odwiedzę!... Hmm... myślisz, że już wstał?

– Zaraz tu przyjdzie.

Odwracam się i chyba dostrzegam w oddali jakiś cień, który zmierza w naszym kierunku. Żaden z „nich” nie stracił nad sobą panowania z powodu takiej błahostki. Muszę się hartować,

wejść w swoją rolę. I dlatego, zanim zadam mu kolejne pytanie, przedstawiam się:

– Jestem Samuel Esparta, prywatny detektyw. – Jak najprędzej muszę się zaopatrzyć w karty wizytowe. – Prowadzę śledztwo w sprawie morderstwa bliźniaków Altube... Słyszałeś coś na ten temat?

Umyślnie wypowiedziałem te słowa bardzo wolno, ale nic nie zmąciło jego nieobecnego spojrzenia.

– Nic ci nie opowiedzieli? Kto z twoich bliskich przechadzał się po plaży tego ra...?

– Jesteś z policji?

– ...nka... Co takiego? Z policji? Nie! Nie przychodzę od nich ani od nikogo. To sprawa osobista, chcę wykurzyć mordercę z ukrycia. To jedna z historii Getxo, którą trzeba wyjaśnić.

– Nigdy nie widziałem nikogo na plaży pod krawatem i w amerykańskim kapeluszu.

Chwytam go za ramię, żeby mi nie uciekł.

– Wcześniej nie przychodziliście we dwójkę... To twój ojciec musiał usłyszeć krzyki Eladia i teraz boi się przychodzić na plażę sam, jakby miało się to jeszcze raz powtórzyć?

– Dziadek też przychodzi.

– Ani twój dziadek, ani twój ojciec nie opowiedzieli ci nigdy o morderstwie, które zostało popełnione dokładnie w tym miejscu? Który z nich był jego świadkiem? Czy twój dziadek idzie za ojcem?

– Dziadek siedzi w domu z dzieckiem.

– Jakim dzieckiem?

– Moim synem.

Jestem o krok, żeby zapytać: „A gdzie kobiety?”, ale myślę: „Mój Boże! Cztery pokolenia i nie ostała się im żadna kobieta!”. Etxe uwalnia swoje ramię i odchodzi przed siebie.

– Do widzenia – żegnam się z jego plecami i czekam w tym samym miejscu na tego, który się zbliża. On nie zbacza z trasy.

– Dzień dobry.

Zatrzymuje się w odległości dwóch kroków ode mnie. Ten musi być prawdziwym Etxe. Na plecach niesie wypełniony czymś worek.

– Inocencio zaznacza patykami to, co znajduje, a ja zbieram – mówi na wstępie. – To przez moje oczy, prawie nic nie widzę.

On i owszem, odezwał się pierwszy, ale nie ma ochoty ciągnąć rozmowy, chce iść dalej.

– Poczekaj, poczekaj. – Muszę go jakoś zatrzymać. – Jestem Samuel Esparta, prywatny detektyw, i myślę, ze względu na twój wiek, że to ty uratowałeś życie jednemu z bliźniaków Altube. Pamiętasz? Dziesięć lat temu, tutaj, w tym miejscu.

Milknę, żeby mógł pozbierać myśli. Chciałby móc spojrzeć mi prosto w oczy, ale udaje mu się to tylko połowicznie.

– Tak. Tak, ale co ci do tego?

Niby hardo domaga się wyjaśnień, ale w rzeczywistości nie jest ulepiony z tej gliny i moje pytanie wyprowadza go z równowagi, zaraz też worek zsuwa mu się z ramienia i upada na piasek, a szyja bezskutecznie stara się utrzymać opadającą głowę.

– To było potworne – szepce. I powtarza: – Potworne.

– Owszem, prawdziwa barbaria, która uszła komuś płazem.

– Co takiego?

– Nigdy nie została wyjaśniona. Morderca na wolności chodzi sobie swobodnie po miasteczku.

Głośno wzdycha.

– Potworne, co ja przeżyłem. Biegałem w te i nazad, bez wytchnienia, a udało mi się

uratować tylko jednego z chłopaków. To właśnie było najgorsze: tylko jednego. – Nogi się pod nim uginają, siada na piasku, tuż obok worka. – Dlaczego? – Teraz i owszem, wpatruje się we mnie, z dołu udaje mu się spojrzeć mi prosto w oczy. Zaczyna kręcić głową to w jedną, to w drugą stronę, w akcie narastającej desperacji. – Ale co mnie właściwie interesuje dlaczego? Nie chcę o tym mówić. Nie chcę.

– Świetnie to wszystko pamiętasz.

– Tak, teraz tak, bo mi o tym przypomniałeś. Przez dziesięć lat udawało mi się nie pamiętać! W domu nigdy nie opowiadałem o tym przekleństwie. Nigdy!

Opiera łokcie na kolanach i chowa twarz w dłoniach.

– Nie wiń się za nic. Zrobiłeś, co było w twojej mocy.

– Ale jeden z nich zginął! Nie byłem wystarczająco szybki. Straciłem za dużo czasu...

– Co masz na myśli?

– Słyszę krzyki, podbiegam do skały, wspinam się na nią i widzę przykutą łańcuchem dwójkę. Zaczynam ciągnąć za łańcuch, a Eladio krzyczy, żebym zostawił i szybko biegł po kowala z Cuatro Caminos, więc gnam, potem tracę jeszcze trochę czasu, starając się dostać do kuźni... A przyływ się podnosi!

– Była zamknięta?

– A jak inaczej, skoro kur jeszcze nie zapiał?

– To ciekawe, nikt nigdy nie wspomniał, że drzwi były zamknięte.

– Zamknięte, zamknięte na cztery spusty! A ja próbowałem się do nich dobić, z jęzorem na wierzchu!

– Jakoś musiałeś przecież sprowadzić pomoc.

– Ale Antima Zalli nie było, nie mieszkał tam, tylko trzy domy dalej.

W znanej mi wersji nigdy nie wspomniano o tym detalu.

– Jeśli wiedziałeś, że tam nie mieszka...

– Wiedziałem, ale zapomniałem! W końcu zacząłem kopać w drzwi.

– I wtedy przypomniałeś sobie, że...

– Tak, przypomniałem sobie to, co wiedziałem, i pobiegłem dobijać się do właściwych drzwi aż do usranej śmierci. W końcu nad moją głową otworzyło się okno i usłyszałem: „Co? Co jest?”. To był Antimo, a ja mu odkrzyknąłem, co się dzieje, a on: „Co? Co?”, aż wreszcie otworzyły się drzwi, stanął w nich Antimo w slipach i chrząknął: „Co? No co?”. A ja ciągnę go za sobą, nie przestając krzyczeć, a on biegnie z powrotem na górę i wraca w samych spodniach i w berecie, tak samo jak jego syn Tomasón. „Trzeba przeciąć łańcuch!”, mówię im, a on na to, że słyszał. I to była prawda, bo kiedy dochodzimy do kuźni, widzę, że trzyma w ręku klucz, wchodzimy, a on zabiera ze sobą piłę, ale nie może znaleźć ostrzy, i wreszcie po chwili widzę, że trzyma jedno w ręce, ale mówi, że potrzeba więcej, że się połamię, i szuka dalej, a przyływ się podnosi, aż wreszcie, wieki minęły, zbiegamy we trzech po szosie, a ja ich poganiam...

Nagle milknie i patrząc mi w oczy, pyta:

– Dlaczego ci o tym opowiadam?

Zapewniam go, że jestem mu bardzo wdzięczny, i przypominam, że jako detektywa żywo interesuje mnie...

– Tak, wiem, ale nic dobrego nie przyniesie opowiadanie o tym, co zdarzyło się dawno temu.

– Czemu nie? Do tej pory nikt nie zajął się wymierzeniem sprawiedliwości, a jest w nas coś, co każe nam robić rzeczy dobrze, co dopomina się dobrego zakończenia. A jeśli ten morderca chodzi na wolności...

– Kto ci właściwie płaci, żebyś grzebał w przeszłości?

– Nikt mi nie płaci... chociaż my, prywatni detektywi, jeśli ktoś nas wynajmuje, zarabiamy zazwyczaj parę peset dniówki plus wydatki. Teraz wynająłem samego siebie. – Nie rozumie, brakuje mu informacji: skąd pochodzą pieniądze, które przekładam z jednej ręki do drugiej? – Jestem Sancho, z księgarni Beltza w Algorcie.

Zastanawia się przez chwilę.

– Ten z księgarni jest z rodziny Bordaberri. Vicenta rozstrzelali. Musisz być Sancho, jego syn? Jesteś do niego podobny, może to i ty.

Przypatruje mi się z ciekawością i potakuje. Ale jest jeszcze coś, co mu się nie zgadza.

– Wiesz dobrze, ludzie przebierają się, zanim zejdą na plażę łowić... – staram się rozwiać jego wątpliwości.

– A ty teraz łowisz... Opowiem ci tylko to, co wówczas powiedziałem policji, co już i tak wszyscy wiedzą, w tym i ty.

– Nie do końca, nikt nie wiedział do dzisiaj, ile czasu zmarnowałeś, dobijając się najpierw do jednych, potem do drugich drzwi, co mogło skazać na śmierć Leonarda. Dlaczego to zataiłeś? A może wolałeś pojawić się na plaży nieco później? Kiedy jakiś prywatny detektyw odkrywa, że ktoś nie chce mówić, zaczyna go podejrzewać. Tak jest we wszystkich powieściach kryminalnych.

– Co masz na myśli? – Przejmuje go strach. – Nie miałem nic przeciwko bliźniakom Altube... Jednemu uratowałem życie! Nie chcę przypominać sobie tego koszmaru.

Czekam, żeby się uspokoił, nie chcę wystraszyć go bardziej. Wraca do swojej opowieści, dokładnie do momentu, w którym przerwał:

– Biegliśmy we trzech po plaży, ja pierwszy, żeby nadać tempo, oni za mną... Czy tak robi ktoś, kto chce pojawić się za późno? Nie spuszczałem z oczu skały Felixa Apraiza.

– Czy możemy do niej podejść?

Nie podoba mu się ten pomysł, ale wstaje. Zaczynamy iść po plaży, nie odzywamy się ani słowem, boję się, że może teraz pożałować swojej decyzji i zostawi mnie samego. Dochodzimy do miejsca, w którym kończy się piasek i zaczynają kamienie.

– Od tamtego czasu nigdy nie byłem tak blisko – słyszę szept Lucia Etxe.

Nie spuszcza z oka widocznej w odległości około stu metrów od nas wielkiej skały z wbitym hakiem, którą pieszczą fale nadchodzącego przyływu. Stąpamy teraz po omszałych kamykach, usiłując zachować równowagę, co utrudniają mi zupełnie gładkie podeszwy. Zanim dotrzemy do większych skał, musimy przepawić się przez kamienie. Opuszkami palców gładzę chropowatą powierzchnię haka, wmurowanego na wysokości jednej trzeciej w dolnej części twardej skały.

– Kto w końcu odczepił łańcuchy?

– Nikt ich nie odczepiał, zostały tutaj. A następnego dnia już ich nie było.

– Pewnie sędzia kazał je odczepić.

– Nie wiem. Nikt ich więcej nie widział.

– Czym były przymocowane te łańcuchy do...?

– Kłódką. Ogromną.

Spieszy mu się, żeby jak najszybciej skończyć i sobie pójść.

– Za pomocą kłódek – prostuję.

– Nie, kłódką, tylko jedną.

– Musiały być dwie, po jednej do każdego łańcucha, a każdy z nich okręcał jedną szyję.

Nieszczęsnemu Leonardowi musiał przypaść ten krótszy.

– Nie było ani krótszego, ani dłuższego, był tylko jeden bardzo długi łańcuch, który cały się poskręcał pod wpływem uderzeń fal. Ale właśnie: z supła wychodziły dwa końce. Liczy się

tylko to, że ten, który był krótszy, musiał w istocie być dłuższy.

– A czym były połączone oba końce łańcucha przy szyi?

– Kłódkami. Tym razem były dwie. Trochę mniejsze.

– Czyli że Antimo Zalla musiał przepiłować w sumie trzy kłódki...

– Nie, ogniwa łańcucha. Dwa. Ale tylko jedno się opłaciło.

Przychodzi mi do głowy, żeby go zapytać:

– Czy Eladio był ci wdzięczny za pomoc? Powiedział ci coś wtedy albo któregoś kolejnego dnia?

– Wtedy nie. Przez pierwsze godziny był bardziej martwy niż żywy. Płakał i płakał po swoim bracie i po swojej krzywdzie pewnie też. Trząśł się cały, patrzył na nas, ale nas nie widział. I tak było przez parę dni. Ludzie mówili mu: „Ale żyjesz, wiesz, że żyjesz?”. A on nieznudzony powtarzał za każdym razem: „A to łajdak! A to łajdak!”. Sędzia zapytał go, kogo ma na myśli, ale biedak nie miał na myśli żadnego nazwiska, tylko bardzo się bał.

– W takim razie kiedy?

– Kiedy co?

– Podziękowania.

– Z czasem, chyba jakiś miesiąc później. Zatrzymał mnie na drodze i powiedział: „Niech Bóg ma w opiece twój słuch” i poklepał mnie parę razy po ramieniu. To mi już wystarczyło. I wtedy przypomniałem sobie, że kiedyś widziałem, jak komuś dziękował. Wyprostował i naprężył ręce zwisające wzdłuż ciała, przymknął oczy i... poruszał uszami!

Z trudem wdrapuję się na skałę i kiedy w końcu mi się udaje, opuszczam się w dół, staję nogami na dolnej części w miejscu, w którym wbity jest hak. Staram się wyobrazić sobie, że moją szyję okręca jeden z końców łańcucha, a wtedy jedna z fal rozbija się o dolną część skały i zalewa mi buty... Czuję dreszcz.

– Poza tym była nienawiść.

– Co takiego?

– Nie wystarczyło mu, żeby ich zabić. Chciał widzieć ich agonię, którą bez wątpienia oglądał z jakiejś niewielkiej odległości... A właśnie, czy na ich głowach zauważyłeś jakieś ślady po ciosach?

– Tak, z przodu, dwa wielkie sińce po uderzeniach pięścią...

Podnoszę się.

– Dlaczego nigdy nie wspomiano nic na temat tych uderzeń? Morderca musiał właśnie od tego zacząć. Jak inaczej będąc sam, mógłby zakuć w łańcuchy dwóch mężczyzn? I właśnie... dlaczego jest mowa tylko o jednym mordercy, a nie o dwóch czy trzech? Bliźniacy robili całe mnóstwo interesów, a ich biznesy rzadko bywały niewinne, mieli wielu wrogów, wszyscy o tym wiedzieliśmy... Chociaż sam skłaniam się do samotnego mordercy, który wymierzył ciosy, żeby pozbawić swoje ofiary przytomności. Nie mam najmniejszych wątpliwości, bo gdyby chociaż jeden z nich przeżył, tak jak się stało, mógłby opowiedzieć, do kogo należała twarz tego, który ich zaatakował... Czy kiedy zjawiał się tutaj, widziałeś coś jeszcze, Lucio Etxe? Nie chodzi mi nawet o sylwetkę, nawet nie o twarz. Bardziej o cień, o wrażenie, że nie jesteś sam, o przecucie, że ktoś się wam z bliska przygląda...

– Tak, widziałem twarz – oznajmia wycieńczony. – Ale nie sylwetkę... Może to te nerwy... Tak, widziałem twarz. Zapomniałem o niej, aż do dziś.

Zamyka oczy i mam wrażenie, że usilnie próbuje sobie przypomnieć. Ale to tylko objawy zmęczenia.

– Przestań przypominać mi o tym wszystkim – mówi, nie otwierając oczu. – Robi mi się niedobrze.



– Swoim zachowaniem zmuszasz mnie, żebym zaczął podejrzewać, że nie było tu nikogo poza tobą. – Atakuję go z zaskakującą zuchwałością. – Najpierw w osłonie ciemności wymierzyłeś im ciosy kamieniem, na piasku leżały już przygotowane łańcuchy i kłódki, w które się wcześniej zaopatrzyłeś. I podczas zajścia przyszło ci do głowy, żeby z mordercy zamienić się w fałszywego wybawcę i dzięki temu dokonać zabójstwa doskonałego. Byłeś przekonany, że kiedy dotrzesz na miejsce z Zallami, z ojcem i synem, przyplływ podniesie się na tyle, że obaj nieszczęśnicy utoną. A kiedy zobaczyłeś, że Eladio jeszcze dycha, przeraziłeś się nie na żarty.

– O czym mówisz, Sancho Bordaberry? O czym ty mówisz?

Kuli się, przytrzymując brzuch obiema rękami, i wymiotuje na kamienie. Oddycham głęboko – czy Spade lub Marlowe posunęliby się tak daleko? Schodzę ze skały i podtrzymuję Lucia Etxe, pomagam mu się wyprostować i prowadzę go na piasek, żeby usiadł. Wycieram mu usta chusteczką. Całym sobą czuję przejmującą samotność Etxe.

– To tylko poszlaki, którymi rzuca się w czasie śledztwa, wcale w nie nie wierzę – pocieszam go. – Taki mam zawód, to nic osobistego.

– Uczta dla raków pustelników – szepce Lucio Etxe, pokazując swoje żółte wymiociny.

– Jeszcze tylko jedno. Docierasz do skały i zaczynasz ciągnąć za oba końce... Dlaczego za oba, skoro wiedziałeś, że Leonardowi nie przyda się już żadna pomoc?

– Myślisz, że nerwy pozwalały mi trzeźwo myśleć?

– I wtedy Eladio krzyczy do ciebie, żebyś przestał ciągnąć... on robił to już wcześniej bez skutku... i żebyś ruszył po pomoc, po kowala. Tak było?

Lucio Etxe potakuje.

– I kiedy pojawia się Antimo, przepiłowuje jeden z końców...

– Przepiłował łańcuch, który Eladio miał dookoła szyi.

– A dlaczego nie zaczął od Leonarda?

– Skąd mam wiedzieć!

– A później, kto pomógł wyciągnąć Eladia, a kto Leonarda? Byliście we trzech...

– Na Boga, wystarczy! Chcę iść do domu.

– Poczekaj, to ważne... Dlatego że tam też mógł być morderca... Chodzi mi o to, że jeśli byłby to jeden z was, najpierw starałby się wyciągnąć nieboszczyka, żeby dać morzu szansę dokończenia sprawy z półżywym drugim. To dla mnie bardzo ważne, żeby wiedzieć, czyje ręce wyciągały kogo.

– Wariat z ciebie! – wykrzykuje Lucio Etxe ostatkami sił. – Jak mówiłeś, że nazywa się to, czym się zajmujesz?

– Prowadzę śledztwo. Jestem prywatnym detektywem.

– W takim razie jesteś głównianym detektywem!

I spluwa z obrzydzeniem resztkami wymiocin, które podeszły mu do gardła.

## Rozmowa na szczycie

Wybiła siódma. Nigdy jeszcze nie otworzyłem księgarni tak wcześnie. Po drodze minął mnie tylko zaspany robotnik, który szedł na stację w Algorcie. A ja kompletnie rozbudzony, krew buzuje we mnie niczym górski potok.

Jeżeli nie zapalam światła, to nie dlatego, że mamy wrzesień i o tej porze pierwsze promienie słoneczne wlewają się do środka, ale dlatego, żeby uniknąć bzyczenia lamp. Przechodzę przez księgarnię, idąc na swoje miejsce. Mijam powieści Raymonda Chandlera i Dashiella Hammetta, których pozdrawiam, jakbym został członkiem tego samego bractwa. Siadam przy biurku, zakładam nogę na nogę, przyciskam kolana jedno do drugiego i krzyżuję ręce na piersi, staram się zapanować nad własnym zmęczeniem. Nie mam nawet siły, żeby przypomnieć sobie, jakie były moje pierwsze kroki w roli detektywa. I poddaję się ciężarowi własnych powiek...

Nagle głos Koldobike wrywa mnie ze snu.

– Jak tam sprawy na plaży?

– Sprawy? Nie ma żadnych spraw, jest tylko powieść! Swoją drogą, skąd wiesz, że byłem na plaży?

– Masz na sobie tonę piasku.

– Wziąłem w dwa ognie Lucia Etxego i jego syna w czasie ich codziennej przechadzki. Wiedzą, kim jest Samuel Sparta. A to już coś. Lucio wylał na mnie strumień wspomnień sprzed lat. Ja zadawałem pytania, a on nie tylko odpowiadał, ale wręcz podarował mi kolejne linijki śledztwa umorzonego dziesięć lat temu. Najczystszy realizm, wyobraźnia nie została dopuszczona do głosu. Powieść pisze się sama!

– Etxe na pewno już właśnie komuś o tym opowiada i piłka zaczyna krążyć po boisku... Lepiej przygotuj się na nadejście mordercy ducha, którego jeszcze nie znasz, a on ciebie już tak.

Rozumiem, że nie skacze z radości razem ze mną – nie zna przyjemności, która płynie z delektowania się długo wyczekiwany tekst – ale nie przestaje boleć mnie jej sarkazm, który jest jej drugą naturą.

Widzę, jak z determinacją idzie w stronę drzwi, obiema rękami podnosi jakiś podłużny przedmiot, który wydaje się niewiele ważyć, i wraca z nim do mnie. Trzyzęściowy składany parawan pojawia się znikąd, żeby z dwóch stron odgradzić moje biurko.

– Biuro Sama Esparty... Miałam go w domu w składziku.

Nie wiem, co odpowiedzieć amie, kiedy pyta:

– Słyszałam, jak wychodziłeś rano dużo wcześniej niż zwykle, a teraz wracasz w garniturze. Można wiedzieć, gdzie byłeś taki wystrojony o piątej rano i w dodatku w kapeluszu, który dziadek przywiózł z Ameryki?

Ciekawość siostry Elise, która chciałaby dowiedzieć się tego samego, jest bardziej chwalebna – kiedy nakrywa do stołu w kuchni, posyła mi tylko przelotne spojrzenie. Jest ode mnie dwa lata starsza i pracuje jako krawcowa u swoich chlebodawców, a gdy zostaje w domu, tak jak dziś, traci posiłek, który normalnie ma wliczony w dniówkę. Podziwiam jej piękne długie blond włosy. Włosy Koldobike mają odcień marchewki. Któregoś dnia będę musiał zwierzyć się moim obu paniom z obrotu – nieoczekiwanego – jaki przybrało moje życie. Ufam, że stanie się tak nie w wyniku oficjalnego zawiadomienia, jakiegoś ledwie dostrzegalnego przejęzyczenia.

Sam Spade i Philip Marlowe nigdy nie musieli się przed nikim tłumaczyć, wystarczyło, że mówili, że są prywatnymi detektywami. Ale, i to oczywiste, moje życie zaczęło się długo przedtem, zanim rozpoczęła się moja powieść.

– Wasz ojciec zawsze informował mnie, gdzie był – mówi *ama*. – Czasami mówił mi o tym, zanim jeszcze się tam udał.

– Rano przyszło mi do głowy, żeby przespacerować się po plaży – padają z moich ust pierwsze słowa wyjaśnień, które, mam nadzieję, wystarczą. – Byli tam Etxe i gawędziliśmy.

– Proszę, proszę, rozmowy na szczycie. Ci potrafią rozmawiać tylko o skorupiakach – zauważa *ama*.

– Przebierz się, zanim usiądziesz do stołu – mówi Elise.

Ma się rozumieć. W pokoju żegnam się z marynarką po raz pierwszy od dziesięciu godzin i rzucając na łóżko zarówno ją, jak krawat, koszulę, spodnie i kapelusz. Czy Samuel Esparta istnieje poza tym przebraniem?

„Spokojnie, dopiero co zacząłeś, wygląda na to, że nawet Koldobike udzieliła ci swojego cichego przyzwolenia”. Siedziałem za parawanem już od jakiejś godziny. Koldobike potrafi uszanować moje przejścia z jednego stanu w drugi. Potem zawołałem ją i powiedziałem: „Siadaj, mała”, a ona przyniosła z księgarni do biura trzecie krzesło i usiadła po drugiej stronie biurka uzbrojona w notes i obsadkę. Jest na tyle wytrawną czytelniczką naszego działu specjalnego, że nawet rzuciła w moją stronę: „Kiedy będziesz gotów, szefie”. Poprosiłem, żeby nabiła obsadkę. Podobne zwroty są częścią mojego zamysłu autorskiego.

– Udało mi się przycisnąć Lucia Etxego. Przykro mi, że nie obyło się bez zmuszenia go do powrotu pamięcią do tamtego poranka, ale jeśli tak naprawdę to on bawił się moim kosztem?

– Tak się właśnie dzieje, kiedy postaci z twojej powieści nie są twoimi postaciami.

– Mam wrażenie, jakby Lucio Etxe był mój. I tak samo myślę o tych, którzy się jeszcze pojawiają.

– Wszyscy oni, nie oszukujmy się, będą z zewnątrz, a ci wcześniejsi wychodzili z twojego środka. Bądź przygotowany na najdziwniejsze fortele. I zapewniam, że podczas jednego z nich zostaniesz przywiązany do haka Felixa Apraiza, jeśli tylko się zapomnisz.

Opowiedziałem Koldobike w szczegółach spotkanie na plaży, a ona wysłuchiwała mnie w ciszy, z przejęciem.

– Pięciu podejrzanych – zakończyłem. – Lucio Etxe, jego syn Inocencio Etxe, Antimo Zalla, Tomasón Zalla i ten z twarzą, którą widział Lucio.

– Brakuje jeszcze jednego. – Podniosła dłoń, żeby przeczesać swoje loki, jak miała w zwyczaju, kiedy chciała teatralnie coś zmanifestować! – Ciebie.

– Narrator miałby być mordercą? Nic oryginalnego. Zrobiła już tak Agatha Christie...

– ...w *Zabójstwie Rogera Ackroyda*. Twój niepozorny wygląd mógł mnie nawet zwodzić przez te wszystkie lata. Nie zapomnij zanotować tej mojej uwagi.

– W mojej powieści nie brakuje nawet przecinka w opisach tego, co robimy czy mówimy.

– W trzydziestym piątym miałeś... tak, szesnaście lat, a w tym wieku można już zabić.

Czasami motyw jest sprawą drugorzędną.

– Nie wiedziałem, że jesteś na tyle szalona. – Uśmiechnąłem się. Chociaż niewątpliwie powieść na tym zyskiwała. Czy mógłbym ja, autor, być mordercą? Niech czytelnik zastanowi się nad tą ewentualnością, którą mu właśnie podsunąłem, pakując go w jeszcze większą kabałę.

– „Jesteś szalona” – powtarza moje słowa Koldobike. – Właśnie takiej deklaracji można spodziewać się po mordercy.

– Morderca nie rozpoczynałby śledztwa w sprawie zupełnie zapomnianego zabójstwa.

Koldobike zasłużyła, żeby zostać autorką powieści, kiedy wyrwało się jej:

– Chyba że cierpiałby na amnezję. I wówczas, na końcu, byłby tak samo zdumiony jak czytelnik. Porywające, prawda? Powieść cieszyłaby się wielkim powodzeniem, a ja przyniosłabym ci pierwszy egzemplarz do więzienia. – Zadzwieczęła dzwonek przy drzwiach, więc wstała. – Żeby uwolnić się od wszelkich wątpliwości, nie zostaje ci nic innego, jak odkryć mordercę. Będę się modlić, żebyś nie okazał się nim ty.

Weszła jedna klientka, żeby kupić podręczniki. Beltza nie utrzymałaby się na powierzchni, gdyby nie zastrzyki, które otrzymywała co roku, każdego września: książki do liceum, gimnazjum, szkół podstawowych, akademii, te, którym udało się przetrwać nieugiętą cenzurę polityczną i zostały oznaczone „latami triumfu”. Mieliśmy *Matematykę* z roku 1937 z banderolką II Roku Triumfu; *Nauki przyrodnicze* i *Historię literatury hiszpańskiej* z 1938 roku, obie z III Rokiem Triumfu; *Encyklopedię szkolną*, która opuściła drukarnię bez wspomnianego dyktatu, a jeśli pojawiła się w księgarniach, to tylko dlatego, że błąd ten pospiesznie naprawiono, ręcznie wstemplowując „II Rok Triumfu” do każdego egzemplarza. Kościół stał na straży edukacji, nadzorował wszystkie przedmioty i publikował podręczniki odpowiednio oczyszczone, dzięki wydawnictwom o nazwach takich jak, na przykład, Wydawnictwo Antysekciarskie w Burgos, z rodzinnego miasta samego generalissimusa. Na krótko przed październikiem księgarnia wypełniała się tymi emanacjami, które prędko znikwały, a my wracaliśmy do innych fikcji, tych, które zajmowały nas przez pozostałą część roku.

*Ama* nie przestaje mówić, tymczasem zajądamy się soczewicą kupioną na czarnym rynku i jajkiem sadzonym z gotowanymi, przez brak oliwy, ziemniakami. Bez powodzenia staram się śledzić wątek i w końcu to jej słowa – „zerwałeś się tak wcześnie, zrób sobie sjęstę” – prowadzą mnie do łóżka. Marynarkę, krawat, koszulę, spodnie i kapelusz wieszam na krześle i wyciągam się na wznak, zapytując samego siebie, czy w przyszłości będę musiał mieć je na sobie przez cały czas, czy tylko podczas pełnienia służby. Jeżeli oni chodzą tak ubrani na okrągło, to dlatego, że żyją na kredyt, z dnia na dzień, jednego dnia w barze, następnego w kancelarii adwokackiej, stołują się poza domem – tam prawie nie bywają – śpią i odpoczywają w hotelikach spod ciemnej gwiazdy. Ja, z domem i rodziną, kończąc kolejny dzień pracy, za każdym razem będę musiał rozbierać się z roboczego stroju. Nie chcę zmieniać skóry, piszę jedynie powieść.

Sjesta z otwartymi oczami nie jest sjęstą. O piątej naciskam na klamkę drzwi księgarni. Koldobike obsługuje panienkę Mercedes, nauczycielkę z Algorty, która przyszła po zamówione dla dziewczynek ze szkoły podręczniki. Podnosi je ze stosów, które pną się od podłogi i niedługo powinny zniknąć.

– Co słyhać? – pozdrawiam panienkę Mercedes.

Była już nauczycielką, kiedy uczęszczałem na zajęcia do don Manuela. Kiedy wita się ze mną, jej wzrok spoczywa na moim eleganckim stroju o parę dziesiątych sekundy dłużej.

– Jakże wspomniały rok, prawda? – komentuje słodko. – Książki piętrzą się u was bardziej niż zwykle czy tylko tak mi się zdaje?

– Ciężar polityki... Posłaniec dostarczy je pani jutro – proponuje Koldobike.

– Doskonale, dziękuję. Jutro około dwunastej będę w szkole wieszając zasłony.

Żegna się, podpisawszy rachunek, który następnie ureguluje w magistracie.

– Nauczycielka miała trzydzieści lat, kiedy zabito Leonarda – mówi Koldobike. – Jaki mogłaby mieć motyw? Ta kobieta jest ścichapęk, niby taka spokojna, ale wszyscy widzieliśmy, jak wysunęła pazury w obronie Indianki Anacondy, swojej podopiecznej.

– Potrzebne mi na jutro jakieś nowe imię, ale nie jej. A co powiesz na Felixa Apraiza?

– Dlaczego dla odmiany nie skierujesz się na stały ląd? Plaża nie jest pępkiem świata.

- Ale to tam wszystko się rozegrało.
- Przychodzi mi do głowy jedno imię, osoby bardziej zamieszanej w cały ten ambaras niż ktokolwiek inny. Tamtego poranka był na tej samej skale, dotrzymując komuś towarzystwa. Jeżeli on nie naświetli ci tej sprawy, powinieneś dać sobie z tym spokój.

## Brat nieboszczyka

Zwykliśmy zamykać księgarnię o ósmej, ale wczoraj Koldobike zapytała, czy mogłaby wyjść o siódmej. Zbyteczna formalność i dobrze o tym wie – ileż razy to ja proszę ją o pozwolenie. Dobrze się stało, że zanim wyszła, zapytałem ją o lokalizację domu Eladia Altube.

– Dlaczego interesuje cię jego dom? – zapytała. – Szybciej znajdziesz Eladia w którymkolwiek z jego interesów. Wcześniej rano będzie na fermie, tej samej, którą widać z krzyżówki w Laparkobaso.

Odległości w Getxo nie są zbyt duże i o dziewiątej mam już w zasięgu wzroku fermę przemysłową Eladia Altube – swoisty hangar z cegły. Niecodzienna konstrukcja, w swoim czasie, z dziesięć lat temu, przykuwała uwagę zarówno ze względu na projekt, jak i dlatego, że była to pierwsza ferma przemysłowa w Getxo. Mimo że od czasów wojny działa pełną parą – staliśmy się ofiarami niepohamowanej rewaloryzacji produktów spożywczych – rok po jej otwarciu sami bliźniacy musieli ją zamknąć... Zwalniam kroku, przypominając sobie te wydarzenia. W tysiąc dziewięćset trzydziestym drugim Ambrosio Menchaca założył inną kurzą fermę, która w żaden sposób nie była innowacyjna ani nie miała nic wspólnego z fermą produkcyjną. Ot, wypełnił całe gospodarstwo, w którym mieszkał zupełnie sam, ptactwem, dosłownie wszędzie je poupychał, zarówno w stajni, jak i w pokojach. Mówiono nawet, że trzymał je w sypialni i kładł się spać między kurczętami, żeby było im ciepło. Wielkim nakładem sił i dzięki pomysłowości udało mu się przeobrazić swoje wielkie gospodarstwo w kurzą fermę, na której zmieściło się więcej ptactwa aniżeli na przemysłowej bliźniaków, ale swoją popularność zawdzięczał nie liczbie nietotów czy pieszczotom, jakimi je obsypywał, ale kolorowej odmianie kur, które składały osławione „wiejskie czerwone jaja”, rywalizujące z mniej pożywnymi „białymi jajami z fermy”, niewiele większymi od bili. Na dodatek, czerwone kury Ambrosia Menchaki żywiły się całkowicie naturalną, znaną od pokoleń, czerwoną kukurydzą, a białe – amerykańską suchą paszą; już wy na pewno wiecie, z jakich świństw ją robią.

No więc dobrze, w tym miejscu dochodzimy do rzeczy istotnej – ktoś zamordował Ambrosia, zrzucając go z urwiska w La Galea... Kolejne morderstwo z Eladiem i Leonardem pomiędzy! Jakiego rodzaju kłątwa nad nimi ciąży? Ambrosio Menchaca był dla nich dużą konkurencją i to on zmusił ich w końcu do zamknięcia przedsiębiorstwa, dzięki czemu przez pewien czas byli głównymi podejrzanymi. Mordercą okazał się jednak José Salegui, którego motywu nie pamiętam. Kilka miesięcy później bliźniacy wznowili sprzedaż jaj i tym razem mieli więcej szczęścia. Wkrótce wybuchła wojna, a później, co jest kluczowe, nastały lata powojenne, żywność pojawiła się na czarnym rynku, a każdy przemytnik cwaniak mógł się wreszcie wzbogacić.

Kiedy zacząłem się nad tym wszystkim zastanawiać, przystanąłem. I tak już od jakiegoś czasu tkwię w tym samym miejscu. W oddali widzę fermę, która leży po drugiej stronie krzyżówki w Laparkobaso, podziwiam ją z daleka, nie przestając myśleć o zabójstwie Ambrosia Menchaki, oraz o Eladiu i Leonardzie w roli podejrzanych. I to właśnie sprawia, że stoję jak wrośnięty w ziemię – niezbita logika, musieli być podejrzani, mieli doskonały motyw. Cokolwiek się wydarzyło, ich rywal stracił życie. Najciekawsze w całej tej historii jest to, że bliźniacy byli zamieszani w kolejne morderstwo... chociaż tym razem w charakterze poszkodowanych. Byli konfliktowi z natury. Oszukiwali, podjudzali. I ktoś w końcu stracił cierpliwość.

Ogrodzenie z drutu kolczastego i dwa brytany, które witają mnie ujadaniem, strzegą

dostępu do fermy. Czekam przed bramą z rur i drutu kolczastego. Z hangaru wylania się drobna postać i rusza w moim kierunku. Uspokaja psy, wydając im ledwo słyszalne polecenie, i zatrzymuje się po drugiej stronie bramy. Mężczyzna z trudem porusza rękoma i nogami, tak jakby był bardzo zmęczony, a przecież wygląda na nie więcej niż dwadzieścia pięć lat. Ubrany jest w brudny niebieski kombinezon, który cuchnie kurzymi odchodami. Nie tylko nie zadaje mi pytania, którego każdy na moim miejscu by się spodziewał, ale jego oczy zdają się mnie nie widzieć. Wcale mi się nie przygląda, utkwil wzrok w martwym punkcie nad jednym z moich ramion.

Czyżby to był Eladio Altube? Zapewniam sam siebie, zanim się do niego odezwę – jest dużo młodszy, bliźniak miałby teraz około czterdziestu pięciu lat.

– Właściciel jest?

– Zajęty.

– Muszę z nim porozmawiać.

– Kiedy zajmuje się kurami, nie wolno mu przeszkadzać.

– Powiedz mu, że przychodzę w sprawie jego świętej pamięci brata.

– Wpuść go! – dobiega do nas wołanie z hangaru.

Nie widzę nikogo w środku. Cherlawy pracownik otwiera bramę.

– Nie tędy! – roznosi się ten sam głos.

W trawie biegną dwie zarośnięte ścieżki, a ja wybrałem nie tę, co trzeba. Mimo że nie widzę Eladia Altube, on mnie najwidoczniej tak. Pracownik idzie metr za mną. Zaraz potem bucha na mnie dużo intensywniejszy smród odchodów. Tylko górna część drzwi do hangaru jest otwarta. Pracownik wyprzedza mnie niezdarnie i otwiera dolną część.

– No, dalej, straciłeś mnóstwo czasu. – Właściciel głosu wylania się z hangaru z koszykiem wypełnionym po brzegi białymi jajami. Wychodząc, mija się z indywiduum, które wchodzi i zamyka za sobą dolną część drzwi. Nie mam okazji, żeby zobaczyć, jak to wszystko wygląda w środku, przemysłowe klatki z kurami, skąd dobiega nieprzerwane ko-ko-ko całej masy nietotów.

– Jestem... – zaczynam.

– Wiem, kim jesteś – ucina oschle.

Ma na sobie robocze spodnie i koszulę w kratę, obie rzeczy pomięte i raczej brudne. Jego pozorny spokój nie pasuje do niespokojnych oczek, które cały czas rozglądają się dookoła. Fakt, że mnie rozpoznał, zawdzięcza tym świdrującym oczkom, które zbierają i zapamiętują wszystkie informacje, które mogą się na coś przydać, a ja, sąsiad z Getxo, do nich należę. Irytuje mnie, że zapisał w swoim kalendarzu moje nazwisko, nie pytając mnie o zgodę.

– Jesteś pewien, że wiesz, kim jestem – wyzywam go na pojedynek.

Grymas na jego twarzy chciałby być uśmiechem, kiedy prowadzi mnie do domku z cegły, przykrytego blaszanym dachem.

– Sancho Bordaberry, ten od księgarni Beltza.

– Teraz jestem kimś innym. Samuel Esparta, prywatny detektyw.

Eladio Altube zatrzymuje się, a ja wraz z nim.

– Co powiedziałeś? – pyta, mrużąc jeszcze bardziej swoje oczka. – Jesteś dwoma osobami naraz? Masz dwa imiona i dwa nazwiska? Co na to policja?

– Zapomnij o policji. To sprawa osobista.

Bada mnie w odruchu obronnym.

– Prywatny detektyw – powtarza. – Czym się zajmujesz?

– Śmiercią twojego brata.

Jest tak zdziwiony, że kilka jaj wypada mu z kosza i rozbija się o ziemię. Przez chwilę

wygląda, jakby nie chciał stracić tortilli, która ściele mu się u stóp. Patrzy na nią w taki sposób, jakby zaraz miał się schylić, zebrać tę jajeczną zupę łyżką i zaserwować na kolację, przynajmniej swojemu pracownikowi. Ale rezygnuje. Idzie dalej, wchodzi do domku i daje mi znak, żebym zrobił to samo. Jest to rodzaj magazynu. Wielkie narzędzia stoją oparte o ściany. Do jednej z nich przybito półkę, na której stoją cztery teczki, poza tym jest jeszcze stolik z jednym krzesłem. Podsuwa mi je nogą, żebym usiadł. Gdyby nawet stało tu jakieś drugie, jest na tyle niespokojny, że i tak by nie usiadł. Kosz w dalszym ciągu tkwi w jego rękach, zapomniany.

– Nie wiadomo, kto go zabił – mówię. – Sprawa jest nadal nierozstrzygnięta, przede wszystkim dla ciebie, jak mi się zdaje.

Ma puste spojrzenie. Cmoka z dezaprobatą.

– A ty rozpocząłeś śledztwo. Dlatego przyszedłeś. Kto ci płaci? Kogo interesuje ta sprawa?

– Tak jak mówiłem – jestem tu prywatnie. Chociaż zazwyczaj prywatni detektywi zarabiają jakąś sumę plus wydatki, tym razem nikt mnie nie wynajął.

– Nikt cię nie wynajął, sam siebie wynająłeś... Wiem, że robisz w książkach, chcesz opowiedzieć tę historię i na niej zarobić.

Dębieję. Myślałem, że tylko domownicy i Koldobike znają moje słabości. Wiedzą o sekretnym zajęciu, którego z drugiej strony, nie ma nawet co ukrywać, bo w Getxo nikogo by nie zainteresowało. A jednak ktoś miał zapisane w notesie: „Sancho Bordaberri, pisarz”.

Eladio Altube odpręża się i stawia kosz na podłodze.

– Na pewno masz już całą listę z nazwiskami, żeby wycisnąć z nich to, co wiedzą. Ja mogę ci opowiedzieć więcej niż ktokolwiek inny.

Zapewniła mnie o tym Koldobike i zgadzam się z tym – nikt nie może wiedzieć więcej od tego, który dzielił z ofiarą ostatnie i najbardziej dramatyczne godziny na skale.

– Nie czytałem wielu książek – dodaje. – Może nawet nie czytałem żadnej podobnej do tej, którą chcesz napisać. Nie trzeba być odczytanym, żeby wiedzieć, że książka sprzedaje się lepiej, jeśli będą w niej sensacyjne wiadomości, o których jeszcze nikt nie słyszał.

– Sensacyjne wiadomości są dla gazet, mnie interesuje...

– Nazywaj to, jak chcesz. Liczy się to, że książka lepiej by się nam sprzedawała.

– Nam?

– Zyskami dzielimy się po połowie.

Nic w jego twarzy bez wyrazu nawet nie drgnie, kiedy składa tę ofertę współpracy. Dlaczego mnie to dziwi, skoro przyszedłem do sprzedawczyka jak on? Mimo że zasłużył na kategoryczne nie, jestem prywatnym detektywem, szukam informacji, a ten mężczyzna jako żywo musi mieć w zanadru prawdziwą perłkę... I pewnie nawet nie zdaje sobie z tego sprawy.

– Myślę, że twój wkład nie byłby aż tak znaczący – ograniczam się do takiego spostrzeżenia. – Jakimi rewelacjami, o których wcześniej nikt nie słyszał, mógłbyś się ze mną podzielić? Może były to rewelacje dziesięć lat temu dla tych, którzy mają problemy z pamięcią? Miasteczko wie, ja sam też wiem wszystko o tej sprawie. Przez lata przekazywano sobie tę historię z ust do ust. Wszystko, oczywiście, poza wielkim sekretem, tym, który zna jedynie morderca. Moje pytania nie dotyczą zdarzeń, szukam tylko cieni, odbić tych zdarzeń, które mogą zostać zinterpretowane w nowym świetle, nakreślone przez świeżo powołanego prywatnego detektywa.

Czy na wąskich ustach Eladia Altube dostrzegłem coś, co przypominało uśmiech?

– Mam informacje dotyczące nowych zdarzeń. Nowe informacje, o których nikt nie słyszał i które mają swoją cenę.

– Nazwisko mordercy? To i owszem byłaby rewelacja. Ale nawet gdybyś je znał, niczego



nie wskórasz. Powiem więcej: zepsułbyś moją książkę. Zacząłem ją pisać parę dni temu i byłoby w złym guście, gdybym odkrył mordercę już tak szybko. Nie chcę zniszczyć tradycyjnych schematów tego typu historii. Morderca musi zostać odkryty dopiero na końcu, na ostatniej, jakiejś dwieście pięćdziesiątej stronie. Jeżeli udałoby mi się rozwikłać zagadkę na pierwszych trzydziestu bądź czterdziestu stronach, cóż ta książka byłaby warta? Wtedy w ogóle nie byłoby książki!

– Nie wspominaj, że rozmawiasz ze mną wcześniej niż na końcu tych dwustu pięćdziesięciu stron.

Ten osobnik ma w głowie ponad tysiąc wybiegów, nawet literackich.

– Rozwiązanie równie zgubne – zapewniam go, chociaż przyznaję, że w książce innego typu byłoby ono całkiem niezłe. – Jaki detektyw nie rozpoczyna śledztwa od odwiedzin u brata nieboszczyka, który nie tylko jest bratem zmarłego, ale cudem uniknął śmierci razem z nim? Samuel Esparta nie może zdradzić zasad swojej prominentnej profesji prywatnego detektywa, nie może zakończyć dopiero co rozpoczętej kariery... Ale naprawdę tym, co chcesz mi sprzedać, jest imię zabójcy?

Wstrzymuję oddech, czekając na odpowiedź.

– Nie – wzdycha Eladio Altube, żałując, jak mi się wydaje, podwójnej nieprzydatności swojej oferty. – Ale zostaje to drugie, o czym nikt nie wie, a ja tak, co będzie cię tyle samo kosztować.

– Te pięćdziesiąt procent? – Eladio Altube kiwa głową. Mam wrażenie, jakbym znalazł się właśnie na wielkim targu i handryczył się o krowę. – Muszę cię ostrzec, nie wiem nawet, czy skończę książkę, możliwe, że nikt nie będzie chciał jej wydać albo że nie sprzeda się ani jeden egzemplarz. Nigdy nie wchodzi w układy finansowe z pisarzem.

– Umieścimy w umowie klauzulę, żebyś mógł mi to zrekompensować. Z własnej kieszeni.

– Zrekompensować?! – wybucham. – Zdajesz sobie sprawę, że kupczysz pamięcią o swoim bracie, nieszczęśniku, któremu należy się sprawiedliwość?

Eladio Altube odwraca się do mnie plecami, podnosi z podłogi kosz i pokonuje dwa kroki dzielące go od półki ze średniej wielkości kartonowymi pudełkami. Unosi koszyk wyżej, żeby postawić go na blacie, i pewną ręką zaczyna przenosić po dwa jajka z koszyka, układając je na wiórkach w jednym z pudełek. Pół tuzina pudełek jest już pełne. Cisza towarzysząca temu zajęciu daje mi do zrozumienia, że nie powinienem mu przeszkadzać. Kończy i wraca do mnie z pustym koszykiem. Zrobił sobie przerwę, mogę go zrozumieć... ale kiedy podnosi wzrok, wydaje mi się, że ma wilgotne oczy.

– Mogą pojawić się lada moment – mówi cicho. – Poranny zbiór.

– Kto?

Moje pytanie jest głupie, chodzi o działalność fermy, jestem nawet gotowy przerwać pytania i dać mu pozatlatwiać własne sprawy. Poza tym chyba wzruszyło mnie jego nagłe poruszenie.

I nagle to on sam wyskakuje przed orkiestrę, ale już nie wraca do poprzednich tematów, tylko ze swojego kramu wyciąga nowy i teraz, jak się wydaje, gratis.

– Przed wojną przyszedł po mnie jeszcze raz. Na plaży, w nocy. Jakieś parę metrów od skały Felixa Apraiza. Kij zawisł nad moją głową. Udało mi się odskoczyć. Biegł jak demon w ciemności. Jestem pewien, że chciał po raz drugi przywiązać mnie do haka.

– Dlaczego nic o tym nie wiedzieliśmy? – mamrocze. Przyglądam mu się dokładnie, ale nie, wydaje się, że mówi prawdę. – Zostawił robotę w połowie niedokończoną. Ile miesięcy minęło?

- Czterdzieści trzy dni.
- Czterdzieści trzy dni siedział jak na rozżarzonych węglach. Mam na myśli mordercę.
- Skurwysyn.
- Perfekcjonista.
- Pierwszy raz o tym opowiadam.
- Dlaczego? Mogło to być istotne dla prowadzonego wówczas śledztwa.
- Nikt nie wziął na serio śmierci mojego brata – ani gliny, ani sędziowie. Przez kolejne miesiące ozory w miasteczku nie spoczęły ani na chwilę i nie wiem, kiedy w końcu się zmęczyły. Ale wybuchła wojna... Opowiedzieć im o dwóch nowych atakach tego skurwysyna? Po co? Nie chciałem znowu robić z siebie pajaca. Mój brat nie zasłużył sobie na to, żeby...
- Wspomniałeś o dwóch atakach?
- Eladio skupia całą uwagę na furgonetce, która zahamowała właśnie z piskiem opon na drodze. Czytam napis, który widnieje z boku na karoserii: Hiszpańska Falanga. Wysiada z niej trzech mężczyzn i kierują się pewnym krokiem w naszą stronę.
- Znam ich, nie masz się czym przejmować – uspokaja mnie Eladio.
- Od tysiąc dziewięćset trzydziestego siódmego roku nikt nie chce znaleźć się w ich pobliżu, a co dopiero, żeby szli dokładnie w twoją stronę. Ten na przedzie przekracza próg domku i wtedy słyszę, jak Eladio wypowiada raczej stłumione: „Arriba España”. Ten, który właśnie przyszedł, wykonuje ramieniem gest, jakby przecierał przed sobą niewidoczną szybę.
- Dużo dzisiaj? – pyta szczebiotliwie.
- Jedno pudełko więcej niż zwykle – odpowiada Eladio.
- Z życiem! – Mężczyzna popycha dwóch pozostałych, którzy właśnie wchodzą.
- Wyróżniają ich tylko niebieskie koszule z pięcioma wyszytymi strzałami na kieszonce po stronie serca. No i ta pewność jesteśmy-panami-życia-i-śmierci, z którą się poruszają. Kiedy dwaj mężczyźni wynoszą pudełka, ten o szczebiotliwym głosie, zastygłszy obok Eladia Altube, nie spuszcza ze mnie wzroku.
- To ten z księgarni na Avenida del Ejército – informuje go Eladio, uprzedzając niechybne pytanie.
- Nie wiedziałem, skąd kojarzę twoją twarz – mówi typ. – Byłem tam kilka razy. Jest wysoki i chudy, ma zaciętą twarz, okulary z ciemnymi szklami na haczykowanym nosie i oczywiście cienki wąsik skurwysyna.
- Wybierasz się na wesele?
- Słychać ironię w jego głosie. Ma na myśli mój garnitur, krawat i kapelusz.
- Dzisiaj ubierałem się przed lustrem.
- Podoba mi się brzmienie tego zdania.
- Nie powinieneś robić interesów z tym wydrwigroszem – mówi typ ze śmiechem. – Idź lepiej do swojej księgarni i nie ruszaj się stamtąd.
- Nie mamy żadnych wspólnych interesów – mówi Eladio Altube.
- Myślę, że teraz typ zapyta: „W takim razie, co tutaj robi?” albo coś w tym rodzaju, ale idzie śladem swoich dwóch towarzyszy wychodzących z ostatnimi pudełkami.
- Z nim z kolei mam wspólne interesy. Całkiem niezłe – mówi Eladio Altube.
- Najlepsze. Jaka szkoda, że nie może zobaczyć ich mój brat! – Krzyżujemy nasze spojrzenia.
- Chodzi mi, oczywiście, o czarny rynek. Jesteśmy współnikami. Cena naszych jaj jest znacznie wyższa niż wzgórze Serantes.
- Nie przejął się moją obecnością...
- Miałby się przejąć?
- Mógłbym ich zadenuncjować władzom...

– Tutaj władzę sprawuje Luciano. Jeśli otworzysz usta, tym, który pójdzie do pierdła albo gdzie indziej, będziesz ty sam.

Eladio Altube uśmiecha się i nie mam wątpliwości, że dla niego także nastąpiły lepsze czasy. Nawet ja żałuję, że nie może się cieszyć nimi Leonardo Altube.

– W miasteczku panuje głód – mówię.

– Ja nie rozpocząłem tej wojny, nie sprawuję władzy – oznajmia słodko.

– Cały ten czarny rynek ocieka krwią.

– Mnie do tego nie mieszaj.

– Ci ludzie...

– Luciano Aguirre jest z miasteczka, nie wiedziałeś o tym? Z Las Arenas, tam się urodził.

Trudno mi w to uwierzyć, nie mieści mi się w głowie, że można zmieniać przekonania jak rękawiczki. Powiedział, że zachodził do mojej księgarni, i pewnie to była prawda. Porozmawiam o tym z Koldobike, zapamiętuje twarze lepiej ode mnie.

Wizyta Luciana Aguirre była krótka, ale brzemienna w skutki. Obawiam się, że nie będzie łatwo wrócić do przerwanej przesłuchania, w trakcie którego udało mi się osiągnąć coś niespodziewanego – dowiedziałem się o drugiej próbie mającej na celu skończyć z bliźniakiem, któremu udało się przeżyć. Sam dopiero co o niej napomknął i, jeśli wierzyć jego słowom, zrobił to po raz pierwszy. Wtargnięcie Luciano Aguirre uniemożliwiło mi też poznanie trzeciej próby, nie mówiąc o tym, po co od początku tu przyszedłem – o jego wersji zdarzeń, kiedy był przybity do haka.

Kiedy szukam pomysłu albo najbardziej niewinnego zdania, żeby móc wrócić do zarzuconego tematu, Eladio informuje mnie podenerwowany:

– Teraz muszę popracować. Pół godziny. Ale potem idę do Algorty, jak chcesz, możesz się ze mną przejść.

Praca Eladia Altube polega na robieniu dzikiego hałasu we wnętrzu hangaru. Głównie są to okrzyki furii, którymi obrzuca pracownika. Wyobrażam go sobie, jak krząta się z wielkim mazołem, nie podnosząc głowy, a jego pan i chlebobawca całą swoją energię marnuje na krzyki, nie kiwnąwszy nawet palcem. Po upływie pół godziny pojawia się w drzwiach, otrzepując obydwojema rękami koszulę w kratę, taką jak zwykli nosić mleczarze, i spodnie z diagonalu. Wychodzę mu na spotkanie.

– Jeśli nie stoisz nad nimi i nie patrzysz im na ręce, zrujnują cię! – warczy.

– Ile kur?

– Dwa tysiące.

– Nasi chłopcy nigdy nie widzieli na swoich podwórkach więcej niż dwa albo trzy tuziny, niezwykła ilość – mówię. – Ale dwa tysiące ptaków zamkniętych w jednym hangarze wymaga dużo pracy od jednego tylko pracownika.

Eladio Altube odwraca się do mnie półgębkiem.

– Posłuchaj, Sancho, pracownik, którego mam, to próżniak. Matka tak samo męczy się z jednym dzieckiem, co z dziesięciorgiem... dlatego, że jak ma dziesięcioro, musi zacząć stosować inną metodę. Z dwoma tysiącami nietotów też należy przyjąć inny system – produkcyjny. To samo robi matka z dziesiątką dzieci. Kto sprowadził do Getxo hodowlę kur na skalę produkcyjną? Bliźniacy. Kto sprowadził pierwszy traktor? Bliźniacy. I sprowadzimy jeszcze więcej wynalazków. Wielu jest tu takich, co w dalszym ciągu żyją jak zwierzęta. Są nam wdzięczni? Daj spokój! Bliźniacy zawsze będą oszustami.

– Bliźniacy?

Eladio Altube patrzy na mnie surowo.

– Dla mnie zawsze będziemy bliźniakami. Czuję, że mój brat jest tak blisko, jak dawniej.

– Zdejmuje spodnie z haczyka na ścianie i odchodzi za krzesło. – Chwila i idziemy.

Jest pewien, że z nim pójdę. To tak, jakby mówił, że nie powinienem stracić okazji, którą mi oferuje. Mam wrażenie, że teraz jest bardziej przygotowany, żeby opowiedzieć mi o tych dwóch razach, które jest mi winien. Kto mi zagwarantuje, że jutro nie zmieni zdania? Jest to człowiek o gwałtownym i kapryśnym usposobieniu, który zmieniał decyzje jak chorągiewki na wietrze. Nie mam żadnej gwarancji. Najprościej mówiąc, nie ufam mu.

Włożył czystsze spodnie, chociaż w dalszym ciągu ma na sobie koszulę w kratę jak dla mleczarza. Daje mi znak ręką i wychodzi pierwszy, czeka na zewnątrz, żebym i ja wyszedł, i zamyka drzwi na klucz, który chowa z powrotem w kieszeni koszuli.

– Robię to dla brata – mówi, idąc w stronę drutu kolczastego. – Chodzi o te drzwi. Zawsze, jak zostawiałem za sobą jakieś drzwi, on je zamykał.

– Kury też na pewno czują się bezpieczniejsze, kiedy są zamknięte. Twój pracownik ma klucz do kurnika?

– Nawet moi współpracownicy nie mają zapasowego klucza. Wrócę po południu, to otworzę.

– Twój brat wiedział, komu zostawić interes.

– Gdziekolwiek teraz jest Leonardo, chciałbym, żeby o tym wiedział.

Po jego rumianej twarzy z trzydniowym zarostem błądzi cię emocji.

– Mam wrażenie, że została między wami jakaś niezalutowana sprawa, może zabrakło ostatecznego pożegnania, zważywszy na te potworne okoliczności.

Jesteśmy w połowie drogi do Algorty, wspinamy się drogą Sarrikobaso. Eladio Altube zatrzymuje się na ułamek sekundy, tak krótki, że nie traci rytmu, ale na chwilę gubi mój wzrok. Mój strzał w ciemno trafił chyba w czuły punkt. Chciałem tylko, żebyśmy w naszej rozmowie cofnęli się w czasie do tysiąc dziewięćset trzydziestego piątego roku, na skałę Felixa Apraiza.

– Skąd o tym wiesz? – pyta półgłosem. – Nie jesteś głupi, Sancho Bordaberri. Skąd o tym wiesz? – Krzyżujemy spojrzenia, a on poprawia się: – Skąd o tym wiesz, Samuelu Esparto?

– Staram się postawić na twoim miejscu, jak topisz się obok brata...

– Wiedziałem, że on też się topił, i obaj ciągnęliśmy za łańcuchy. Ale to było na początku... Dlaczego nie pożegnałem się z nim, kiedy był jeszcze na to czas, kiedy słyszałem, jak woła o pomoc? Myślałem, że utopimy się jednocześnie, ale on utopił się wcześniej, utopił się wtedy, kiedy ja z całych sił usiłowałem przeżyć i walczyłem o życie tak, jakby na tej przeklętej skale nie było nikogo innego. Leonardo umarł tuż przy mnie, a ja nawet nie zorientowałem się kiedy, nie mogłem się z nim pożegnać! Od tamtej pory...

Milknij, idziemy teraz w ciszy. Przychodzi mi do głowy, że taka osoba jak on w takich okolicznościach jak te byłaby dla prywatnego detektywa zajmującego się morderstwem prawdziwym skarbem – bliźniacy są ofiarami zamachu na ich życie, zabójca odnosi sukces w pięćdziesięciu procentach, jeden bliźniak przeżywa, drugi nie. Jeżeli chodziłoby o zwykłą ofiarę, o pojedynczą, jedno ciało zamiast dwóch, te pięćdziesiąt procent odpowiadałoby połowie ciała. Dla detektywa najbardziej interesujący jest zawsze świadek zdarzenia, ofiara, który cudem uszła z życiem... oczywiście zawsze, jeśli połowa ciała, o której mowa, zawierałaby pracujący mózg, czyli byłaby górną częścią zawierającą głowę. Nieżyjący, który jest w stanie opowiedzieć, kto go zabił, trup, który mówi! Oto kim jest Eladio Altube.

– Wspomniane przez ciebie ciosy w głowę wskazują, że ktoś podszedł do was, nie wzbudzając żadnych podejrzeń – przerywam ciszę, w której idziemy – że znaliście go. Chodzi mi o to, że musieliście go rozpoznać, bo go widzieliście. Dlaczego go nie widzieliście? Było za ciemno?

Odwracam głowę i widzę Eladia Altube mrużącego oczy.

– Było ciemno, tak. Obie latarki leżały na piasku, w odległości paru kroków, dlatego że

Leonardo i ja robiliśmy... nie pamiętam, co robiliśmy. Prawda jest taka, że nie pamiętam niczego przed uderzeniem. Czarna dziura i nagle czuję łańcuchy wokół szyi, i leżę wyciągnięty na skale, a Leonardo tuż obok, też zakuty w łańcuchy, woda sięga nam już do pasa.

– Rozmawialiście ze sobą?

– „Co się dzieje? Co jest?!”, krzyczał Leonardo. „Kto nas tu przywłókł?!”

– Też nie widział oprawcy.

– Nie mówiłem ci, że było zupełnie czarno?

Jego nalana twarz sztywnieje na to wspomnienie, więc na parę kroków zostawiam go w spokoju. Wydaje mi się, że to nie jest miejsce dla prywatnego detektywa – dwie postaci w pośpiechu idą drogą z kurzej fermy do... dokąd? Na pewno do jakiejś innej jego firmy. I w biały dzień. Oni na pewno nie czuliby się dobrze w tak ospałej scenerii, tęskniliby przynajmniej za mrocznym ciężarem gatunkowym – kiepsko oświetlonymi lokalami spowitymi papierosowym dymem; ludzkimi wrakami i życiowymi rozbitkami, wymieniającymi się miłosnymi sekretami albo knującymi przestępcze plany; blondynką o długich nogach i długiej szyi, która liczy na to, że ten dzień skończy się lepiej od poprzednich; barmanem, który z nudów i od niechcenia przeciera szmatą kontuar, obserwując jednocześnie twarze, po których nie wiadomo czego się spodziewać, indywidualuów stojących na skraju przepaści; rozmową dwóch ponurych typów siedzących przy małym stoliku w speluncie, którą zamkną, kiedy stamtąd wyjdą albo kiedy wyjdzie jeden z nich, pozostawiając drugiego z twarzą rozpląszczoną na stoliku i z nożem zatopionym aż po uchwyt w jego karku; ciemną uliczką, z której ktoś nie wyjdzie tak, jak w nią wszedł... W tej pospiesznej wędrówce Sarrikobaso w górę, w biały dzień, orzeźwieni zdrową bryzą, oni czuliby się jak w gorsecie i też nie udaloby się im uzyskać jakiejś cennej informacji od zamordowanego, który w dalszym ciągu żyje, kogoś nierealnego, o kim marzy każdy detektyw. Mimo wszystko udało mi się coś zyskać – to rewelacja, że Eladia Altube usiłowali zlikwidować jeszcze przy dwóch okazjach, tajemnica, o której, jak widać, nikt nie słyszał – to był prezent.

Po wejściu do miasteczka zaczynamy mijać pierwsze sklepy i wielu ludzi. „Co słyhać?”, witają się ze mną. „Co słyhać?”, odpowiadam. W tych powitaniach pobrzmiewa współczucie. Eladiowi Altube skapią nawet tego, on też nie otwiera ust; najwyżej skinie głową bez wyraźnych chęci, jeśli któreś z pozdrowień jest skierowane także do niego. Przechodzimy przez tory i idziemy teraz po świeżo przechrzczonej Avenida del Ejército. Wszystkie miasteczka i miasta Hiszpanii mają teraz Avenida del Ejército, po której w czasie wojny weszli frankistowscy zdobywcy – od tego zaczął się horror.

– Twoja księgarnia. – Eladio Altube wskazuje budynek po prawej stronie.

Najlepiej by było, gdybym teraz zaprosił go do środka (podejrzewam, że w całym życiu jego noga nie powstała w żadnej księgarni), żebyśmy usiedli, on i ja, naprzeciwko siebie w moim biurze, z biurkiem pośrodku, i mogli odtworzyć niezbędne sceny. Ale jemu się spieszy i nie udaje mi się nawet otworzyć ust. Zatrzymuje się przed jakimś lokalem obok stacji kolejowej, małym sklepem żelaznym, który prowadzi razem z dwójką Ermów z La Venta, Josebą i Zacariasem. Sklep został otwarty około tysiąc dziewięćset dwudziestego roku przez bliźniaków, którzy weszli w spółkę z dwójką braci. Czterech łobuzów, którzy – jak zawsze podejrzewano w Getxo – nawzajem się szpiegowali i nie spuszczała z siebie oka.

– Codziennie przychodzę tu rzucić okiem – mówi. – Zapraszam. – Otwiera drzwi i słyszę hałaśliwy dzwonek. Patrzy na mnie z uśmiechem. – Joseba jest coraz bardziej głuchy.

Przy raczej brudnej drewnianej ladzie stoi kobieta z charakterystycznym *sorki*<sup>L</sup> na głowie. Obsługuje ją bez specjalnej ochoty chłopak, który przypomina mi tego widzianego całkiem niedawno na fermie, choć ten tutaj jest czystszy. Natychmiast odkrywam przyczynę – pod jego

starą, dużo za szeroką koszulą również hula wiatr, a z oczu wyziera przeraźliwy głód. Musi przymierać głodem, co w dzisiejszych czasach jest niemal powszechne. Cierpiących głód mamy na pęczki. Wszyscy wiedzą, że pracownicy Ermów i Altubów nie zagrzewali u nich miejsca. Pracodawcy źle się z nimi obchodzili i płacili im grosze, wielu z nich nie wytrzymało próby czasu, nawet miesiąca, i znikali, nie otrzymawszy pierwszej pensji. Temu udaje się jednak w delikatny sposób nakłonić wieśniaczkę, żeby zakupiła kosę, którą z dużą zręcznością owija w papier, a następnie przyjmuje gotówkę. W tym samym momencie z zaplecza wychyla się Joseba Ermo, podchodzi do pracownika i pieniądze wieśniaczki lądują nie w szufladzie, tylko w dłoni szefa, a wówczas Eladio Altube zostawia mnie, przechodzi na drugą stronę lady i wyciąga szyję, żeby sprawdzić zapiski Joseby Ermo w starej księdze rachunkowej.

– Co dla pana? – zwraca się do mnie pracownik.

– Zostaw go w spokoju, jest ze mną – warczy Eladio Altube, znikając z Josebem na zapleczu.

Joseba Ermo jest zaniedbany i nieufny jak wszyscy Ermowie. Nie przyłapałem go na ani jednym spojrzeniu w moją stronę, chociaż dużo bym postawił, że już mnie sobie zapamiętał. Jesteśmy bezbronni wobec mieszkańców, którzy kroczą przez życie, snując własne plany.

Słyszę kłótnię na zapleczu. Joseba Ermo nie wydaje mi się bardziej podejrzany w sprawie zabójstwa Leonarda Altube niż inni, ale teraz wymienia gniewne słowa z bratem nieboszczyka, do którego może odczuwać niechęć, bo nie udało mu się za jednym zamachem pozbyć także i jego i nie przypadł mu na własność sklep żelazny. Nie mogę przestać wyobrażać sobie Eladia Altube myślącego: „Wścieka się, bo nie udało mu się mnie pozbyć”. I Joseby Ermo: „Nie bądź taki pewien, następnym razem zrobię to lepiej”. Czy to możliwe, że nadal są współnikami, jakby nigdy nic, po tym, do czego doszło dziesięć lat temu? Czy Eladio Altube wie, kim jest morderca, czy wie, że nie jest nim Joseba Ermo?

– Możesz tam usiąść – zwraca się do mnie pracownik, wskazując mi jedyne krzesło.

Kiwam mu przyjaźnie głową i siadam, Eladio Altube w dalszym ciągu jest mi winien rewelację. Dzwoni hałaśliwy dzwonek i wchodzi mężczyzna w niebieskim kombinezonie mechanika. Ocieka smarem. Głowa Joseby Ermo wyłania się, żeby rzucić okiem na nowego klienta, i znika.

Nowo przybyły potrzebuje sześciometrowego łańcucha. Artykuł kłopotliwy w obyciu na ladzie. I głośny. Klient wybiera jeden, nie za gruby, i chłopak przenosi ciężki wijący się jak wąż kłęb i zaczepia go o gwóźdź z drugiej strony lady. Zdejmuje ze ściany za plecami piłę do metalu i zajmuje strategiczną pozycję nad łańcuchem przytrzymywanym teraz przez gwóźdź. I nagle słyszę odgłos piły tnącej metal, dźwięk, którego nigdy wcześniej nie słyszałem, którego nikt w Getxo nie słyszał – poza czterema żywymi osobami, znajdującymi się wówczas na miejscu, na plaży, kiedy zapadł zmrok: Antimo Zalla i jego syn, Lucio Etxe i Eladio Altube. I teraz jeszcze ja, ja też go słyszę. Podobny łańcuch, może nawet identyczny, okręcił szyje bliźniaków, a taka sama piłą przecinała z trudem jedno z ogniw. No właśnie, przychodzi mi do głowy, że przecież w tysiąc dziewięćset trzydziestym piątym podejrzany Joseba Ermo miał już sklep żelazny i mógł wybrać najlepszy łańcuch z możliwych.

– Sprzedajecie kłódki? – pytam chłopaka i podnoszę się z miejsca.

Piła przestaje ciąć, a chłopak razem z klientem przypatrują mi się zdziwieni. Jakim cudem w sklepie żelaznym miałyby nie być kłódek? „Tak”, odpowiada chłopak, a ja wracam na swoje krzesło. Joseba Ermo ma tu niezły asortyment. Chociaż właściwie każdy mieszkaniec Getxo mógł tu przyjść. Jakby się nad tym dobrze zastanowić, ten, kto zaplanowałby zabójstwo z użyciem łańcucha i kłódek, kupiłby je nie w tym sklepie żelaznym, tylko w innym, odległym, żeby nie zostawiać łatwych śladów... I dlaczego nie otwierają się drzwi i nie wychodzi przez nie

Eladio Altube, zakrywając sobie uszy? Jak może znieść to wypełniające cały lokal wycie, od którego ciarki przechodzą, szcęk metalu, którego słucha prawie codziennie w tym sklepie żelaznym od pamiętnej przeraźliwej nocy, kiedy słyszał je przywiązany do skały, wiedząc, że jego życie zależy od prędkości tej piły? Dlatego, że to wycie musi docierać na zaplecze. Żeby móc się od niego uwolnić, powinien wycofać się z interesu i otworzyć nowy, gdzie sprzedawałby cokolwiek, wszystko jedno co, byle nie łańcuchy, piły i kłódki.

Chłopak, którego działania wywołują te dźwięki, zdaje się na nie głuchy. Ile czasu już rusza tak w przód i w tył narzędziem? Dwie minuty? Mam wrażenie, że z tysiąc. Te dwie minuty muszą dodać do tych, których brakuje, żeby przeciąć łańcuch, a do nich trzeba dodać czas, jaki zajęło Luciemu Etxe dotarcie do kuźni i powrót na miejsce z kowalami. Jakies pół godziny? Czy na tym etapie zajmowanie się pojedynczymi minutami, które zadecydowały o losie jednego, a przesądziły o losie drugiego, ma jakikolwiek sens?

Na ścianie, nad drzwiami na zaplecze, wisi tarcza zegarowa, nie spuszcza z niej oka. Jeszcze trzy minuty i piętnaście sekund zajmuje chłopakowi odcięcie sześciu metrów łańcucha. Trzy minuty i piętnaście sekund w sprzyjających warunkach, których nie miał Antimo Zalla na skale owej nocy pełnej nerwów, kiedy były w niego morskie fale, a na jego barkach spoczywała ogromna odpowiedzialność. Do tego należałoby dodać jeszcze co najmniej piętnaście minut z uwagi na niesprzyjające warunki, co razem daje osiemnaście minut piętnaście sekund; nie powinniśmy zapominać o wcześniejszej półgodzinie, którą zajęło Luciowi Etxe dotarcie do Cuatro Caminos i powrót z kowalami, a to daje nam razem blisko pięćdziesiąt minut; a powinniśmy też pamiętać o czasie, zanim Eladio Altube odzyskał przytomność i zdał sobie sprawę, że jest przybity do skały, i przypływ podnosi się coraz wyżej, a obok, utopiony bądź jeszcze topiący się, brat. I jeśli o tej długiej agonii, na którą złożyły się te wszystkie czasy, nawet chciałby zapomnieć, co nie sądzę, żeby w ogóle było możliwe – to przeklęte wycie mu o niej nieustannie przypomina – dlaczego drzwi na zaplecze jeszcze się nie otworzyły i nie ukazał się w nich Eladio Altube, rękami zasłaniając sobie uszy?

W chwili, w której chłopak kończy pracę i się prostuje, a może nawet kilka dziesiątków sekund wcześniej, coś upada na podłogę, wydając typowy odgłos – mam na myśli świetnie rozpoznawalny dźwięk upadającego na ziemię metalu – jedno ogniwo; a właściwie, niech będzie dwa, dwie połówki przepiłowanej części. Wstaję, idę za ladę i schylam się po swoje trofeum. Stopy chłopaka przesuwają się o parę centymetrów, żeby umożliwić mi tę operację, i wyobrażam sobie jego zdumienie. Podnoszę się i podtykam mu pod nos spoczywające na mojej dłoni dwie połówki.

– Mógłbym je sobie zatrzymać?

– Tylko żeby szefowie nie widzieli – odpowiada chłopak.

Oby nie zapytał mnie, po co mi one potrzebne, bo sam nie wiem. Zastanawiam się, czy to miłe uczucie, że właśnie stałem się właścicielem czegoś, co wydaje mi się istotne, ma jakiegokolwiek podstawy. Do dzisiaj dysponowałem jedynie wersjami, które krążyły po Getxo od momentu tragedii, moje prywatne zasoby ograniczały się do okruchów wspomnień młodzika, niezasługującego na zaufanie, który był wówczas zajęty innymi sprawami... Ani nawet cały ten mój wysiłek umysłowy, żeby ocalić od zapomnienia tę przeszłość, ani osobiste kontakty z Luciem Etxe i ten dzisiejszy z Eladiem Altube, o których nie można zapominać – nie zanurzyły mnie na tyle w problemie, ile owe dwa kawałki żelaza. To jest właśnie ta znacząca różnica między bladymi echemi przeszłości, wyznaniem na pewno zniekształconymi przez upływ czasu, a tym okrągłym przedmiotem, który spoczywa w mojej dłoni – część prawdziwego łańcucha, nie wymyślonego. Dzięki temu ogniwu „dotykam” sprawy. Oni podnieśli by do ust otwartą paczkę Lucków, po czym schowaliby ją z jednym papierosem mniej, którego zapaliliby zapalniczką

kolejnym eleganckim ruchem, wypuściliby z satysfakcją kłęb dymu, przekrzywiliby na bok kapelusz i rzucili: „OK!”.

Moja euforia jest tak ogromna, że jestem bliski pytania chłopaka: „Pamiętasz, komu sprzedałeś podobny łańcuch dziesięć lat temu?”. Klient odchodzi z ciężkim zakupem, a z zaplecza wyłania się Joseba Ermo, żeby zabrać z lady pieniądze i sprawdzić zapis w księdze rachunkowej. Wraca do siebie, nawet na mnie nie spojrzawszy.

– Idę coś zjeść – mówi mu chłopak, zanim zamkną się za nim drzwi. Macha mi ręką na pożegnanie i wychodzi.

Wracam na krzesło. Oni też czekali, w hotelikach spod ciemnej gwiazdy i w jakichś dziurach, w spelunkach pożółkłych od nikotyny i alkoholu, na zimnych rogach ulic. Czekam, co może nie być najlepszym rozwiązaniem, wolę być umiarkowanie zadowolony, niż wpaść w euforię żółtodzioba. Powoli umieszczam swoją zdobycz w kieszeni marynarki.

Moje spokojne oczekiwanie mać hałaśliwy dzwonek. Wchodzi kobieta około czterdziestki, z koszykiem w ręku.

– Ekspedient wyszedł, a oni są tam, w środku – mówię, dając jej do zrozumienia, że nie ma tu czego szukać.

Niewzruszona zbliża się do kontuaru, stawia na nim koszyk i odwraca się w moim kierunku.

– Nie przychodzę nic kupić – zwraca się do mnie ze smutnym, choć mimo wszystko jasnym uśmiechem.

Jest blondynką, bardzo ładną, z zaczesanymi do tyłu i upiętymi w kok włosami. Z jej twarzy niewiele można wyczytać. Gdybym spotkał ją w jakimkolwiek innym miejscu, a nie w tym sklepie żelaznym, pewnie nie zdziwiłbym się, odkrywając nagle: „To żona Eladia Altube. Jak ona się nazywała? Jak się nazywa?”. Nie przestaję się jej przyglądać i natychmiast sam sobie odpowiadam: „Bidane Zumalabe, z gospodarstwa Zumalabena”. Historia wszystkim dobrze znana – musieli opóźnić ślub o rok z powodu śmierci brata; Altubowie zapewne odłożyliby go na jeszcze dłużej, mimo że dzięki temu tragedia nie ciążyłaby mniej na uroczystości. Małżonkowie zajęli to samo gospodarstwo w Berlango, w którym mieszkali bliźniacy, a cztery lata później przenieśli się do Zumalabeny, do jej rodzinnego gospodarstwa, skąd wywodzili się Zumalabenowie. Co prawda Eladio Altube nigdy nie tknął żadnych narzędzi rolniczych... To wszystko plotki, które *ama* powtarza w kuchni.

– Pan nie jest z Getxo – mówi kobieta.

To przez mój garnitur i krawat, chociaż dzień powszedni, oraz kapelusz. Podnoszę się z krzesła.

– Mam tutaj, o parę kroków stąd, księgarnię.

Może to nie jest jednak Bidane Zumalabe. Uśmiecha się, ale już mniej pewnie, niż kiedy tu weszła, jakby przytłoczyła ją wizja piętrzących się nad moją głową obcych jej książek. Należy do tej ogromnej większości, która po skończeniu szkoły nie bierze już żadnej książki do ręki. Wygląda na trochę zawstydzoną, przynajmniej gdy tak stoi przed księgarzem nazbyt dobrze ubranym.

– Jestem w pracy – przychodzi mi do głowy, żeby jej powiedzieć.

Niemożliwe, żeby wiedziała, co mam na myśli, ale czuje się w obowiązku odpowiedzieć:

– Przyniosłam mu obiad.

– Któremu z nich? – wrywa mi się.

Kobieta odwraca wzrok w stronę drzwi na zaplecze, zza których nadal słychać podniesione głosy.

– Mojemu mężowi oczywiście.



Nadarza mi się niezwykła okazja i nie mogę jej zaprzepaścić.

– To, co wydarzyło się na plaży dziesięć lat temu, było przerażające i bezpośrednio panią dotknęło, spotykaliście się już wtedy. – Posępnie kiwa głową. – Wprawdzie spóźnione, ale chciałbym wyrazić moje najszczerze kondolencje. Ja byłem wówczas oseskiem. Jeżeli odgrzebuje teraz tę sprawę... Mógłbym skłamać i powiedzieć, że to dlatego, że właśnie cię spotykam, ale tak naprawdę... Pamiętasz, co powiedziałem wcześniej, że jestem w pracy?

– W pracy – powtarza prawie bezgłośnie, wpatrując się we mnie i z niepewności mrugając.

– Wyzaczyłem sobie zadanie, chcę odnaleźć mordercę... Tak, wiem, dużo czasu minęło. Trudno to zrozumieć z zewnątrz... Wiem, że w pewnym momencie będę musiał się wytłumaczyć, i może ten moment nadszedł teraz. A ty jesteś na pewno osobą, która najbardziej zasługuje na to, żeby poznać prawdę, byłaś wtedy narzeczoną brata zmarłego, a obecnie jesteś jego żoną... I jeśli powiedziałem ci, że jestem w pracy, to dlatego, że chciałbym napisać o tym, co się wydarzyło. I pewnie zadajesz sobie pytanie, dlaczego chcę o tym napisać. – Wydaje się, jakby oczekiwała na moje wyznanie z niespodziewanym zainteresowaniem. – Chyba nie ma sensu, bym mówił, że po prostu tak chcę albo tego potrzebuję. Tak było na początku. Nigdy nie przypuszczałem, że pisanie pomoże mi w śledztwie ani że może zdarzyć się na odwrót. To tak, jakbym porządkował zdarzenia, które nabierają nowego sensu, stają się bardziej prawdopodobne, dlatego że pisząc, możemy tworzyć inny wymiar rzeczywistości. Kiedy opiszę to wszystko, o czym ci teraz opowiadam, siebie i ciebie w tym sklepie żelaznym, i ich tam w środku, stworzę inną rzeczywistość, a nawet innego prywatnego detektywa... Tak więc jeśli widzisz mnie teraz zajmującego się tą sprawą, to dlatego, że dzisiejszego ranka odwiedziłem twojego męża na fermie, żeby zadać mu wiele pytań, bo tym właśnie zajmuje się prywatny detektyw.

– Jesteś z policji, od Franco?

– Nie, nie! To wyłącznie moja sprawa. Między nami przebywa morderca, a Getxo zasługuje na to, żeby się od niego uwolnić. A tobie i Eladiowi należy się to bardziej niż komukolwiek.

Stoimy w odległości dwóch metrów jedno od drugiego, tuż obok lady, choć żadne z nas się o nią nie opiera. Bidane Zumalabe wyjmuje niebieską chustkę, raczej sporą, z kieszeni przypominającego szlafrok swoistego płaszcza, który ma na sobie, i podnosi ją do oczu.

– Wojna przykryła całą tę sprawę – mówi, a jej głos się nie łamie. – Powinniśmy zapomnieć o tym nieszczęściu, które przytrafiło się tylko jednej rodzinie, dlatego że inaczej Bóg uzna za pychę wyniesienie tego jednostkowego bólu ponad niekończącą się wojnę, która spadła na bardzo wielu, na wszystkich. Powinniśmy zapomnieć, zapomnieć...

– Ale ktoś nie zapomniał! – wykrzykuję. – Eladio był ofiarą kolejnego zamachu... i w dalszym ciągu znajduje się w niebezpieczeństwie!

Ręka z chustką w drodze powrotnej do kieszeni zatrzymuje się w pół drogi. Wyraz twarzy Bidane, cała ona jest jednym zdumieniem.

– W niebezpieczeństwie?

Mąż o niczym jej nie opowiedział i myślę, że bardzo dobrze to o Eladiu świadczy. Jak mogę się teraz wycofać?

– Kto zaatakował raz, może spróbować ponownie – przychodzi mi do głowy odpowiedź. I mało brakuje, a dodałbym: „Zwłaszcza jeżeli poniósł fiasko w pięćdziesięciu procentach”.

– On też już o tym zapomniał. Dziesięć lat zrobiło swoje. Wszyscy powinniśmy zapomnieć, wszyscy zapomnieliśmy – wypowiada chrypliwie.

– Również Eladio Altube?

– Mój mąż nigdy o tym nie mówi.

- Czasami nie możemy mówić o czymś, co nosimy w sobie, bo jest zbyt przerażające.
- Mój mąż zapomniał.

Rozumiem, że dla własnego spokoju musi w to wierzyć. Jeżeli jednak żona słyszy w nocy chrapanie męża, to słyszy również wypowiedane przez sen strzępki zdań pełne głęboko skrywanej prawdy. Ale ona powiedziała: „Eladio Altube zapomniał”. A dokładniej: „Mój mąż zapomniał”. Mam dowody, że jest inaczej, że ktoś usilnie stara się mu o tym przypomnieć.

Głosy obu mężczyzn ucichły i obawiam się, że drzwi otworzą się lada moment, a nasza rozmowa zostanie przerwana, choć wydaje mi się, że Bidane Zumalabe ma mi jeszcze wiele do opowiedzenia.

- Jak i kiedy dowiedziałaś się o tragedii?

Nie zauważyłem wyrazu zaskoczenia na jej twarzy.

– Wiadomość przyniósł mi do Zumalabeny Lucio Etxe o czwartej nad ranem. „Poprosił mnie, żebym cię migiem ze sobą przyprowadził. Czeka na ciebie jeden z bliźniaków. Drugi nie żyje”. Nie ośmieliłam się zapytać, który z nich przeżył. Poza tym wtedy jeszcze tego nie wiedział.

- Jak to? Przecież był tam tej nocy i brał udział we wszystkim, co się wtedy wydarzyło?

Nie ciągnę dalej, nie mógł tego wiedzieć. Bliźniacy byli do siebie za bardzo podobni, trzeba było poczekać na zidentyfikowanie zwłok albo na wyjaśnienie Eladia, co nastąpiło później. Mimo wszystko wydaje mi się, że umknęła im jedna przesłanka – Leonardo Altube nie poprosiłby Lucía Etxe, żeby wyciągnął Bidane z domu w tej sytuacji i o tej porze, bo „nie był jej narzeczonym” i takie zachowanie nie dałoby się wytłumaczyć.

– Zostawiłam rodziców na wpół ubranych na progu i pobiegłam za Etxe – ciągnę Bidane. To naturalne, że nie przystaje z przyjemnością na moją prośbę, jako że w jej rozumieniu donikąd to nie prowadzi, bo „wszyscy zapomnieli albo jest im na rękę to zrobić”. – Moja noga nigdy nie powstała w domu, w którym mieszkali w Berango, chociaż spotykaliśmy się od pięciu lat, wiesz, jak to jest w małych miasteczkach. Odnalazłam Eladia w kuchni, siedział skulony na ławie pod kocem, przy ogniu, który Lucio Etxe rozpałił w węglowej kuchni, zanim poszedł mnie poszukać. Płakał i cały się trząsał, więc nie mogłam się ruszyć z miejsca. Uklękłam przed nim, żeby go przytulić. „Utopił się tuż obok mnie i nie mogłem nic dla niego zrobić!”, powtarzał w kółko. Nie wiedziałam jeszcze, co się stało, powiedziano mi tylko, jego brat nie żyje. Nie mogłam przestać go przytulać i płakałam razem z nim. Nigdy nie kochałam go bardziej niż wtedy. Kochałam go. Pocałowałam go, pocałowałam go w usta. Lucio Etxe spojrział na nas szeroko otwartymi oczami, ale natychmiast zaczął dorzucać węgla do kuchni. Upłynęło dużo czasu, zanim w końcu położyliśmy go we dwójkę spać, wcześniej przebrawszy w T-shirt i bokserki, bo Lucio Etxe zdjął z niego mokre ubranie po przyjściu. Minęło jeszcze wiele godzin, zanim się dowiedziałam, dlaczego był taki przemoczony.

Nadal staliśmy przy kontuarze. Tak smutne wspomnienia nie zmąciły pogodnego wyrazu jej twarzy, była raczej jakby nieobecna, jakby to wszystko jej nie dotyczyło.

Ciche skrzypnięcie, drzwi się uchylają do połowy i słyszymy nasilające się głosy. Muszę już kończyć...

– Kiedy już otrząsnęliście się po stracie, o kim myśleliście? To znaczy, mam na myśli, kogo podejrzewaliście?

- Nikogo i wszystkich. Wolałabym nie mówić nic więcej.

Nie mogę na tym poprzestać, nie wiem, czym jest spowodowane jej milczenie, skoro już tyle mi opowiedziała.

– Może było za wielu podejrzanych? Bliźniacy znali dużo ludzi, prowadzili interesy z jednymi i z drugimi, znano ich ze szwindli, więc ich wspólnicy nie zawsze byli zadowoleni.

Niektórzy przyprawiali im gębę. Żywili do bliźniaków urazę, chcieli się na nich zemścić. – Wpatruję się w oczy, które się nie otwierają. – I nie powinniśmy ograniczać się do współników, każdego sąsiada można zdenerwować, mając powód lub nie. Wszyscy wiemy, że Félix Apraiz oskarżał ich o to, że przywiązywali swoje takle do jego haka.

– Ten hak nie był niczyją własnością, każdy mógł z niego korzystać – oznajmia kobieta. Nie ciągnę dalej tematu, nie pytam jej, na przykład: „Ale czy naprawdę z niego korzystali?”.

Drzwi otwierają się na oścież i wchodzi dwóch współników. Joseba Ermo spogląda na ladę, potem na kobietę i na mnie, otwiera szufladę, żeby sprawdzić, czy są w niej jakieś pieniądze, które nie zostały mu przekazane. Przechodzi przez sklep i opuszcza go bez najmniejszego gestu pożegnania. Przypuszczam, że Eladio Altube poinformował go, że nie jestem nikim ważnym i że książki przynoszą wątpliwe dochody, z kolei Bidane Zumalabe wydaje się przyzwyczajona do takiego traktowania.

Eladio Altube otwiera koszyk i pociąga nosem, przystawia do lady krzesło i siada. Żona wyciąga z koszyka serwetkę w kratkę i przykrywa nią ladę, jakby to był stół, i stawia na niej menażkę, otwiera ją i wsuwa mężczyźnie do ręki łyżkę, a on z apetytem zaczyna konsumować czerwoną fasolę. Prawie nie żując, tylko memląc językiem, z pełnymi ustami mamrocze do mnie: – Zaraz wychodzimy.

Jedynie robotnicy przynoszą z domu menażki, żeby o dwunastej móc zjeść obiad na jakimś rusztowaniu. Ale on nie jest robotnikiem, jego interesy muszą przynosić mu zyski, do których należy doliczyć i te, które od dwudziestu pięciu lat zarabia jako kremator. Czy jego zajęcia nie pozwalają mu na parę godzin przerwy, żeby zjeść w domu – w Zumalabenie, która nie jest wcale tak daleko – porządnie przy stole to, co z miłością ugotuje mu żona? Czy nie daje wyrazu swojej miłości, podróżując z koszykiem na umówione spotkanie o dwunastej? Na pewno nie zawsze tutaj, tylko również na fermę, plażę, do lasu albo w jakiegokolwiek inne niezwykle miejsce, z którego można wyciągnąć jakieś dochody. A przecież na pewno zawsze miał pod nosem jakąś knajpkę, nie mówiąc o restauracji.

Eladio i Leonardo prędko poczuli smak pieniędzy, co im się spodobało. Wydaje mi się, że mieli po szesnaście lat, kiedy Efrén Bascardo zatrudnił ich w swoim domu pogrzebowym, po czym zwolnił, bo okazało się, że go okradali. Tak zaczęła się ich burzliwa kariera, która trwa przez ćwierć wieku do dziś – już od małego dokonywali drobnych spekulacji handlowych, które nie ustały po zabójstwie Leonarda, co z kolei na tym poziomie zmusza nas do postawienia pytania: po co im tyle pieniędzy? Na co je wydawali? Na co wydaje je teraz Eladio?

Bidane Zumalabe odeszła z koszykiem, posyłając mi na pożegnanie spojrzenie pełne antypatii lub wręcz przeciwnie, ale na pewno nie niepokoju, takie odniosłem wrażenie. Małżonkowie nie zamienili ze sobą ani słowa.

– Muszę wyjść, a chłopaka w dalszym ciągu nie ma – warczy Eladio Altube, który już wstał.

Tak mało czasu wyznacza mu na posiłek. Ale przynajmniej jest sprawiedliwy, tyle samo wyznacza sobie.

– Jeśli opowiesz mi o drugim zamachu, nie będę ci dłużej przeszkadzał.

– Zaprowadzę cię na miejsce, nie przeszkadzasz mi.

– Na miejsce?

– Na plażę.

– Znowu na plażę?

– Tak. Ale tym razem chodzi o inny atak.

Wychodzi na ulicę, a ja razem z nim, rozgląda się dookoła, zamyka drzwi na klucz

i ruszamy, on mamrocząc coś pod nosem. Milknie, kiedy mija nas jakiś mężczyzna, odwraca się i spogląda na oddalające się plecy. „Ten skurczybyk musiał przyjść właśnie teraz...”, słyszę, jak mówi. Mężczyzna dochodzi do drzwi sklepu żelaznego i pociąga za klamkę. Eladio Altube wraca w pośpiechu.

Dziesięć minut później staje obok mnie.

– Chciał jeden wkret z tych mniejszych – usprawiedliwia się.

Później on i jakaś kobieta zaczynają rozmawiać na progu jej domu, w dzielnicy Abasota. „Dzisiaj nie mogę ci nic dać, przyjdź za tydzień”, mówi kobieta. „Masz te wszystkie raty, a robisz mi coś podobnego”, warczy Eladio Altube. „Nie dostaniesz więcej pożyczki. Porozmawiam z twoim mężem”. „Nie, nie, proszę! Za pięć dni dam ci pieniądze”.

– Nie wiem, dlaczego proszą o pożyczkę, skoro później nie mogą jej spłacić – skarży się Eladio, kiedy odchodzimy.

– Właśnie dlatego.

Spogląda na mnie i milknie. Też pożyczkodawca. Przebiegli byli bliźniacy. Dzwonimy jeszcze do trzech par drzwi i w dwóch mu płacą. Potem spogląda w kierunku małej fermy świń, wysoko nad plażą, i w końcu schodzimy. Zaprasza mnie, żebym usiadł na piasku, jakby plaża była jego własnością. I może tak właśnie jest, że ma do niej więcej praw niż my, którzy nie straciliśmy na niej brata.

– Wcześniej z Leonardem to była zabawa – mówi ze zmęczeniem, tak jakby udało mu się odgadnąć moje myśli. – Nie tylko byliśmy dużo młodszy. W każdej robocie trzeba się napocić, ale z nim było inaczej, dlatego że opowiadał dowcipy.

– Dowcipy? – dziwię się. – Zawsze mieliśmy was za sumiennych i poważnych. A jeśli tak lubiliście się śmiać, dlaczego nigdy nie widziano was na zabawach i w tawernach?

Eladio Altube odwraca się do mnie.

– Ludzie nigdy nie rozumieli bliźniaków. Myślisz, że chcieliśmy się zmienić, bo nas nie rozumiano?... Słuchaj, detektywie: jedyne, co naprawdę nas bawiło, to były negocjacje. Byliśmy przygotowani na wejście w każdy obiecujący interes. Dowcipkując, Leonardo i ja wymyślaliśmy firmy, o których w Getxo nikomu się nie śniło. Bawiliśmy się przednio. Dzisiaj nie ma jego dowcipów i wszystko wygląda inaczej.

– Może już tak dobrze się nie bawisz, ale nadal działasz.

Jego spojrzenie gubi się w piasku.

– Leonardo jest ze mną w dalszym ciągu. Czuję go blisko siebie. Temu skurwysynowi, który go zabił, nie udało się do końca.

– Ale w dalszym ciągu czujesz na plecach jego oddech, prawda? Co się zdarzyło za drugim razem?

Podnosi wzrok i przeszywa mnie spojrzeniem.

– Algi – wypowiada słowo, z błyskiem w oku.

– Algi?

– Wiele lat temu Leonardo i ja zajmowaliśmy się przez pewien czas zbieraniem tych glonów, które zimowe sztormy wyrzucały na brzeg. Wynajmowaliśmy ludzi, żeby ładowali je na wozy zaprzężone w muły. Nie tylko algi wychodziły nam gratis, ale władze miasta musiały nam płacić za oczyszczenie plaży. Jedna z fabryk wyciągała z nich jakieś syfy dla laboratoriów... Pewnej zimowej nocy, nocy alg, zszedłem na plażę, żeby powspominać tamte czasy, i uderzenie w głowę sprawiło, że straciłem przytomność. Kiedy otworzyłem oczy, znajdowałem się w kisielowatej ciemności, która owijała się wokół mnie tysiącami macek. Miałem związane nadgarstki i kostki u nóg tymi mackami, a na głowie poczułem wodnisty ciężar, który mnie przygniatał. Dusilem się. Wtedy przypomniałem sobie o algach i zrozumiałem, że zostałem

w nich zagrzebany, że ktoś mnie w nich pogrzebał. Nie mogłem oddychać, a algi włożyły mi do ust, kiedy starałem się krzyczeć. Wierciłem się, próbując je od siebie odsunąć, ale wtedy ktoś z zewnątrz dosypywał nowych... I ten skurczybyk skakał po nich, żeby przygnieść je bardziej i bardziej. Aż wreszcie udało mi się wyciągnąć głowę. Trzech mężczyzn zbliżało się plażą, to oni musieli wystraszyć tego skurwysyna. Minęli mnie z daleka, a ja ich nie zawołałem. Nie byli mi już potrzebni. Zdarzyło się to w tysiąc dziewięćset czterdziestym pierwszym.

Skała Felixa Apraiza wznosi się po przeciwnej stronie plaży. Zawsze ta plaża.

– Nie widzę, żebyś obawiał się trzeciego ataku. Myślisz, że teraz, po czterech latach, zostawi cię w spokoju?

– Cały ten proces jest we mnie w środku.

– Na twoim miejscu nie zbliżałabym się do plaży nocą.

Wzrusza ramionami.

– Podejrzewasz kogoś?

Znowu wzrusza ramionami.

– Jasne, prowadzicie tyle interesów z tyloma ludźmi... No tak, teraz tylko ty je prowadzisz. Chociaż wszystko się zaczęło, zanim twój brat został zamordowany. Nie przychodzi ci do głowy żadne nazwisko? Félix Apraiz?

– Ludzie w Getxo często trzaskają dziobami.

– Félix Apraiz? – powtarzam. – On albo ktoś inny, kto jest tak samo przywiązany do plaży.

– Na plażę przychodzi wielu rybaków.

– Ale jego doprowadziliście do szału.

– Ludzie w Getxo często trzaskają dziobami.

– Masz na końcu języka inne nazwisko, prawda?

– A ty uparłeś się na Felixa Apraiza. Opowiesz mi, co ci powie, kiedy pójdziesz się z nim zobaczyć.

– Dlaczego myślisz, że go zobaczę?

W jego oczach zapalają się ironiczne błyski.

– A to nie ty jesteś detektywem?

*Sorki* w języku baskijskim oznacza zaplecioną z warkoczy koronę.

## Układanie zdań

Tym drzwiom czegoś brakuje, ich górna połowa świeci pustką. Oni, na szklanej części drzwi swoich biur, kazali napisać nazwisko, swoje własne. Ja też napiszę swoje: „Samuel Esparta. Prywatny detektyw”. Nie można wykluczyć, że ktoś roztrzępany, kto będzie potrzebować mojej pomocy w rozwikłaniu zagadki, poczuje się zaskoczony, odkrywszy szyld „Księgarnia Beltza”, i nawet nie zajrzy do środka. Lokal prowadzący podwójną działalność musi się liczyć z taką ewentualnością. Nasi stali klienci, których nie ma zbyt wielu, nawet nie zwrócą uwagi na dyskretny napis. Inni wywnioskują, że księgarz jest swoistego rodzaju detektywem książkowym, i nie wiedząc, co to właściwie oznacza, będą się zastanawiali, czy wejść do środka, czy nie, a ci bardziej odważni w końcu przekroczą próg. Tylko ci, którzy będą rozmyślnie poszukiwać prawdziwego Samuela Esparty, będą wiedzieli, że zadzwonili do właściwych drzwi, a ja zapytam: „Co cię sprowadza?”.

Hmm, i w dalszym ciągu nie zamówiłem kart wizytowych.

– Co słychać? – pozdrawiam Koldobike.

Nie dopytuję się o dzisiejszy utarg, to nasze typowe przyjacielskie powitanie w Getxo. Jej słowa docierają do moich uszu w chwili, kiedy odkrywam wszechogarniający bałagan:

– Złożyli nam wizytę.

– Oni?

Przez ułamek sekundy jestem idiotycznie podekscytowany – „oni” – ale puste półki i stosy książek walających się po ziemi świadczą, że ci „oni” to nie ci, których miałem na myśli, ale ci, którzy pilnują nas od czasu wejścia frankistowskich oddziałów.

– Nadciągnęli jak gradowe chmury i w czasie, gdy jeden mnie przesłuchiwał, dwóch pozostałych przewracało wszystko do góry nogami. Co takiego mieli nadzieję znaleźć za książkami? Chcieli tylko wyrządzić szkodę. Twoje biurko jest w podobnym stanie. Powiedzieli: „Powiedz mu, żeby nie bawił się w policjanta, to nasza robota. Potraktujcie to jako pierwsze ostrzeżenie”. Staram się tutaj jakoś uładzić. Kiedy przestaną przypominać nam, że to oni wygrali wojnę? Chciałabym dać im kopniaka, ot co!

Puste szuflady leżą na podłodze w moim biurze, a papiery, które znajdowały się w środku, zostały już zebrane z ziemi i spoczywają teraz w stosiku na biurku. I nagle oślepia mnie blask platyny, który wcześniej uszedł mojej uwagi. Prawie przewracam parawan, podbiegając do Koldobike, która pochylona, podnosi książki z podłogi.

– Zrobiłaś to!

Chwytam ją za ramiona i podnoszę z podłogi. Nie mogę oderwać oczu od jej lśniących włosów.

– Nie musiałaś.

– Trzeba było działać szybko, zaczęłaś już pisać swoją powieść, więc chciałam wyglądać jak z obrazka.

– Wiem, ile dla kobiet znaczą ich włosy.

– Daruj sobie! A co z Samuelem Espartą? Tym razem napiszesz świetną powieść, a ja, żeby zostać twoją sekretarką, musiałam przebarwić się na blond. Pozwól, że ci przypomnę – nie tylko sprzedaję książki Chandlera i Hammetta, ale także je czytam. Wiem o nich tyle, co i ty, podoba mi się to, co robią i jak działają, i pewno zdziwiłbyś się, gdybyś wiedział, jak dobrze znam ich sekretarki.

Nie odwraca głowy, jedynie jej oczy wpatrują się we mnie, kiedy mi to wszystko mówi. Pierwszy raz od pięciu lat przeżywamy tak niezwykłą chwilę.

– Nie musiałaś posuwać się aż tak daleko, żebym poczuł się jednym z nich.

– Sam mnie o to poprosiłeś.

– To prawda, ale nie przypominasz teraz Koldobike, którą wszyscy znaleźliśmy. W zamian Samuel Esparta ma wyjątkową sekretarkę. No dobrze, a jeśli posuwam się za daleko? Właściwie powinienem skupić się na pisaniu.

Błyskawicznie odwraca głowę i od razu wiem, że pod tą nową wspaniałą fryzurą znajduje się ta sama Koldobike, co zawsze. Wbija we mnie swoje oskarżycielskie spojrzenie.

– Szaleństwo czy nie, twoja powieść trwa już czterdzieści osiem godzin. Wczoraj cieszyłeś się jak dziecko swoją nową zabawką. Jak poszło ci dzisiaj z Eladiem Altube?

– Powieść ma już kolejny niezły rozdział – zapewniam ją. – A nawet więcej, toczy się sama. Biedny pisarz, nie musi niczego wymyślać, dzięki Bogu, wszystko podają mu na tacy. Po dziesięciu latach zapomnienia cała ta sprawa znowu nabiera życia w rękach Samuela Esparty i jest niezwykle żywa, jakby przez te wszystkie lata czekała tylko na niego. Samuel Esparta jest szaleńcem, który ma dużo szczęścia.

Oczy Koldobike błyszczą teraz tak samo jak jej włosy.

– Psst... raz na zawsze z tym szaleństwem, w które nie wierzę ani ja, ani ty. Spróbuj zaprzeczyć.

Nawet nie próbuję. Chociaż szaleńcy też uważają się za całkowicie normalnych.

– Falangiści, nieprawdaż?

– Tak, pieprzeni falangiści.

– Skąd wiedzą, że ja...?

Eladio Altube! To na pewno ci sami trzej, którzy przyszli po jajka na jego fermę. Za długo już decydują o sprawach życia i śmierci, nie chcą konkurencji – chociaż moje zajęcia nie ma nic wspólnego z ich wywlekaniem na spacer do piachu i rozstrzelaniami.

Spomiędzy książek poniewierających się na podłodze u stóp regału z czarną serią wyciągam *Kobietę z jeziora* Chandlera i *Krwawe żniwo* Hammetta, po czym ze czcią odstawiam do ich sanktuarium.

– Niech podziwiają z góry przemoc, której padliśmy ofiarami.

Koldobike rzuca mi spojrzenie z ukosa, którego nie udaje mi się rozszyfrować, po czym wraca do porządkowania książek.

– Wydajesz się zadowolony, że mają cię na oku – fiuka.

Staram się posegregować papiery na biurku i powkładać je do odpowiednich szuflad.

– Eladio Altube podzielił się ze mną wieloma wiadomościami – oznajmiam. – Spędziłem z nim cały dzień, z bliska mogłem przypatrzeć się interesom, które prowadzi, w jego sklepie żelaznym widziałem Joseba Ermo, poznałem Bidane Zumalabe... Będę potrzebował całej nocy, żeby sporządzić pełny raport. Wziąłem pod lupę wiele intrygujących postaci. Wydaje mi się nawet, że dziesięć lat, które upłynęło, nie tylko nie zaciemniło obrazu całej sprawy, ale wręcz pozwoliło jej dojrzeć.

– Jakiś nowy ślad?

– Zrozum... Nie, nie mam żadnej nowej poszlaki. Jak mogę ci to wytłumaczyć? Czuję, że mur zaczął się kruszyć.

– Tak szybko? To niemożliwe, nawet jakbyś był jak błyskawica.

– Co byś powiedziała, jeśli zdradziłbym ci, że Eladia Altube usiłowano wyprawić na tamten świat jeszcze przy dwóch innych okazjach? Sam mi to wyznał. Nie wiedzieliśmy o tym, nikt o tym nie wiedział, nawet Bidane Zumalabe, o czym mogłem się sam przekonać. On nie

chciał jej martwić. Niech to zostanie między nami.

– W porządku, szefie.

Koldobike rzuca cichutkie: „Oj”, wstaje i zręcznie kieruje się do swojego stolika, skąd przynosi zawiniątko.

– Zapomniałam – mówi, podchodząc i wręczając mi je. – Kiedy zamykałam o dwunastej, sąsiadka powiedziała mi, że widziała cię z bliźniakiem na Sarrikobaso, więc powiedziałam sobie: „No ładnie, szef dzisiaj zostanie bez obiadu”.

Uchylam papier i spod chorizo wyłaniają się dwa kukurydziane placki.

– Dlaczego pomyślałaś o czymś tak nieistotnym?

– A jadłeś?

– Nie.

Kieruje się teraz w stronę drzwi, komentując: „Ten Altube to skąpiradło”, i zamyka je na haczyk – jeszcze nie skończył się dzień pracy, ale księgarnia nikogo już nie obsłuzi.

Z pierwszym kęsem odkrywam, jaki byłem głodny. Podsmażone chorizo przebija przez papier, a niteczki czerwonego tłuszczu ślizgają mi się błogo w palcach. Z łazienki biorę mały ręcznik i siadam przy biurku. Przegryzam kolejne kęsy i śledzę Koldobike, która w opiętej i przyciasnej spódnicy na przemian pochyla się i wstaje. W metalowej rurze nie ruszałaby się z większą gracją. Dobrze, że przynajmniej nie jest to krótka spódniczka, zakrywa jej kolana. Na nogach ma pończochy, zgodnie z przepisami, które wprowadził proboszcz z San Baskardo, karlista nad karlistami, don Eulogio w czerwcu tysiąc dziewięćset trzydziestego siódmego roku w całym Getxo i które obowiązują po dziś dzień, mimo jego przejścia rok temu na emeryturę. Spódnica, niepokojąco przylegająca, podkreśla jej biodra, które zawsze miałem za wąskie, a okazały się pełne i okrągłe. One i to nowe uczesanie zmieniają Koldobike w kogoś innego. Ja też jestem kimś innym, i na dodatek mam nowe imię. Elementy nowej powieści, która w cudowny sposób posuwa się naprzód.

– Przydałoby ci się parę dni sjesty między jednym przesłuchaniem a drugim.

– To niemożliwe. Powieść musi mieć swój rytm.

– Miałam na myśli tę swołocz w niebieskich koszulach. Od lat strzelają do nas jak do kaczek.

– Chcieli nas tylko nastraszyć.

– Zabiją cię.

– Zastanowię się nad tym, kiedy już to zrobią.

– Puchniesz z dumy, kiedy tak układasz zdania do swojej powieści.

Przełykam ostatni kęs – zacząłem mówić z pełnymi ustami – wycieram ręce ręcznikiem i zanoszę go z powrotem do łazienki.

– Było pyszne, skarbie.

Koldobike śmieje się najrzadziej ze wszystkich kobiet, które znam, mimo że cała ulepiona jest z sarkazmu.

– Idź do domu, zapomnieli już, jak wyglądasz. Zjedz treściwą kolację i połóż się spać, niczym nie zaprzatając sobie głowy, skoro jest tak, jak mówisz, i pomysły przychodzą do ciebie same. Wyśpij się porządnie i nie zrywaj za wcześnie.

– Kiedy muszę zamienić się w skrybę.

– Nie ma pośpiechu, wszystko będzie na ciebie czekało, jak przyjdiesz.

– Od kogo zaczęłabyś jutro?

– Powiem ci, ale tylko jeśli zaczekasz do jutrzejszego popołudnia. – Wzdycham i robię minę niewiniątka. – Félix Apraiz.

– Zawsze tylko plaża i plaża.



– Choć nie zabija się nikogo z powodu haka. Poza tym ostatnim, który przywiązałby ich do tego kawałka metalu, byłby Félix Apraiz.

– Chyba że liczyłby na to, że wszyscy pomyślą tak, jak ty przed chwilą.

Moja dłoń napotyka kieszeń marynarki, w której tkwią dwa twarde, zapomniane kawałki ogniwa. Wyciągam je i pokazuję. Staram się wytłumaczyć, dlaczego je zabrałem, ale mam wrażenie, że mi się to nie udaje.

– Pamiętaj, że córka Felixa Apraiza, Alodi, zginęła rok temu niedaleko plaży, pod kołami wozu Lecumberriego. Niech twoje pióro o niej nie zapomni, zanim pochłonie cię całkowicie twoja historia.

## Wierna i oddana Baskijka

Kiedy wychodzę z pokoju, dociera do moich uszu głos siostry:

– *Ama*, zostaw go.

*Ama* stoi obok i wpatruje się we mnie, z trudem powstrzymuje się, żeby nie powiedzieć mi do słuchu paru rzeczy. Jeszcze nie przeboleła, że mój najlepszy garnitur wychodzi z szafy w dni powszednie. Dobrze ją rozumiem, ma podwójny powód – garnitur odziedziczyłem po ojcu, który miał go na sobie tylko dwa razy, siostra przerobiła go, dostosowując do moich mniejszych wymiarów, i teraz *ama* nie może się ustrzec i widzi w nim jednocześnie męża i syna, pierwszego zarówno żywego, jak i martwego, bo nigdy nie przeboleła, że nie mogła w nim pochować męża.

– Dzisiaj zjem z wami obiad – mówię, siadając przy kuchennym stole.

Może nie ma sensu zaczynać śniadania, skoro brakuje kawy? Jak rozpocząć dzień bez ambrozji w postaci kawy z mlekiem? Z ostatnich gramów zakupionych za bajońską sumę na czarnym rynku został już tylko naparstek, który *ama* trzyma w ukryciu na specjalne okazje. Na śniadanie wypijamy wypełniony po brzegi kubek mleka z pokruszonym ciemnym chlebem.

– *Ama* – słyszę siostrę, która stara się powstrzymać kolejny atak matki.

Przypominam sobie córkę Felixa Apraiza. Była śliczna jak z obrazka, jak mógłbym o niej zapomnieć? Zaledwie parę lat ode mnie starsza. Jej narzeczony Ismael Jáuregui zginął na wojnie, a ona mimo to czekała na niego, jakby nadal mógł wrócić. Nosiła się na czarno, w miasteczku uważano ją za prawdziwą wdowę. I tak było aż do października ubiegłego roku, kiedy to jedno z kół wypełnionego piaskiem wozu, należącego do woźnicy Lecumberriego, przejechało po niej. Wydarzyło się to jakieś sto metrów od plaży, na szosie, po której Alodi codziennie prowadziła osła obwieszzonego bańkami i roznosiła mleko. Trasa od drzwi do drzwi nie wymagała, żeby akurat tamtędy przechodzić, ale przechodziła. Może wspominała swój pierwszy pocałunek na tej plaży albo chciała popatrzeć na gospodarstwo rodziny Jáuregui, które wznosi się o krok od miejsca wypadku? Przypuszczam, że więcej osób ode mnie podejrzewa to samo – powolny wóz dwukołowy może kogoś potrącić tylko wówczas, jeśli go zaskoczy w momencie całkowitego zatracenia.

Zastanawiam się nad tym wszystkim, wspinając się po San Baskardo. Aserena, tak nazywa się gospodarstwo należące do Apraizów, jedno z najstarszych w Getxo, podług legendy jedno z czterdziestu ośmiu pierwszych gospodarstw założycielskich. Zastanawiam się właśnie nad swoją bezczelnością. Zamierzam prosić rodziców, żeby przewyciężyli swój ból po stracie córki i odpowiedzieli na pytania dotyczące morderstwa sprzed lat, w którym mąż był jednym z głównych podejrzanych, a ponieważ sprawa nigdy nie została wyjaśniona, w dalszym ciągu nim jest.

Wychodzę na ścieżkę między sadami i kieruję się w dół. Félix Apraiz musi z niej korzystać, kiedy udaje się na plażę, żeby przywiązać swoje takle do haka, naturalnie jeśli nadal to robi. A czemu by nie? Na naszej plaży mają go za jednego z najlepszych rybaków, jeśli nie za najlepszego – jako jedyny widział czarnego, gigantycznego węgorza morskiego, w całej jego okazałości – a zarówno łowiectwo, jak i połów ryb silnie uzależniają.

Wdzieram się na ziemię należące do Asareny przez dziurę w żywopłocie. Dalej ścieżka biegnie przez wysokie suche pola bardzo już dojrzałej kukurydzy, które barwią świat na żółto. I naraz widzę Asarenę w pełnej okazałości, zaciszną, z uginającą się pod ciężarem owoców pnącą winoroślą, która okala bramę. Ustępują mi, wydając dźwięk starego drewna, podwójne drzwi do

obory, przez które wychodzą osioł i krowa, a za nimi kroczy wieśniaczka, wywijając długim kijem, mimo że zwierzęta doskonale znają drogę i interwencja Elixane nie jest potrzebna. Nie mam wątpliwości, że to ona. Krowa i osioł stąpają po dobrze sobie znanym terytorium i ustępują im z drogi, żeby mogły przejść i one, i kobieta.

– Dzień dobry, Elixane.

Jeśli się przestraszyła, nie daje tego po sobie poznać. Z jej ust wydobywa się gardłowy odgłos, a oczy przeszywają mnie na wskroś. Czekam, aż zostawi zwierzęta na zielonej łące i wróci. Krótka podróż, która wydaje mi się zbędna, ale ona potrzebuje jej, żeby mnie umiejscowić w swoim prywatnym spisie ludności.

– Musisz być Bordaberry – mówi, podchodząc do mnie. – Syn Vicente. Vicente walczył razem z Felixem na wzgórzach. – Ma na myśli wojnę. – Ale jedni wracają, inni nie... Jak matka, dobrze się czuje?

– Dobrze, dziękuję.

Dzięki Koldobike jestem na bieżąco w sprawach naszych mieszkańców z Getxo. Félix Apraiz został wcielony po wojnie do batalionu dyscyplinarnego, w którym przebywał jeszcze parę lat temu – od trzydziestego siódmego do czterdziestego trzeciego krążył po całej Hiszpanii, odbudowując karnie miasta bez żadnego wynagrodzenia, spłacając dług wobec Franco. Wrócił na czas, żeby zobaczyć, jak w tragicznych okolicznościach umiera jego córka.

– Wracam z mleczarni. Wcześniej mieliśmy trzy krowy – mówi Elixane, spoglądając co jakiś czas w kierunku łąki. – Byłeś w kościele?

Dotykam krawata.

– Byłem na spacerze... Jest Félix? Chciałbym z nim pomówić.

– Stało się coś?

– Nie, nie masz się czym martwić, chcę mu zadać tylko parę pytań.

– Nie ma go. Łowi.

Oczywiście. A dlaczego by nie przesłuchać samej Elixane?

– Na takłe?

Rozgląda się na boki, zanim wyszepce:

– Przestał się ich bać. Po tym, co się stało, nie chciał nawet na nie patrzeć ani nie zbliżał się do tamtej skały. Tak samo, gdy wreszcie wypuścili go z batalionu dyscyplinarnego. Łowił, owszem, ale nie tykał się takli – tylko przynęty i wędka. Ale teraz wrócił. Nie minęło jeszcze nawet parę miesięcy. Dziś o brzasku znowu wyszedł z taklami. Dobry znak.

– Dobry znak?

– Tak, musiał mu się w końcu przelać kielich goryczy. Bardzo źle to zniósł. Jadł mało, zgubił wiele kilogramów. Te biedne chłopaki przywiązane do skały! Były z nich diabły wcielone, ale nie zmienia to faktu, że to dzieci boże. „Jakbym nie wbił tego haka!”, do znudzenia powtarzał Félix o każdej porze dnia i nocy.

Nie musiałem nawet jej zaczepiać.

– Ale zanim jeden z bliźniaków zmarł...

– Bujdy.

– ...zanim, czy nie dostawał białej gorączki, wiedząc, że bliźniacy korzystali z haka bez jego zgody?

– Tak, ciskał gromy. „Niech ja ich tylko dorwę...!”, mawiał. Ale nigdy ich nie dorwał. Za to kiedy schodził na plażę i natykał się na taklę bliźniaków, odwiązywał ją, żeby zabrało ją morze. Bliźniacy natychmiast sprawiali sobie nową. Félix mawiał, że gdyby plaża była lasem, wykopałby na nich wilczy dół.

– Jak dowiedzieliście się o tragedii?

– Byłam w skupie mleka. W miasteczku nie mówiło się o niczym innym. Wracam i opowiadam o tym mężowi, który tej nocy nie mógł zmrużyć oka i wyszedł zaczerpnąć świeżego powietrza... To stara historia.

– Żywo mnie ona interesuje.

– Interesuje cię? A to dlaczego? – Zmienia się wyraz twarzy Elixane, przestaje wyglądać jak sterana życiem kobieta przywołująca stare wspomnienia i w jednej chwili robi się czujna.

– Ale to nie on – szeptem z tym samym przerażeniem, którego musiała doświadczyć w czasie wojny.

Staram się ją uspokoić.

– Nikt go nie oskarża – ani wtedy, ani teraz. Ta historia dotknęła nas wszystkich jednakowo.

Nie jest do końca przekonana.

– Z czystej ciekawości – mówię. – Pytam i pytam, żeby nie zostawiać żadnych niezakończonych spraw. Tylko jedna osoba powinna się obawiać, że ktoś węszy w naszej przeszłości. A ty, Elixane, jesteś pewna, że tą osobą nie jest Félix?

– Pewniusięńka! A więc to dlatego ubrałaś się tak elegancko...

Ze słowami „Robota sama się nie robi” odwraca się ode mnie i idzie w stronę drzwi, a na moje pytanie: „Mogę poczekać tutaj na Felixa?”, plecy odpowiadają: „Już on ci sam powie, kiedy przyjdzie”.

Minęła połowa przedpołudnia, letnie wrześnie słońce posyła mi jedno z ostatnich ciepłych promieni. Wracam do dziury w żywopłocie, żeby usiąść na kamieniu. Przestałem być mile widziany przez Elixane. Chwilami dostrzegam jej drobną, bladą twarz za szybą okienną.

Wymieniam ukłony z osobami co jakiś czas przechodzącymi drogą. Mam nadzieję, że uda mi się rozpoznać Felixa Apraiza, kiedy się pojawi; nieobecni w czasie wojny i powojnia powracają do domów nierozpoznawalni.

Co powinienem wydedukować z zachowania Elixane? Powinno mi dać coś do myślenia? Strach stał się u nas nawykiem. Niekoniecznie, jeśli Félix Apraiz byłby mordercą, a ona mogłaby o tym wiedzieć, a nawet jeśli mogłaby się obawiać, że ktoś może go wydać. W każdym razie twarz, która mnie bacznie obserwuje, jest przepelniona strachem.

Pamiętam jej męża jako mężczyznę średniego wzrostu, zylastego, rzadko zabierającego głos... Wydaje mi się, że to ten, który majaczy na horyzoncie. Jest tego samego wzrostu i nie ma na sobie ani grama tłuszczu. Dużo mówi o człowieku jego sposób chodzenia, to, czy kiwa się na boki, czy chwieje się, czy nie, Félix Apraiz delikatnie się kiwa. Niesie mały worek z dzisiejszym połowem, koszyczek ze zwiniętymi przyborami, dwa bosaki i ośmiornice w dwóch rozmiarach. Ma na sobie gruby stary sweter naciągnięty na równie leciwą koszulę w kratę, spodnie z nankinu z łatami i znoszone espadryle, żeby nie poślizgnąć się na skałach. Kiedy mnie zauważa, na jego twarzy pojawia się cień zainteresowania, co odgaduję po tym, że mimo dzielącej nas jeszcze odległości nie spuszcza ze mnie wzroku. Wzrusza mnie nieodłączny beret, który wydaje się scementowany z czaszką tego umęczonego mężczyzny.

– Dzień dobry – witam się.

– Co słychać? – odpowiada.

– Jestem Sancho Bordaberri. Rozmawiałem już z twoją żoną.

Nie ułatwia mi zadania; chodzi o to, że zmusił mnie do przedstawienia się imieniem, które powinienem ukryć najgłębiej jak to możliwe, teraz, kiedy żyję w mojej nowej rzeczywistości.

– Czyli już z nią rozmawiałeś – powtarza.

– Tak, o tym, co zdarzyło się dziesięć lat temu na twojej skale... na skale na plaży, którą

nazywają twoim imieniem. Leonardo Altube.

Wszystko wydaje się przeciwzione: jego natychmiastowe poruszenie i powolne kroki w stronę kamienia na dźwięk moich ostatnich słów. Odkłada na ziemię to, co niesie, i siada na nim.

– Nie było mnie tam – wyjaśnia.

Najgorsze, że choć to zdanie wydaje się blefem, dzięki któremu można ominąć śliski temat, wyraz jego twarzy świadczy o tym, że zamierza kontynuować... Pierwsze ostrzeżenie, że nie można mu za bardzo ufać.

– Tak, wiem, ale chciałbym pozbierać informacje od jednych i drugich, obojętnie czy tam byli, czy nie... Rozmawiałem z Luciem Etxe, który poszedł sprowadzić pomoc; z Eladiem Altube i jego żoną Bidane. Ich zeznania oraz zeznania innych bardzo mi się przydadzą, żeby odnaleźć mordercę... Nie sądzisz, że tak będzie lepiej dla Getxo? – Jego spojrzenie wydaje się to potwierdzać. – Rozumiem, że nie jest ci na rękę o tym mówić. Sam jesteś jednym z tych, który miał najwięcej powodów...

– Tak, to były diabły wcielone – ucina.

– Nikogo nie oskarżam. Pełnię rolę muszki upierdliwki.

– W porządku.

– W porządku?

– Tak, najwyższy czas. – Félix Apraiz ma sympatyczny uśmiech. – Nawet żona się do mnie nie odzywała. Milczała. Tak samo jak inni w wiosce: zamykali usta, kiedy tylko się zbliżałem. Jak mieliby nie rozmawiać o tym okropieństwie? Mówili za moimi plecami. Od dziesięciu lat jesteś pierwszy.

Wyobrażam sobie, z jakim trudem musiał znosić milczenie wioski, która go podejrzewała.

– Musiało ci być ciężko...

Marszczy czoło i macha ręką.

– Nie! Usta wszystkich zamykały się tylko w sprawie tego biednego chłopaka. Cała reszta, jak zawsze. Wydaje mi się, że nawet żona mówiła do mnie więcej niż zwykle – o wszystkim, tylko nie o tamtej nocy. Tak jakby ktoś wymazał tę datę z kalendarza, który wisiał u nas w kuchni. Jeśli tylko o tym napomknąłem, biegła do drugiego pokoju. A jeśli wspomniałem o tym w La Venta, wszyscy pochylali głowy i zaczęli rozmawiać o czymś innym. Cała reszta, jak zawsze: o piłce nożnej, o rybach, o zbiorach, o polityce. Ja z nimi, a oni ze mną. Ale wystarczyło wymówić imię Leonarda i wszyscy nabierali wody w usta!

Podnosi patyk i zaczyna nim rozgrzebywać ziemię.

– A ty co o tym myślisz? – zwraca się do mnie.

– Nikogo nie obwiniam, szukam tylko dowodów. Jeżeli znalazłbym mordercę, postawiłbym końcową kropkę w swojej powieści.

– Jakiej powieści?

Patrzy na mnie jakoś inaczej, to pierwszy zgrzyt w naszej rozmowie. Dlaczego odnoszę wrażenie, że jest jedyną osobą, która mogłaby mnie zrozumieć albo przynajmniej zaakceptować moją nową rolę?

– Przestałem nazywać się Sancho Bordaberri, teraz jestem Samuel Esparta... przynajmniej na jakiś czas. Nowe imię, bo i nowa praca. Opisuję swoje kroki i opisuję was wszystkich, powieścią jestem ja i jesteście nią wy... Nawet jeśli nie potrafisz pojąć tego wszystkiego, wiedz, że nie mam złych chęci.

– Mów dalej. Podoba mi się, że ktoś wreszcie opowie o tym barbarzyństwie... obojętne czy to powieść, czy nie.

– To książka, którą teraz piszę, i pewnego dnia ludzie opowiedzą o tej historii w La Venta. To byłby dobry znak. A jeśli nie uda mi się odkryć, kim jest ten zwyrodnialec, który nadal się tu pałęta, nie będzie końca historii i nie będzie powieści. Dlatego rozmawiam z wami wszystkimi.

Drapie się po głowie, wkładając dłoń pod beret.

– Nikt ci nie powie: „to byłem ja”. Jesteś naiwny jak dziecko.

– Na to nie liczę. Samuel Esparta bez wytchnienia będzie szukał poszlak, poszlak, które zaprowadzą go do...

– A co ty będziesz z tego wszystkiego miał?

Jestem pewny, że Félix Apraiz nie zdaje sobie nawet sprawy, jak głęboko sięga jego pytanie, dlatego moja odpowiedź jest możliwie najbardziej trywialna i nie mam wątpliwości, że na nią właśnie czeka:

– Jesteśmy coś winni Getxo, nie sądzisz? Morderca oddycha tym samym, co my powietrzem. Ktoś w przyszłości przeczyta długą listę nazwisk podejrzanych, w tym i moje. Im więcej lat upłynie, tym trudniej będzie poznać prawdę, nazwisko tego, kto zabił, uciekając się do najgorszych tortur.

Twarz Felixa Apraiza rozjaśnia się na chwilę na dźwięk moich słów, po czym przygasa.

– Tak, rzeczywiście, te łańcuchy okręcone wokół ich szyi i podnoszący się przypływ, topiący tego, który był niżej, a ten drugi, który nie mógł nic zrobić, ale wiedział, że czeka go ten sam los... Wierz mi, wcale nie mam pretensji, że przychodzisz do mnie z tym wszystkim. Z tobą mogę na to patrzeć bez strachu. Ale nie oczekuj, że powiem ci: „to byłem ja”. Nikt ci tego nie powie. A już na pewno nie morderca. Tak więc wszyscy jedziemy na tym samym wozie.

– Pierwszy poruszasz temat, czy to byłem ja, czy to nie byłem ja.

– Dziwnie mi mówić o tamtych czasach, w których rzadko ktoś ginął z ręki drugiego – mówi posępnie. – Zaraz potem przyszła wojna ze swoimi ofiarami i wszyscy zapomnieliśmy o Altube. Bo to był tylko jeden nieboszczyk! Teraz przychodzisz ty, żeby poruszyć całą sprawę, dlatego że, i to prawda, ktoś kiedyś musiał się tego podjąć. My nie jesteśmy tacy jak oni, rozpamiętujemy śmierć naszych bliskich. Gdybyś wiedział, co ja widziałem przez te sześć lat, kiedy mnie tu nie było! Ludzie padali na ziemię z głodu i zostawiano ich na pewną śmierć. Tysiące i tysiące. Nie było potrzeby, żeby ich rozstrzeliwać, tak jak w więzieniach... Dobra robota, Samuelu Esparto, dobrze, że przypomniałeś nam o tym, o czym powinniśmy pamiętać, zwróciłeś Getxo tego jednego nieboszczyka.

Daje mi, sam z siebie, możliwość włączenia się do rozmowy, za którą jestem mu szczerze wdzięczny. Czuję się tak, jakby to samo Getxo przyszło do mojego biura i zleciło mi rozwiązanie tej sprawy. Mój pierwszy klient!

Z zainteresowaniem przyglądam się Felixowi Apraizowi, myślę, że Hammett i Chandler zostali kiedyś wynajęci przez kogoś, kto okazał się mordercą.

– Pamiętasz, jak dowiedziałeś się o całej sprawie?

– Od żony, kiedy wróciła z punktu skupu mleka. Siedziałem pod winoroślą, a ona przychodzi i mówi: „Zamordowali na plaży jednego z bliźniaków Altube, albo nawet i dwóch”. Zapytałem, dlaczego mówi tak cicho, a ona: „Dlatego, że zamordowali ich przy twoim haku na skale”. Mogła to być jedenasta rano. W tym momencie nie brakowało mi ochoty, bym zaczął walić się po głowie, że nie wyrwałem tego cholernego żelastwa, które przyniosło mi tyle nieprzyjemności, zwłaszcza z tymi łotrami.

Zawiesza głos. Chwilę później patrzy na mnie, jakby próbując się usprawiedliwić, a ja wykorzystuję okazję, żeby zapytać:

– Kogo podejrzewałeś? Przyszło ci do głowy jakieś nazwisko?

– Kogo podejrzewałem? Wszystkich i nikogo. Byli nicponiami, wielu chciałoby się ich pozbyć.

– Tak, ale zawsze w takich przypadkach jest jakieś nazwisko, które wydaje się bardziej prawdopodobne.

Kręci głową.

– Nie, dawali się we znaki wszystkim. Każdemu mogło obmierznąć to i owo i stracił cierpliwość.

To, co zaczyna się od iskry, w parę sekund nabiera wielkiego blasku.

– Słyszałem, że tamtej nocy nie mogłeś zasnąć i wyszedłeś z domu, pamiętasz?

Reaguje na dwa sposoby: najpierw chrząka, a potem zaczyna się bezgłośnie śmiać.

– Jak miałbym zaprzeczyć, jeśli tak było?

Jak mam to rozumieć? Dlaczego przyznaje się bez ogródek do zdarzenia, które go obciąża? Nie boi się zostać uznany za winnego, dlatego że nim nie jest? Czy dlatego, że liczy, iż jego fałszywa niewinność odwróci od niego podejrzenia? Z drugiej strony, czy to nie dziwne, że coś tak banalnego jak bezsenna noc została przez nich oboje tak świetnie zapamiętana, mimo upływu dziesięciu lat? Chociaż najdziwniejsza pozostaje naturalność, z jaką ona napomknęła o tym zdarzeniu, a on je potwierdził. A jednak ich zgodność nie świadczy o tym, że kierują się takimi samymi intencjami: ten detal został przez nią wspomniany albo dlatego, że tak się sprawy miały, albo żeby skierować podejrzenia na męża (jej motywy działania nie są istotne dla sprawy), a jeśli tak jest, to dlaczego dopiero teraz? Jeśli chodzi o niego, stałby się smutną zabawką w rękach losu.

– Miałeś okazję, żeby zabić bliźniaka – rzucam mu.

– Tak może się wydawać. – Wzrusza ramionami.

– Czy była o tym mowa w śledztwie?

– Nie zapytali mnie o to.

– Cóż to było za gówniane śledztwo, jeśli nie przesłuchano należycie głównego podejrzanego.

– Nie do wiary, że ci bliźniacy w dalszym ciągu mnie prześladują, mimo śmierci i strachu.

– Tego, który przeżył, usiłowali się pozbyć jeszcze dwa razy. Wiedziałeś o tym?

– Sam ci to opowiedział? Nie wierz mu. Żadnemu z nich nie można było ufać, nawet że dwa i dwa to cztery.

– Nie przywiązałbyś ich do własnego haka, zabiłbyś ich w inny sposób, bo nie jesteś głupi. A ktoś, kto też nie jest głupi, przywiązał ich w tamtym miejscu, żeby obrzucić cię gównem... Nie pytała cię nigdy żona, co robiłeś tamtej nocy?

– Nie.

– Kiepska sprawa. Nie chcę uchodzić za jasnowidza, ale przypuszczam, że jeśli cię nie zapytała, to z obawy, że odpowiesz jej, że...

– ...to ja ich umieściłem w tym potrzasku.

– Byłoby lepiej, gdyby cię spytała.

– Nie pierwszy raz wychodziłem w nocy się przewietrzyć, żeby potem spróbować zasnąć, i nigdy mnie nie zapytała ani gdzie byłem, ani co robiłem. A w nocy nie można przecież dużo robić.

– Właśnie, ale ona wiedziała, że tamtej nocy, i owszem, można było coś zrobić. I ponieważ zdawała sobie z tego sprawę, bała się zapytać. Dlatego tego nie zrobiła.

Félix Apraiz milczy prawie przez minutę, wydaje mi się, że rozważa to, co zostało powiedziane. Potem czeka, żebym stanowczo zaprzeczył.

– Więc myślisz... że ona... ma mnie... za rzeźnika?

– Nie przejmuj się. Pewnie tylko wątpi i woli nie wiedzieć. Dlatego nigdy nie zadała ci pytania.

Wstaje raptownie i wydaje się dużo wyższy niż na początku.

– Słuchaj, Sancho Bordaberri, Samuelu Esparto albo jakkolwiek, do diabła, się nazywasz. Cały ten jazgot, którym chcesz mnie sprowokować, może i nadaje się do twojej powieści, ale ja nazywam się Félix Apraiz, a moja żona nazywa się Elixane Garro, pochodzimy z Getxo i od dziesięciu lat nie patrzymy na siebie wilkiem. Powiem ci, mądralo od siedmiu boleści, dlaczego Elixane się mnie nie zapytała: dlatego, że jest wierną i oddaną Baskijką i szanuje swojego męża, który czuje się winny, że wbił i tak dobrze w cementował w skałę ten przeklęty hak, bez którego nikt by nie zginął. Dlatego Elixane Garro Bengoa od dziesięciu lat nie przypomina mi o tamtej nocy!



## Mężczyzna od kroków

Tak, zdecydowanie tej szybie w drzwiach czegoś brakuje. Mówiłem jej już o tym? Sama Koldobike otwiera drzwi od środka, żeby wypuścić staruszkę, która żegna się z bojaźliwym *agur*.

- Kupiła jeden z podręczników *Dobrze wychowany chłopiec* dla swojego wnuczka.
- Witaj, lalczko.

Mówię ze swobodą, z jaką wyjmuje się wielorybią kość z gardła.

- Witaj, szefie.

Jest wspaniała. W jej oczach nie ma śladu zdziwienia ani nie patrzy na mnie porozumiewawczo. Księgarnia wygląda już niemal zupełnie normalnie, książki znowu stoją na półkach, a podręczniki w stosach leżą na podłodze niedaleko wejścia. Koldobike wykonała od wczoraj mnóstwo pracy, co było jeszcze większym osiągnięciem ze względu na dodatkową trudność w postaci tej obcisłej spódnicy, w której poruszała się niczym gąsienica starająca się wyswobodzić z kokonu. Mogła się ograniczyć do odstawiania książek na półki, gdzie popadnie, ale widzę, że wszystkie zostały poukładane tematami i autorami, jak wcześniej przed wizytą tych... Och, a tutaj pomyłka, w dziale specjalnym dziura. Zatapiam w niej palce.

– Nie minęło nawet dziesięć minut, od kiedy wyjęłam stamtąd dwa egzemplarze. O mały włos zderzyłbyś się z klientem w drzwiach – słyszę za plecami Koldobike. – Hammett i Cain.

Czuję ukłucie w żołądku.

– Nie sprzedaliśmy ani jednego tytułu z działu już od ośmiu miesięcy – komentuję – a teraz, chwilę po tym, jak wystąpiłem w nowej roli detektywa... Kto to był?

– „Nie ma go?”, zapytał mnie. Dowiedział się, że księgarz z Algorty kręci się tu i tam i zadaje dziwne pytania. Tak właśnie powiedział: „dziwne pytania”. I dodał jeszcze, że sam pracuje nad planem Getxo, planem, jakiego jeszcze nikt nigdy nie widział, planem kroków. Wszystkie odległości policzone w krokach. Teraz trafiła mu się plaża, chodzi nią wzdłuż i wszerz, odnotowując liczbę przebytych kroków.

– Ale po co?

– Całkiem wytworny gość, około pięćdziesiątki, z rodziny Larrea z Neguri, jak sam mi powiedział, zawsze kupował książki w Bilbao, głównie z geografii, topografii, geodezji, orografii, tylko i wyłącznie dotyczące Kraju Basków. Opowiedział mi, że ktoś z jego rodziny pisze o ermitażach, nagrobnych pomnikach i im podobnych, a jego interesuje właśnie policzenie naszej ziemi krokami. Powiedział, że kroki są wielkim ludzkim wehikułem, którym ludzie poruszają się od zawsze. On sam zlicza przebyte kroki między jednym miasteczkiem a drugim, od jednego wzgórza do drugiego, od jednego źródła do drugiego, od jednego gospodarstwa do drugiego... Teraz zajmuje się plażą, liczy kroki z Kobo do Peña del Palo i okolic. A ponieważ wiedział, że morderstwo przywiodło cię na plażę i że postawiłeś tam swoje kroki...

– Aż dziw bierze, że rodzina nie zdecydowała się zamknąć tego szaleńca w domu bez klamek.

– To nasz nowy klient, odtąd będzie kupował tylko w Beltzy, już nie w Bilbao.

– A co mają do tego Hammett i Cain?

– Nie wiem, plaża, morderstwo, twoje śledztwo, twoje kroki prowadzące cię z jednego miejsca do drugiego... Może poprosi cię, żebyś je policzył, albo zechce się od ciebie nauczyć, jak rozwiązać wielką tajemnicę. A może wie więcej, niż przypuszczamy?... Nazywa się Luis Federico i nosi okulary. Zostawił swoją wizytówkę.

Siadam przy biurku w moim biurze oddzielnym parawanem, znowu panuje tu porządek. Podnoszę głowę. Gładzę papiery i teczki bez wyraźnego celu, niczego nie szukam. Luzuję krawat, nie tylko dlatego, że oni zwykli robić to samo w swoich opowiadaniach. Staram się uporządkować całe mnóstwo faktów zebranych od początku tej historii i zastanawiam się, czy dzięki nim uda mi się wpaść na jakiś trop, obojętnie na ile niepewny by się okazał. Co tak naprawdę udało się odkryć Samuelowi Esparcie? Nic, o czym dotychczas by nie wiedziano. Ale czy przypadkiem to już nie jest coś, słuchanie dzisiaj ludzi, którzy przed dziesięciu laty zostali wezwani na przesłuchanie? Informacje, które zdobyłem dzięki nim, nie zaprzeczają niczemu, o czym mówiło się wówczas w miasteczku. Moja przewaga polega jedynie na tym, że mam tych ludzi przed sobą, rozmawiają ze mną, widzę, jak się zachowują, zapamiętuję ich gesty, ich spojrzenia, i wsłuchuję się w wersje zdarzeń, które zdążyły przez ten czas dojrzeć i teraz odznaczają się jasnością, a dzięki temu mogę łatwiej poznać detale, które usłyszy ich uwagi wcześniej. Napawa mnie radością, że z Lucia Etxe, Eladia Altube i Felixa Apraiza wydobyłem więcej, niż udało się organom władzy, które ich przesłuchiwały. Nie wspominając o kobietach, Bidane Zumalabe i Elixane Garro. Wątpię, że ktokolwiek się do nich zwrócił. Dzięki nim mogłem uzupełnić tę ludzką układankę.

Koldobike wygląda zza jednego końca parawanu i widząc, że mam założone ręce, przysuwa się, żeby zobaczyć mnie całego.

– Byli też nauczyciele, żeby zamówić książki do szkoły. Tym razem wydaje się, że ich związek jest na poważnie. Ileż to razy, od kiedy zaczęli się ze sobą spotykać, rozstawali się albo połowicznie ze sobą zrywali, ufl, ze dwadzieścia lat? Ten cały don Manuel to człowiek nie na moje nerwy. Jeśli jest z tych, którzy nie zamierzają się żenić, to po co przez te wszystkie lata zaleca się do panienki Mercedes?... A żebyś widział, jak wpatrywał się w moją spódnicę!

– Nie zaprzataj sobie nimi głowy. Już oni wiedzą, co robią.

– Wieczni narzeczeni! Szlag człowieka może trafić. Chociaż, kiedy tak ich widzę razem... naturalnie zawsze na ulicy, przy świadkach, dla nich nie istnieje plaża nocą, na którą chodzą pary zakochanych... kiedy tak ich widzę razem, takich poważnych, jak zwracają się do siebie z szacunkiem, prawie im zazdroszczę.

– Dwadzieścia lat i nie rzucają jeszcze w siebie talerzami. Musi tak być tylko dlatego, że nie jedzą razem posiłków ani u niej w domu, ani u niego.

Koldobike łamie się głos, kiedy mówi głucho:

– A ty obrałeś tę samą drogę.

Nie wiem, co chce przez to powiedzieć. To musi być wina tej spódnicy i pofarbowanych włosów.

– Nie lubię zobowiązań.

Słychać ciche westchnienie, które nie pasuje do tej sceny, tak jakby dziewczynie brakowało ikry, żeby stanąć na wysokości swojej nowej roli.

– Nic się nie stało, wszystko będzie dobrze – staram się ją pocieszyć.

– Dobrze? Grozili ci, a zazwyczaj tego nie robią. Sprzątają po prostu tych, którzy staną im na drodze. Widocznie mają wobec ciebie jakieś specjalne plany.

– A może mają coś na sumieniu i boją się mojego śledztwa. Jeden z tych niebieskich jest z Getxo, tu się wychował, z Las Arenas. Nazywa się Luciano Aguirre, powiedział mi o tym Eladio Altube. To jedyne odkrycie, które samo do mnie przyszło, reszty musiałem szukać na własną rękę. Może mojemu kryminalowi brakowało odrobiny przemocy.

Rozlega się dzwonek przy drzwiach wejściowych i Koldobike znika, mówiąc:

„Przypominam ci, że Samuel Esparta jest teraz z krwi i kości, a nie z papieru”. Zamyka za sobą drzwi.

Wszystkie biura prywatnych detektywów mają drzwi i moje też powinno je mieć. Słyszę, jak Koldobike rozmawia z jakimś mężczyzną, potem cisza i natychmiast utarta wymiana słów na pożegnanie, i znowu dzwonek. Jeżeli nie mogę się skoncentrować nad swoimi następnymi krokami, to dlatego, że napełniają mnie wątpliwościami te, które już zrobiłem.

– Szukał książki o ślimakach. – Znowu mam naprzeciwko siebie Koldobike, która stoi w drzwiach. – Jednej, konkretnej, miał zapisany tytuł. *Slimaki i ich pozyskiwanie* Federica Doreste, wydana przez Espasę-Calpe. Trzeba będzie ją zamówić. Jeśli Franco pokarze nas jedzeniem ślimaków, obślizgłe paskudztwa! umrę z głodu.

Stoi tu przede mną, w pustce, zamiast w drzwiach do mojego biura, których ten idiotyczny parawan nie jest w stanie udawać. Wszystko jest fałszywe!

Jestem w dołku.

– Co ci dolega? – dociera do mnie głos Koldobike.

– Nie trzeba było zmieniać natury rzeczy! To był błąd! Kto, do kurwy nędzy, kazał mi zajmować się sprawą bliźniaków?! Te czasy już minęły. Ale pisarzynie przychodzi właśnie do głowy posłużyć się realizmem, który ma dookoła, żeby ukryć własną niemoc. Nie wspominając o chwalebnych zasadach powieści kryminalnej, dla których nie ma tutaj miejsca. Chciałem dotknąć rzeczywistości, a otacza mnie świat fikcji.

– A może stworzysz inny typ powieści i niebieskie koszule są ci do niczego niepotrzebne – mówi Koldobike z szeroko otwartymi oczyma, jakby przestraszona własną przenikliwością.

– Podejrzewam, że nic z tego, co opisuję, nie przypomina w niczym historii Hammetta bądź Chandlera. Już bardziej jestem tworem Agathy Christie albo S.S. Van Dine’a i ich bohaterów, Herculesa Poirot i Phila Vance’a, którzy są detektywami z zamiłowania do tropienia podejrzanych, żeby móc ich przesłuchać w czystej atmosferze, bardzo cywilizowanej, pełnej konwenansów, nieszkodliwej, prawie głupiej. A przede wszystkim tracąc swoje szare komórki na morderstwa popełnione w przeddzień... Stałem się intruzem w martwej przeszłości!

Podnoszę się z miejsca, rozglądam dookoła i czuję na sobie niedowierzające spojrzenie Koldobike.

– Mocno cię wzięło – wzdycha. – Jak tak dalej pójdzie, zostaniesz bez powieści.

Odsuwa się, żeby zejść mi z drogi, a ja podchodzę szybko do drzwi, stawiając kroki, których nie kontroluję.

– A co powiesz tym, którzy wierzyli, że Getxo uda się odzyskać dobre imię? – słyszę za plecami. – Mam na myśli przede wszystkim rodziców Leonarda, Roque’a Altube i Madię nazywaną też Magdą, którzy stracili już nadzieję, że kiedykolwiek dowiedzą się, kto zabrał im syna... A właśnie, to są nazwiska, o których nie powinienes zapomnieć, musisz ich odwiedzić.

Na tym polega mój błąd – szukam podejrzanych między Bogu ducha winnymi sąsiadami, którzy żyją sobie spokojnie, nie wadząc nikomu, i życzyliby sobie nie oglądać nigdy twarzy żadnego prywatnego detektywa.

– Dzisiaj zjem w domu – rzucam oschle Koldobike, wychodząc na ulicę przy rozlegających się dźwiękach dzwonka.

## Pewien falangista poeta

Zdejmuję garnitur i kapelusz, z którymi nie rozstawałem się ostatnimi dniami, i wkładam codzienne sztruksowe spodnie, grubą koszulę i sweter. Czuję się wolny od prześladowającego mnie koszmaru, wraca mi humor i w czasie posiłku nie przestaję mówić. Wpychając do ust ostatnią łyżkę czerwonej fasoli, mimo że ubogiej w „sakramenta”, komentuję żarliwie, że była znakomita, i dolatuje do mnie wówczas pomruk matki: „To była sprawa ubrania”.

Zamiast zamknąć się w pokoju i utyskiwać na swoje ostatnie szaleństwo, kontempluję wzruszony, jak z nabożeństwem zmywa mały garnek, dwa talerze i dwie łyżki, a później siada naprzeciwko mnie przy stole – dziś moja siostra je w pracy – i opowiada mi ostatnie plotki z miasteczka. Staram się słuchać, dopóki nie zasypia w pozycji siedzącej, ucinając sobie drzemkę, do której nigdy się nie przyznaje. Nie mogę oderwać oczu od tej kruchej osóbkki i czuję, że jestem jej coś winien, ale te delikatne słowa, które wychodzą z moich ust, są skierowane nie tylko do niej: „*Ama*, garnitur nie ma ani jednej plamki, nie będę go więcej wyciągał z szafy dla kaprysu”.

Trwa to trochę, zanim pogodzę się z faktem, że ta scena nie ujmuje w niczym rzeczywistości porzuconej narracji.

Od dawna już nasza księgarnia nie otworzyła się punktualnie o wpół do piątej. Gratuluję samemu sobie, że nie zabazgrałem pochopnie szklanej części drzwi, wypisując idiotyczny napis: „Prywatny detektyw”. Dzwonek brzęczący mi nad głową znowu wydaje się przyjazny. Nie denerwują mnie też zanadto stosy podręczników pnące się od podłogi. Koldobike zaprowadziła na nowo porządek, zarówno dostawiając egzemplarze na półkach, jak i uszanowawszy wcześniejszy porządek... Tak, ogólnie rzecz biorąc, bo tutaj widzę Zane Greya, który stoi w dziale poświęconym geografii. Dlaczego nie miałby sobie tu stać mężczyzna zakochany w bezkresnych krainach Dzikiego Zachodu, które tak skrupulatnie opisał? Czy istnieją teksty popelnione przez geografów, które oddychają pełną piersią, tak samo jak te jego? Zauważam jeszcze parę drobnych omyłek. Czy powinienem zrzucić je na karb spódnicy boa dusiciela? Żadnej pomyłki w tyranii powieści kryminalnej. Na razie uważam jedynie, że powinienem gruntownie zastanowić się nad niebezpieczną relacją między mną a jej światem, nie rzucać kłód pod nogi księgarni, która już i tak ledwie zipie.

Składam parawan, stawiam go w rogu i tym sposobem odzyskuję mój kantorek, w którym powrócę do odłożonych na później projektów: kącik papierniczy – odwieczne marzenie wielkiej realistki Koldobike, wręczanie za każdy zakup losu na comiesięczną loterię grubej książki w miękkiej oprawie, dział z komiksami, przygotowywanie plakatów informujących o naszych nowościach... Opanowuje mnie znów pożyteczny duch przedsiębiorcy, z jakim pięć lat temu otworzyłem księgarnię.

O czwartej czterdzieści dwie pojawia się Koldobike. Banicja parawanu i mój strój donoszą jej, że nastały nowe czasy.

- Wszystko się skończyło, prawda?
- Na czas odkryłem oszustwo.
- Ale przecież byłeś zadowolony z tego, co już napisałeś.
- Nie była to ta powieść, której pragnę.
- A jakie to ma znaczenie? Do kata! Jestem pewna, że byłaby dobrą powieścią, unosiłeś się na fali natchnienia... A właśnie, miałeś coś naprawdę zapisane?

- Niestety, było całkiem niezłe.
- Ale miałeś to zapisane?
- Tak.
- Kiedy udawało ci się pisać? Nigdy nie widziałam żadnych kartek.
- Tym razem było zupełnie inaczej. Rzeczywistość i pisanie złąły się w jedno.

Oczywiście, że ją zapisywałem!

Walczy ze sobą, żeby nie zadać mi kolejnego pytania, ale w końcu bierze górę jej ciekawość i pyta:

- Spalisz to, co już napisałeś? Ja bym tego nie robiła, może jeszcze zmienisz zdanie.

Nawet na pewno zmienisz.

Ta przeżyta ulotna rzeczywistość została wryta w moim umyśle. Ona tego nie zrozumie.

Wybiło pół do ósmej i popołudnie dla Koldobike dobiegło końca. Każdy z nas zajął swoje terytorium, ona przeglądała jeszcze raz to, co już zostało uporządkowane – widziałem, jak przestawia z miejsca na miejsce parę tytułów – i obsługiwała klientów – z tuzin, którzy weszli, z czego połowa wyszła z pustymi rękami. A ja siedziałem przy biurku i obmyślałem na papierze nowe programy; mam na utrzymaniu małą rodzinę i do zapłacenia czynsz za mieszkanie. Kobieta tak praktyczna, jak Koldobike, musi to zrozumieć... Nagle dociera do mnie jej krzyk zmieszany z dźwiękiem dzwonka. Wstaję i widzę trzech mężczyzn, jeden z nich wyprowadza ją na ulicę, popychając, a dwaj kierują się w moją stronę.

- Dałem już sobie spokój, zostawcie ją! Przysięgam, że dałem już sobie spokój!

Upadam na podłogę po tym, jak kątem oka dojrzałem pięść kierującą się w stronę mojej twarzy.

- Ostrzegaliśmy cię, durniu. Nie mów, żeśmy cię nie ostrzegali.

Na moje ciało spada grad kopniaków. Dwa buty z wielką zwinnością, buty należące nie do jednej osoby, ale do dwóch, buty z prawej nogi, zatapiają się w moim ciele.

– Uparty jesteś, sam nas do tego zmuszasz. Czy nie wiesz, że to my teraz wymierzamy sprawiedliwość?

To głos Luciana Aguirre. Nie słyszę Koldobike. Co mogli jej zrobić? W cieniu rzucanym przez czarne sylwetki, które krążą wokół mnie, szukając w moim ciele jeszcze nienaruszonych miejsc, przypominam sobie trzaśnięcie drzwi, które zostawiło Koldobike na ulicy. Ci ludzie wiedzą, że w dzisiejszych czasach nie ma co liczyć, że ktoś przyjdzie z pomocą drugiej osobie.

Cztery ręce stawiają mnie na nogi, a atak kolana perforuje mi żołądek. Muszą mnie podtrzymywać, żebym nie upadł.

– Do łba ci wreszcie dotarło, czego nie powinieneś robić, ty przeklęty Basku? – Teraz mam przystawioną do nosa lufę pistoletu, która wydaje mi się wilgotna. – Czy chcesz posmakować tego?

Czyżby uderzenia pomieszały mi w głowie, czy widziałem już kiedyś bądź czytałem bardzo podobną scenę?

- Wystarczy ci? – To głos tego drugiego.

– Odpowiedz mojemu towarzyszowi. Ani ja, ani on nie lubimy robić takich rzeczy, ale czasami nie ma innego wyjścia, trzeba zaprowadzić porządek... Co ty na to?

Kiedy ogłuszenie ustępuje i powoli zaczynam odzyskiwać przytomność, zdumiewa mnie brak bólu. Czekają na moją odpowiedź z opuszczonymi ramionami.

- Doszliśmy do porozumienia, nie? – nalega Luciano Aguirre.

Co za nonsens, że ochrzczone go jednym z naszych nazwisk, tak miłych dla ucha!

- Zastanawiam się.

Poznaję własny głos, to ja wypowiadam te dwa słowa... pod nieobecność Koldobike,

która na pewno by się z nimi nie zgodziła. Skończyły się razy, przypuszczam, że zmęczyły im się ramiona. Ale palec, który naciska na spust, odżywia się puszkami szpinaku Popeye'a.

Lodowaty kawałek metalu penetruje powoli moją skroń. Głos Luciana Aguirre jest równie metaliczny – jakby nie należał do niego, jakby został zaczerpnięty ze stron z Hammetta.

– Tylko jedno: „Rzucam to” i ocalisz skórę. Mów, księgarzu!

– Kończy nam się cierpliwość.

– Wiesz, że masz więcej szczęścia niż rozumu? W takich sytuacjach jak ta, gównu nas obchodzi, co może powiedzieć jakiś czerwony: jeden strzał i do rowu. Ale dzisiaj mamy dobry dzień. – Bawią się ze mną, wydaje im się, że wiedzą, co odpowiem. – Upadniesz jak worek i nie zostaniesz nawet bohaterem, ot, tylko jedna kaczką więcej. Wyjdziemy na ulicę i nikt nas nie zatrzyma, choćby słyszeli wystrzał. Teraz wszystkie egzekucje muszą nosić podpis Franco, ale zawsze zdarzają się jakieś luki. Zrób nam tę przyjemność.

– Pozwól mi go załatwić, ostatnio tracę formę.

– A ja jeszcze nigdy nie zabiłem księgarza, chciałbym spróbować – zapewnia ten, który stoi w drzwiach i nie pozwala wejść Koldobike.

Jakie rozwiązanie zaproponowałiby Hammett albo Chandler w tej sytuacji? Możliwe, że wpadliby na pomysł, żeby wyeliminować raz na zawsze tego prywatnego detektywa, przez wzgląd na czystość narracji.

Ten spod drzwi zamyka je na haczyk i podchodzi do nas. W jego oczach maluje się chęć skończenia raz na zawsze z kaczką. Luciano – już nie Aguirre – wręcza mu pistolet, a lufa na nowo opiera się o moje czoło.

– Nie, nigdy nie rozwalilem księgarza – mówi, jakby przyznawał się do porażki.

Luciano przysuwa swoją twarz do mojej na odległość dłoni.

– Wy, Baskowie, umiecie się modlić. Pomódl się.

– Myślę, że oni tak by to napisali – szepczę. – „Łatwiej przyszłoby mi żyć, będąc martwym, niż zapomnieć o opowieści dla ludzi o silnych nerwach, którą zamierzam pisać”.

Luciano milczy przez chwilę, zanim zadaje trzy pytania:

– Pisać? Kto pisze? Ty?

– Powieść kryminalną. Teraz, dzięki wam, dużo bardziej autentyczną.

Luciano kieruje w bok pistolet jednym uderzeniem, w momencie kiedy ten drugi naciska na spust i w powietrzu unosi się jedynie huk eksplozji i rzucone z wściekłością:

– Ten cholernik nazwał nas kryminalistami!

– Powtórz! – rozkazuje zbity z tropu Luciano, przypatrując mi się nagle z zainteresowaniem. – Powieść. I na dodatek kryminalna, co? Wiem, czym jest powieść kryminalna. To gatunek nie tak ważny dla hiszpańskiej literatury jak poezja. Nie mamy zbyt wielu poetów pisarzy. Nieliczni się ośmielają, ale byłoby lepiej, gdyby tego nie robili.

W Falandze mamy wyśmienitych poetów, którzy opiewają zwycięstwa Hiszpanii. Ja sam jestem jednym z nich. Dlaczego obdarzeni talentem i potrafiący realizować się we wzniosłym gatunku wydają się utykać, kiedy zajmują się prostym, tuzinkowym opowiadaniem, dużo gorszego sortu? ... Jestem przekonany, że nie jesteś poetą, na pewno nigdy nie odczuwałeś świata jak poeta.

– Nie – przyznaję.

– Zamknięty w Hiszpanii i otwarty na anglosaskich Żydów.

Nie za bardzo chce mi się wierzyć w ten dziwny zwrot akcji. Ale kiedy Luciano wrywa pistolet swojemu towarzyszkowi i chowa mu go do kabury, zaczynam wierzyć, że powojnie straciło właśnie jednego nieboszczyka. Luciano idzie do łazienki po ręcznik i wkłada go w moje ręce.

– Wytrzymaj sobie twarz.

Robię tak, jak mówi, a widząc ilości krwi, którą ścieram, zaczynam używać go jak gąbki i odkładam na bok cały przesiąknięty. Chciałbym iść do łazienki, ale nogi mam jak z waty. Luciano pomaga mi, ciska ręcznik na podłogę łazienki i przynosi drugi spod lustra. Cała moja twarz musi być jedną wielką zaczerwienioną mapą.

– A więc pisarz. Powieściopisarz. Poeta, taki jak ja, znacznie lepiej rozumie prozę niż powieściopisarz poezję. Chciałbym, żeby to było jasne. – Prowadzi mnie niczym sztywnego manekina do krzesła przy biurku. Udaje mu się zgiąć mnie wpół i posadzić. – Między falangistami jest wielu poetów... doktryna Falangi to czysta poezja... jest nas więcej niż w innych siłach zbrojnych. Jesteśmy piórem i mieczem. Powiesz mi pewnie teraz, że wśród marksistów też są poeci, ale nasza walka jest walką duchową, która stoi na drugim miejscu, tuż za sprawiedliwością społeczną. Mówią nasi wrogowie, że staramy się tak coś zmienić, żeby nic nie zostało zmienione. Właśnie tak nas atakują ci, którzy nie znają się na poezji. I o tym wszystkim mówi ci teraz falangista-poeta, któremu zawdzięczają słowa więcej niż jednej z naszych patriotycznych pieśni narodowych, nieodzownych tak samo, jak i nasze działa; falangista, który wygrał wojnę, a teraz walczy o pokój. Ale, wyznam ci... że ten sam falangista grzęźnie w powieściach! A ty, prosty księgarz, który przegrał wojnę i nie wie nic o Hiszpanii ani o jej zjednoczeniu, w myśl tego, co uniwersalne... piszesz powieść wbrew wszelkiej logice! Czy to możliwe, żeby w literaturze istniały dwa światy? I ty należysz do jednego, a ja do drugiego? Czym się różnimy, ja i ty? Czy polityka ma z tym coś wspólnego? Wy, źli, jesteście powieściopisarzami, my, dobrzy, poetami?

Nachyla się i odsuwa ręcznik, żeby przyjrzeć się mojej twarzy. Wydaje mi się, że jego dwaj towarzysze stoją po obu moich stronach.

– Niech wejdzie pielęgniarka – mówi Luciano.

– Ale...

– Przyprawiajcie ją, do cholery! Życzę sobie, żeby ten czerwony separatysta wyznał mi, jak to robi.

– Niech nie przychodzi. Nie chcę, żeby mnie zobaczyła w takim stanie – proszę.

– Nie możesz mi tu teraz umrzeć – mówi Luciano.

Słyszę, jak otwierają się drzwi, i natychmiast czułe dłonie odsuwają na bok ręcznik, który staram się przytrzymać.

– Dobry Boże, co za bestie! – prawie krzyczy Koldobike. I ciągnie dalej szeptem, który sprawia, że kocham ją jeszcze bardziej: – Zwyródniałcy, zwyródniałcy, zwyródniałcy...

Puszcza moje ręce, a ja tracę jej ciepło, słyszę kran w łazience i wraca z metalowym pudełkiem, które służy za apteczkę, i z małą miednicą z wodą. Zmoczony wacik delikatnie gładzi moją twarz, a drugi, suchy, kończy jego pracę. Następnie skleja pęknięcia kawałeczkami gazy za pomocą plastra.

– Ta szrama to moja robota – wskazuje palcem jeden z falangistów.

Koldobike odtrąca go jednym pchnięciem.

– Źle z nim, powinien go zobaczyć lekarz.

– Później – mówi Luciano. – On i ja musimy porozmawiać o naszych sprawach.

– Nie widzisz, że prawie wyprawiliście go na tamten świat? – rzuca Koldobike.

– Niech ci powie, czy jego język nie jest bardzo żywy, co, księgarzu? Ten mężczyzna skrywa wielki sekret, który musi mi wyjawić.

– A jak zamierzasz go z niego wyciągnąć? Wbijając mu gwoździe pod paznokcie?

Luciano patrzy na nią w taki sposób, że zaczynam się o nią bać.

– Lepiej, żebyś siedziała cicho, blondyno. Co sobie wyobrażasz w tej spódnicy i z tymi

włosami? Nowa Hiszpania nie życzy sobie takich nieprzyzwoitości!

I natychmiast jego zainteresowanie skupia się na mnie. Pochyla się, żeby szepnąć mi do ucha, ale tembr jego głosu ogłuszyłby mnie nawet, gdyby stał po drugiej stronie księgarni.

– Jak poeta może zmierzyć się z opowiadaniem i uniknąć ataku strzał przesywających serce i gwiazd na firmamencie niebieskim, polnych kwiatów, pięknych dziewcząt i zakochanych serc?

Wydaje mi się, że rozumiem tę niebieską koszulę. Wierzy, że posiadam coś niezwykle dla niego cennego, mam na myśli, że przynajmniej powinienem w to wierzyć – jak do tej pory, ta rzecz ocaliła mi skórę.

– Co mam ci powiedzieć?

Czekam, aż Koldobike zrozumie ten nagły zwrot sytuacji. Nawet Hammett i Chandler użyliby tej alternatywy tak łatwo dostępnej dla swoich prywatnych detektywów, którzy znaleźliby się w tak ciężkim położeniu.

– Nie rób z siebie idioty, księgarzu. Piszesz opowiadanie, powieść, z tego, co mi powiedziałeś, i wydaje się, że nieźle ci wychodzi, sądząc po zadowoleniu, jakie malowało się na twojej twarzy... Niech będzie, w wyrazie twarzy, który miałaś jakiś czas temu. Chcę, żebyś mi powiedział, jak udaje ci się posuwać naprzód historię, nie uciekając się do poezji. Dobra opowieść nie wpada w takie tarapaty.

Koldobike podnosi się, jakby ją kto z procy wystrzelił, z kulką waty w dłoni.

– Starczy tych głupot, idę po lekarza!

– Cisza! Wrócimy jeszcze do tematu lekarza, na razie nie wejdzie tu i nie wyjdzie stąd nikt!

Dwaj ludzie Luciana zajmują pozycje, jeden przy drzwiach, drugi za Koldobike. Luciano idzie po mały taboret, który służy nam za drabinkę, żeby dosięgnąć książek, i stawia go przede mną. Siada i patrzy na mnie z dołu.

– Wytlumacz mi, jak to robisz – wydaje polecenie.

Chyba rozumiem tragedię tego mężczyzny. Cierpi z powodu tej samej udręki, która trapiła i mnie, zanim poświęciłem się realizmowi. Związek między nim a mną przestał być stricte polityczny.

– Nie mam żadnej kości złamanej – uspokajam Koldobike.

– Skąd możesz to wiedzieć?

– Są rzeczy, które po prostu się wie. Nie słyszałem żadnego trzasku. Ci ludzie biją jak w książkach.

– A twoja twarz wygląda jak po rozbiórcie. – Koldobike przygląda się świeżej broczącej ranie. – Ile to jeszcze potrwa?

Ci, którzy rządzą, mają nad nami przewagę, to oni kontrolują czas i tracą kompletnie cierpliwość wtedy, kiedy sami sobie na to pozwolą. Patrzą na Koldobike i widzą ją jak przez mgłę.

– Chodzi o to, żeby pisać to, co się widzi i słyszy. Nic więcej...

Luciano medytuje nad tym z szeroko otwartymi oczyma i wreszcie się odzywa:

– Ale to jest w zasięgu aparatu fotograficznego i dyktafonu!

– Artysta w pewien sposób musi zniknąć. Opowiadać to, skupić się na tym, co jest na zewnątrz, a na zewnątrz są inni, mężczyźni i kobiety, którzy muszą odgrywać większą rolę niż sam narrator. Poeci nie potrafią tego zrobić. Nie dlatego, że nie mogą, ale dlatego, że nie leży to w ich naturze.

– A więc chodzi o skromność.

– I o odrobinę wyobraźni.



– Wyobraźni w realizmie?

Nie tylko nie mam najmniejszej ochoty zagłębiać się w te tematy, ale i moja głowa jest teraz piłką nożną, w którą uderza czterdzieści osiem butów w czasie meczu.

– Zaczekaj... – mamroczę, podnosząc po raz pierwszy prawą dłoń, żeby dotknąć czoła.

– Uważaj na plastry – mówi Koldobike.

– Wyobraźnia jest niezbędna, żeby zamienić rzeczywistość w inną rzeczywistość, a przede wszystkim żeby wybrać jedną, nad którą należy pracować, zbierając obrazy i dźwięki.

– *Or kon pon!*<sup>L</sup> – wygłasza Koldobike.

W jej głosie pobrzmiewa mieszanina niepokoju i drwiny z teorii, która – i wie o tym lepiej niż ktokolwiek inny – na nic mi się zdała.

– Co powiedziałaś, do diabła?! – chce wiedzieć Luciano, odwracając się w jej stronę.

Koldobike nie zwraca na niego uwagi.

– Wybrałaś sobie jakąś rzeczywistość, żeby ją opisać? – interweniuje błyskawicznie za cenę perforacji w mojej skroni.

– Opowiedziałem rzeczy sprzed wojny, wojnę i nasze czasy powojenne. Jeśli czasy sprzed wojny, wojna i po wojnie nie są rzeczywistością, to sam mi powiedz. Ale nic z tego nie wyszło.

– Dlatego że zrobiłeś to jako poeta.

Luciano parska.

– W Falandze jest wielu poetów, tak jak ci mówiłem. Można powiedzieć, że esencją naszej Falangi jest poezja. Czyżby poezja nie była sprawiedliwością społeczną, walką z marksistowskim bezładem, wyniesieniem na tron wodza, który wprowadzi jeden jedyny porządek w całej Hiszpanii zjednoczonej, wielkiej i wolnej? Słowa naszych pieśni są czystą poezją, która pociąga za sobą imperialne interesy. Czy kiedykolwiek, księgarzu, zdarzyło ci się drżeć z emocji, słysząc jednogłośny krzyk: „Z imperium do Boga!”? Wszyscy falangiści pragną zginąć za Hiszpanię, rzucając się przed hordy marksistów, z rozpiętą niebieską koszulą, żeby móc ofiarować naszą pierś! Poezja, czysta poezja!

Palce Koldobike wystukują rytm na mojej czaszce. Podejrzewam, że ma ją teraz za bęben na defiladzie.

– To naturalne, że tak wielki bagaż... poetycki... mąci ci opowiadanie – mówię cicho.

– Mąci?

Trudno mi mówić i pozwalam, żeby zinterpretował to, jak chce. Milknie na dłuższą chwilę, przypuszczam, że waży swoje kolejne słowa.

– Wziąłem do ręki pióro nocą roku tysiąc dziewięćset trzydziestego ósmego. Tym razem to nie była poezja, nawet nie opowiadanie, tylko krótka powieść. Miałem około dwunastu czy piętnastu rozdziałów. Mało dialogów i dużo narracji. Bohaterami mieli być falangista i jego pierwsza narzeczona, córka rozstrzelanego z rozkazu Franco więźnia, czerwona jak i ojciec, ale piękna, aż oczu nie można było oderwać. Naturalnie, ich miłość była niemożliwa, ona poprosiła go, żeby podłożył bombę. I wówczas falangista postanowił zakochać się w dobrej dziewczynie z kobiecych oddziałów Falangi... Te wszystkie wstępy zajęły mi długie miesiące, choć nie napisałem ani linijki. Dlaczego?

– Strach przed pisaniem.

– Strach? Nigdy mi się to nie przytrafiło z poezją, przychodziła wena i natychmiast pojawiał się pierwszy wers. Chociaż w przypadku opowiadania tak, to było co innego. Dobrze, niech ci będzie, strach... ale on wszystkiego nie tłumaczy. Kiedy wreszcie złapałem za pióro i zabrałem się do pisania... powstała zupełnie inna historia! O falangistę, który po tym, jak wygrał naszą wojnę, chciał pomóc wygrać europejską, i nadarzyła mu się okazja, Błękitna

Dywizja, którą Franco posłał na front rosyjski. Zapisują go i zlecają mu, żeby znalazł więcej ochotników. Nocami w czasie libacji upija młodzików, rozpala im wyobraźnię imperialnymi triumfami, a rano wyciąga papier i daje im do podpisania. Ta pierwsza część wyszła mi całkiem dobrze. Najgorsze przyszło później, kiedy starałem się opowiedzieć o tym, co przydarzyło się w Rosji temu śmiałkowi, jednemu z czterdziestu tysięcy walczących w zwycięskiej dywizji. Utknąłem i do dzisiaj nie posunąłem się naprzód. Nie rozumiem dlaczego, po takim obiecującym początku.

– Przypomnij sobie osobiste doświadczenia z Rosji – podsuwam mu z trudem.

– Ale ja nigdy nie byłem w Rosji!

– Ładne rzeczy! – prycha Koldobike.

– Ostałeś się bez rzeczywistości! – mówię.

Na tym polegał mój problem z wyobraźnią. Czuję, że Luciano jest mi znacznie bliższy, niżbym tego chciał. Cholerny brak wyobraźni dotyka zarówno dobrych, jak i złych!

– Nie dałem za wygraną, znów złapałem za pióro – dodaje. – I nagle powieść zaczęła się toczyć w stronę przepaści, zwycięskie przygody Błękitnej Dywizji redukowały się do liryzmów na temat niezmiennie ośnieżonych stepów, zamrożonych eleganckich mundurów, obojętnych spojrzeń rzuconych spod futrzanych czapek pokrytych sopłami lodu, wytęsknionych wiosennych łąk. Moje pióro znowu nie uchylało się przed strzałami przeszywającymi serce i gwiazdami na niebieskim firmamencie. Ty, wręcz przeciwnie, idziesz cała naprzód. Masz dużo łatwiej, nie jesteś poetą. – Skarży się i wstaje, opierając dłoń na moim ramieniu. – Przykro mi z powodu razów, księgarzu. – Dlaczego jego słowa nie mogą być szczere? – Ty, i owszem, masz jaja.

– Nie zapomnij tego włączyć, Sam – mówi Koldobike.

– Ach, no jasne, oczywiście. Nie tylko opisujesz rzeczywistość, ale wręcz w niej żyjesz.

– Luciano pochyla się nade mną. – Prawda, księgarzu? Opisujesz wszystko, wszyściuteńko?

– Wszystko – zapewnia kategorycznie Koldobike.

– Nawet tę scenę, kiedy od nas oberwałeś, a teraz przyjaźnie się sobie zwierzamy?

– Powieść Sama Esparty jest workiem bez dna – dodaje Koldobike.

Luciano ośmiela się dotknąć opuszkami palców wystrzałowej fryzury mojej pracownicy, ona odtrąca go, popychając, a wtedy jego palce ześlizgują się, żeby wskazać na jej spódnicę.

– W Getxo nigdy nie widziano takich rzeczy – mówi, z intrygującym błyskiem w oku.

– A nasz księgarz nazywa się teraz Samuel Esparta... Esparta, czy tak?... i jest prywatnym detektywem całkowicie zaaferowanym czarną serią z prawdziwym morderstwem. Uczciwy bohater, który cierpi swoje, i jego nadzwyczajna sekretarka do wszystkiego... Rodem jak z powieści! Ale sobie wymyślił scenografię, pieprzony księgarz! Realizm, sam realizm. Do dupy z poezją!

Jesteś zdany sam na siebie!

## Twarcz w ciemnościach

Zapadła noc, jest dobrze po dziewiątej, kiedy Koldobike i ja, opierając się o nią, docieramy razem do wejścia do mojego budynku. Codzienny spacer, który zajmuje mi zazwyczaj parę minut, dzisiaj – jestem pewien – trwał dwa razy dłużej. Siadam na pierwszym stopniu schodów, a tymczasem ona kieruje się na górę do mieszkania, żeby wcielić w życie nasz plan. Moje ciało wytrzymało drogę całkiem dobrze, słyszę skargę jedynie paru kości.

Koldobike nie wraca sama. Spodziewam się, że z mojej siostry wydobędzie się chociażby jęk, kiedy zobaczy, w jakim jestem stanie, ale nie. Elise od zawsze była twardą kobietą, wychodziła na zewnątrz, kiedy niemieckie junkersy przelatywały nad naszymi głowami, żeby zbombardować Bilbao, lotnisko w Sondika albo fabrykę w Ría, ale przecież mogło im również przyjść do głowy rzucić bomby na Getxo, w ramach ćwiczeń; ja wolałem się im przypatrywać, mając dach nad głową. Od śmierci ojca to ona w naszej rodzinie miała żelazne nerwy.

– Macie rację, lepiej, żeby nie widziała go w tym stanie – wyrokuje, patrząc na mnie.

Plan nie polega na tym, żeby amie w żaden sposób nie udało się objąć mnie spojrzeniem, ale na tym, żeby w domu panował półmrok. Wchodzimy na górę we trójkę – Elise idzie przy moim boku, pomagając mi, wewnętrzną częścią dłoni gładzi mnie po karku, Koldobike z drugiej strony, pełni rolę podpórki dla mojego przedramienia. Kiedy dochodzimy do zamkniętych drzwi, moja „nadzwyczajna sekretarka” żegna się ze mną nie jeden, ale cztery razy, i wraca na dół.

Elise wchodzi do mieszkania i parę sekund później gasną wszystkie żarówki – wyciągnęła korki. Słyszę jej głos: „A niech to, znowu wyłączyli prąd!”. Na co *ama*: „Żadne tam wyłączyli, to sprawka czarownic”. Teraz obydwie zaczynają szukać świec po szufladach, zapalają je, a kuchnię wypełnia spieszący mi z pomocą półmrok. Jem kolację bez apetytu, kapustę, która została z obiadu, i pijam kubkiem mleka, którego nie mogę zmęczyć do końca. Moje myśli krążą jedynie wokół łóżka, gdzie Elise rozbiera mnie do kalesonów. Stara się przetrzeć mi rany spirytusem, ale powstrzymuję jej dłoń w czasie pierwszego bolesnego okrążenia. Żegnamy się zadowoleni z osiągniętego sukcesu – oczy amy niczego nie dostrzegły.

Wczesnie rano, jeszcze przed świtem, drzwi uchylają się dyskretnie i wygląda zza nich świeczka, a za nią głowa mojej siostry. Żeby ją przepędzić, wystarczy, żebym się nie odezwał.

– Wejź.

– Jak się czujesz? – Płomyk wędruje po mojej twarzy, ale nie wydaje się jej to wystarczające. – Zapalę światło.

– Nie ma korków – przypominam.

– Włożyłam je z powrotem.

– Wolałbym, żebyś nie zapalała.

– Nie jestem amą, wczoraj widziałam twoje rany. Wiem tylko od Koldobike, że to byli falangiści.

– Już wszystko załatwione.

– Załatwione? – Nie wierzy mi. – Opatrzę ci rany.

Nie zapala światła do swojego powrotu z apteki.

– Wiesz, ile masz ran? Cztery. I tyle samo siniaków. Nie licząc podbitego oka... A teraz do łóżka – prosi mnie, kiedy kończy. Staje w drzwiach i się odwraca. – A właśnie, prawie nie rozpoznałam Koldobike. Co jej się stało? – Gasi światło i już z korytarza dobiega mnie jej głos, zanim zamknie drzwi: – Ty i ona, ona i ty, jesteście jacyś odmienieni.

Jestem pewien, że śledztwo posuwa się naprzód. Nie udało mi się dojść do niczego decydującego ani nawet do niczego ważnego, ale sprawa toczy się nadal, rozmawiam z ludźmi i dowiaduję się nowych rzeczy, mając świadomość, że między nimi może przebywać typ, który zaczął już tracić nad sobą panowanie. A jeśli tak jest, to znaczy, że osiągnąłem dotychczas sporo. Czy interwencja falangistów Luciana coś oznacza? Dla mnie tak. Za każdym razem gdy dochodziłem do tego miejsca, rozmyślając przez całą noc, dotykałem części mojego sponiewieranego ciała. I czułem, jak w tej samej chwili w moim ciele coś ożywało. Wszystkie te myśli kotłowały się w mojej głowie, co sprawiło, że pojawiłem się w kuchni o dziewiątej rano, już ubrany. Elise wychodzi mi naprzeciw, a ja staram się podarować jej najlepszą minę, która, co zdumiewające, ją uspokaja, a mnie dodaje otuchy na tyle, żeby powiedzieć:

– Dużo lepiej się czuję.

I może jest tak naprawdę. Myję ręce w zlewie i ochładzam sobie twarz oraz głowę, podczas gdy siostra stoi za plecami i sprawdza moje możliwości.

– Muszę wyjść – dodaję.

– Usiądź – mówi ona bez cienia zdziwienia.

Najpierw zmiana opatrunków, a później kubek ciepłego mleka i jabłko.

– Uciekaj, zanim *ama* się tu pojawi. Nie mówiłam ci, że pada, bo i tak na nic by się to zdało.

W ręce wkłada mi parasol i prochowiec. Patrzę jej w oczy.

– Piszę nową powieść.

Po jej twarzy przemyka cień zadowolenia.

– Czy to prawda, że z falangistami wszystko załatwione?

– Spokojna głowa – uśmiecham się do niej.

Błogosławiony deszcz pozwala mi ukryć twarz pod parasolem, kiedy mijam znajome osoby. Czuję, że brakowało mi prochowca, żebym mógł się naprawdę poczuć Samem Espartą. Naturalnie, Koldobike otworzyła już interes. Nadzieja, z jaką wypatruję jej w środku, dezorientuje mnie, bo jeszcze parę godzin temu nie miałem żadnych wątpliwości – ale zarówno platynowy blond, jak i obcisła spódnica są na swoim miejscu. Jej niezłomność wzmacnia bardziej moją własną.

– Dzień dobry.

– Dzień dobry. Świat się nie zawali, choćby raz nie wstał z łóżka.

– Ależ nie! Zawalił się wczoraj! Zgubiłem rytm! I teraz nie jestem pewien następnego kroku.

– Wczoraj go znałeś? Nie... Następna wizyta to ojciec.

– Roque Altube? Jest ojcem nieboszczyka Leonarda. Ojciec nie zabija własnego dziecka!

– To człowiek honoru, z zasadami, mężczyzna starej daty. Bliźniacy byli plamą na jego nazwisku.

– Czysta krew w wyniku jej przelewu? Chyba kompletnie oszalałaś. Poza tym w tysiąc dziewięćset trzydziestym piątym miał siedemdziesiąt lat. Wyobrażasz sobie takiego staruszka zasadzającego się nocą na plaży i atakującego swoich dwóch synów?

– Dwa lata później widziano, jak wyruszył na front baskijski i brał udział w walce w czasie całej kampanii. Niezwykły staruszek... Ale zapomnij o nim. Chociaż mógłby ci dostarczyć wiele informacji. Wówczas przesłuchiwała go policja...

– Jestem kompletnie zamroczony! Nie mogę myśleć! Nie jestem w stanie wyczuć tętna śledztwa!

Koldobike staje przede mną i studiuje moją twarz.

– Elise wykonała dobrą robotę... Wiesz, co ci powiem? Jeśli teraz zapytałabym, jak się czujesz, przysięgłbyś, że jak nigdy, ale ja nie chcę mieć ciebie na sumieniu i wysyłam cię do domu. Tu nie jesteś do niczego potrzebny... Dokąd idziesz?

– Do przerwanej wątku.

– Mogłam się tego spodziewać.

Cóż za absurd, żeby padało na plaży. Inaczej jest na wzgórzach porośniętych roślinnością, która wymaga podlewania. Piasek w Arrigunaga jest mniej biały od tego w Ereaga, a ponadto krople deszczu przyciemniają go jeszcze bardziej. Kiedy ktoś spaceruje po plaży w deszczu, znaczy to ni mniej, ni więcej, tylko że się go nie spodziewał. A już najbardziej nieprawdopodobne jest zobaczyć kogoś, kto usiłuje osłonić się przed deszczem parasolką i prochowcem. Nie ma żywego ducha – letnicy wycofali się do swoich zimowych więzień, a między miejscowymi nie znalazłby się szaleniec, który zdecydowałby się łowić w deszczu, nie wspominając o kąpieli. Moja obecność nabiera wyjątkowego znaczenia do tego stopnia, że słyszę, jak sam mówię:

– Owszem, ktoś jest na plaży. I tym kimś jestem ja. Dlatego, że tutaj wszystko się zaczęło.

Na plażę prowadzi wiele wejść. Za plecami, po przeciwnej stronie, wznoszą się skały, które ciągną się od Puerto Viejo aż do urwiska. Bliżej środka plaży jest zejście ze wzgórza, tuż obok interesu Maruri, pod czujnym okiem ruin zamku. A parę kroków dalej inne przedłużenie, które również gubi się w piasku, a znajduje się dokładnie na wysokości skały Felixa Apraiza. Wybrałem to właśnie, trasę, którą Lucio Etxe musiał pobiec do kuźni świętej pamięci Antima Zalli, odkrywając zakuty w łańcuchy bliźniaków. Kiedy dochodzę do dwudziestu siedmiu, zdaję sobie sprawę, że zacząłem liczyć własne kroki, i natychmiast porzucam to zajęcie. Co za głupota, takie rzeczy robiliśmy jako dzieci, na przykład, żeby wyznaczyć na plaży granice piłkarskiego boiska... Ale skąd mi to teraz przyszło do głowy? Nie chodzi przecież o nostalgię. Musi chodzić o tego głupka z... jakże on się nazywał?... tego, który nie ma nic lepszego do roboty, niż zmierzyć całe Getxo krokami. Krokami, właśnie! Tylko próżniakowi z Neguri mogło zaświtać w łepetynie, żeby tracić czas na podobne dziwactwo. A jednak gdyby Antimo Zalla miał mniej kroków do przebycia, może udałoby mu się ocalić Leonarda Altube. Dlaczego mówię o krokach, a nie o metrach? Całkiem możliwe, że niedługo będziemy w Getxo rozporządzać planem ze wszystkimi odległościami i czasami policzonymi w krokach. A ja teraz powróciłem do rachowania własnych, kierując się w stronę skały Felixa Apraiza.

Do kogo może należeć ten bal, na którym ktoś położył kamień na znak, że jest jego własnością? Morze musiało go wypluć wczorajszej nocy i ktoś zdążył już go sobie przywłaszczyć. Ciekawe, gdzie ten ktoś teraz jest? Na pewno w drodze do domu taszczy inne ciężary i jeszcze tu wróci.

– Cześć, księgarzu!

Odwracam się. To Luciano, falangista, który zbliża się do mnie truchtem, przytłumionym przez piasek, szczerze opatulony prochowcem i również pod parasolem. Jeśli do tej pory miałem trudności z nakreśleniem dwóch punktów widzenia na tę sprawę...

– Czego znowu chcesz? – Staję z nim twarzą w twarz.

– Miło cię zobaczyć na nogach o własnych siłach. Byłeś u lekarza?

Odwracam się do niego plecami i idę w swoją stronę. Podąża za mną.

– Słuchaj, nasz łomot był tylko na pokaz. Kiedy chcemy z kimś skończyć, nie patyczkujemy się... A cieszę się, że cię tu widzę również dlatego, że muszę się szybko nauczyć. Nie zmrugałem oka przez całą noc.

– Nauczyć czego?  
– Chcę zobaczyć, jak to robisz, jak i kiedy piszesz. Zwłaszcza jak.  
– Piszę już w tej chwili. – Odwracam się. – Ty i ja, tutaj, na plaży... Chociaż ta scena jest wyjątkowo lipna.

– Ale też wejdzie do powieści.  
– Ta wczorajsza w księgarni również. Trzech śmiałków w służbie nowej Hiszpanii!  
– Wspaniale, tak właśnie podejrzewałem! Wszystko ma znaczenie! Wszystko, co dzieje się na twoich oczach! Ale nie jest to łatwe do przełknięcia takiemu poecie jak ja.  
– A co mnie, do diabła, interesują twoje problemy?! – wybucham.  
– Nieładnie, nieładnie, takim językiem nie powinien mówić księgarz... Choć podoba mi się twój charakter, nie jesteś pokonaną ciotą, jesteś facetem z krwi i kości, tak jak my. Dlatego łatwo się zrozumiemy.

Znowu idę w stronę skały, a on za mną... Tak, tam wszystko się zaczęło... Ale jak właściwie mam się skoncentrować, skoro ten natręt depcze mi po piętach?

– Możliwe, że będziesz mnie potrzebował, tak samo jak ja ciebie. Przekonam cię twoimi własnymi argumentami – mówi Luciano. – Stoję sobie tutaj, więc później będziesz mnie musiał włączyć do swojej historii. Dlaczego? Dlatego że jestem częścią rzeczywistości, która rozgrywa się na twoich oczach. Nie liczyłeś się z moją obecnością, ale jestem. To są nakazy tej przeklętej rzeczywistości. Niech będzie pobłogosławiona wolność poezji!

– Wracaj lepiej do swego imperium zmierzającego w stronę Boga i daj mi spokój.  
– Odwracam się, żeby na niego spojrzeć. – Gdzie byłeś w czerwcową noc tysiąc dziewięćset trzydziestego piątego, kiedy zamordowano Leonarda Altube?

Obserwuję niezwykle uważnie jego reakcję. Nie spodziewał się takiego obrotu spraw. Jego usta wykrzywiają się w wymuszonym uśmiechu.

– Nie było mnie w Getxo. Pod koniec czerwca tamtego roku byłem w Valladolid i podrabiałem karty egzaminacyjne na koniec roku. Trzy lata prawa, a moja noga nigdy nie powstała w sali wykładowej. Karty egzaminacyjne wychodziły mi za każdym razem lepiej. Później, dzięki wojnie, nie musiałem podrabiać żadnego dyplomu. Moi biedni rodzice w dalszym ciągu wierzą, że tak jak tyłu innych, wojna również i mnie pozbawiła studiów wyższych. Ale wróciłem z Valladolid z czymś dużo lepszym – z doktryną José Antonia, ideologa...

– Więc mówisz, że nie było cię w Getxo – ucinam.  
– Nie.  
– A może przyjechałeś, żeby zabić, po czym wróciłeś do Valladolid, żeby dokończyć fuszerkę z kartami egzaminacyjnymi? Miesiące mają to do siebie, że są długie, a morderstwo popełniono dnia siódmego.

– Nie przesłuchuj mnie, księgarzu. Tracisz czas. Nawet gdybym był mordercą... zobaczymy, czy uda ci się mnie zrozumieć... wszystko i tak zostałyby patykami na wodzie pisane. Podoba mi się twoje przesłuchanie, bo sprawia, że czuję się częścią twojej powieści, i niedługo byłbym gotów, żeby zacząć ją pisać... Tylko nie wiem, od czego rozpocząć.

Zatrzymaliśmy się i stoimy twarzą w twarz. Chociaż przestało padać, nasze parasole są nadal otwarte.

– Prowadzisz interesy z bliźniakiem, który przeżył, i na pewno prowadziłeś je także wcześniej z dwoma, przed czerwcem trzydziestego piątego... – mówię.

Dlaczego tyle czasu zajmuje mu odpowiedź? Odburkuje jednym słowem:

– Algi.

Zamyka raptownie swój parasol, bierze głęboki oddech.

– Słyszałem nie tak dawno coś o algach – mówię, przypominając sobie Eladia Altube.

Luciano pozbierał się i teraz zaczyna mnie atakować, unosząc do góry szpic swojego parasola, żeby wskazać nim mój.

– Zamknij go, już nie pada. I skończ z tym przesłuchaniem, choć mnie nie denerwuje, bo rozumiem, że musisz podejrzewać wszystkich. Ty i ja jesteśmy w podobnej sytuacji: obydwaj bagatelizujemy, że ten drugi może być mordercą (mam cię na mojej czarnej liście, a co myślałeś), w zamian każdy z nas wie, czy nim jest, czy nie... Plaża, a na niej dwóch niezwykle męczyzn, którzy przeżywają tę scenę, mając przed sobą skałę, na której dziesięć lat wcześniej para bliźniaków walczyła o życie...

– Skała – mówię. – Możesz ją wskazać.

Robi to, posługując się po raz kolejny szpicem swojego parasola, i mówi:

– Jestem z Getxo... Chociaż wielu z was wyparło ten fakt z pamięci. W nocy sypiam jak dziecko... A może to wyróżnienie?... Tak więc mamy dwóch męczyzn na plaży... Opiszę tę scenę w ramach pierwszej próby. Opiszę ją. A właśnie, nie widziałem jeszcze ani słowa z tego, co tobie udało się napisać do naszej powieści. Nie odchódź za daleko.

Kiedy się oddala, widzę, jak z kieszeni marynarki wyjmuje zeszyt, a z górnej kieszonki wieczne pióro. Siada na samotnym kamieniu, kładzie zeszyt na kolanach, podnosi głowę i patrzy na mnie zagubiony. Zostawiam go samemu sobie i udaję się w kierunku skały.

Nie wiem, dlaczego przyszedłem na plażę. Niech będzie, żeby podjąć przerwany wątek. A jeśli tym wątkiem jest ten typ? Mam go za plecami, siedzi wystarczająco daleko i pisze.

Ciekawe, ile lat żyją mewy? Te, które szybują teraz nad moją głową, może mogłyby opowiedzieć mi, co widziały tamtej nocy. Ale jak mogłyby zobaczyć cokolwiek nocą? Może lepiej to, co słyszały. W powieściach kryminalnych takich samych rewelacji oczekuje się od psów i kotów, będących świadkami wydarzeń, a zwłaszcza od papug. I nigdy nie można na nich polegać. Moje mewy uparcie latają teraz nad skałą. Nie lecą daleko, jak to mają w zwyczaju, tak, jakby chciały zwrócić moją uwagę właśnie na to miejsce, a to z kolei każe mi sądzić, że kluczem do całej zagadki jest skała. A może to jedynie brzydka pogoda popycha je w stronę łądu.

Wracając, mijam siedzącego typa z piórem pozostającym w bezruchu i kiedy dochodzę do bala przyłożonego kamieniem, zauważam na horyzoncie jakąś postać, która zbliża się w naszą stronę. To jeden ze steranych życiem Etxe, Lucio, który na pewno idzie po swój dzisiejszy łup. Zasłania się starą kapotą, która całkowicie przemoknięta wygląda prawie na czarną... Dzień dobry, dzień dobry, rozmowy o pogodzie, których nie sposób uniknąć.

– Hej, ty tam! – słyszę.

To Luciano. Co mam z nim zrobić? Biegnie w naszą stronę, młócąc powietrze zeszytem. Chwilę później trzymam w ręku owoc jego pracy.

– Czytaj. Natychmiast.

Lucio Etxe wpatruje się w nas zdumiony. Odchodzę parę kroków i otwieram zeszyt. Zauważam, że Etxe nie przypatruje się nam obu, tylko utkwiał wzrok w tym typie.

Czytam. Z ciekawością, dlaczego miałbym zaprzeczyć?

*Nawet promyk słońca nie raczy zaszczycić swym światelkiem tego spotkania dwóch męczyzn, złowróźbny czarny deszcz opada na nich i spowija ich niczym gęsta zasłona. Czego od siebie chcą ci dwaj mężczyźni? Obaj pochodzą z Getxo, ale jakże odległe są ich dusze! Pierwszy z nich jest księgarzem, który grzęźnie w błocie przyziemnych ideologii, rozdeptanych przez wojnę, którą będą wynosić pod niebiosy nadchodzące stulecia. Drugi, jak można przypuszczać, wpatrując się w jego męską sylwetkę, jest żołnierzem w oddziałach prawdy. Pierwszego może da się jeszcze ocalić.*

*Znajdują się na plaży, dlatego że to tu, lata temu, jedno ludzkie istnienie pożegnało się*

*z życiem, a ci dwaj mężczyźni chcą zwietrzyć i wywołać winnego. Wiedząc, jak mają się fakty, sprawa jest na tyle delikatna, że rozpoczynam swój rozdział na chybił trafił (emocje są tak wielkie, że z trudem udaje mi się stawić czoło tej ciężkiej próbie, której muszę dokonać). I stąd właśnie, na którejkolwiek z kolejnych stron, olśnienie – odkryłem, że życie możliwe jest bez poezji.*

To jest właśnie to, co udaje mi się odczytać z nabazgranego tekstu pełnego skreśleń.

– I jak? – Ma żaloszny wyraz twarzy.

Przepelnia mnie litość, którą z pewnością odczuwają pisarze zmuszeni do wydania werdyktu w sprawie kolegi. Ale moja uwaga zmienia kierunek i podąża w stronę szeroko otwartych oczu Lucia Etxe, które wbiły się bez mrugnięcia w typa... jakby i on przeczytał zapis w zeszytzie. Raptem czuję, jak jego ręka szarpie rękaw mojego prochowca. Odciąga mnie o parę metrów i szeptem do ucha:

– To tę twarz widziałem w ciemnościach tamtej nocy.



## Pokrętny plan

Plażę pierwszy opuścił Lucio Etxe ze swoim balem na plecach – długim na ponad dwa metry i przynajmniej pięćdziesiękilogramowym, który kruszył mu lewe ramię. Niemniej wydaje się, że nie sprawia mu to wysiłku, jego stąpienia po piasku są mocne, kroki równe. Jak taki mizerak może tego dokonać? Jak udaje się to tylu innym, którzy podnoszą z piasku podobne zdobycze? Zmusza ich do tego sytuacja, prozaiczna konieczność, lata powojenne.

Powiedział mi: „To zły człowiek, dowiódł tego w ostatnich latach. Nie mogę ścierpieć go obok. *Agur*. I lepiej, żebyś ty też sobie poszedł”. Zapytałem, czy jest pewien, że twarz tego typa widział w noc morderstwa, na co odpowiedział z pewnością, która zmroziła mi krew w żyłach, że tak. „I aż do dzisiaj jej nie rozpoznałeś, nigdy się z nią nie spotkałeś? Minęło dziesięć lat!”. Wzięła go cholera, że aż dziw: „Odszedł stąd, żeby przygotować wojnę, a kiedy wrócił, nigdy nie znalazł się tak blisko, jak dziś!”. Ledwie trzymał się na nogach, więc zaprzestałem pytań.

Ta wymiana zdań odbyła się parę metrów od plaży, niedaleko ruin starego zamku. Lucio Etxe był o krok od rozpoczęcia swojej marszruty na wzgórze, do La Galea. Ja obrałem drogę prowadzącą do Cuatro Caminos, do starej kuźni świętej pamięci Antima Zalli, w której rządził obecnie jego syn Tomasón.

Ten w niebieskiej koszuli podąża za mną w odległości pięćdziesięciu metrów, zgodnie z naszą umową. Chciał się do mnie przykleić, przeżywać ze mną razem kolejne śledztwa i oddać pod mój osąd strony w zeszycie, które redagowałby codziennie. Nie stracił zapалу po moim pierwszym werdykcie: „Może i byłaby z tego dobra poezja, wcześniej też tak pisałem”. To najmniej krytyczna uwaga, jaka przysłała mi do głowy. Typ wydawał się rozczarowany: „Dotknąłem tylko naskórka rzeczywistości, ale ja tę rzeczywistość złapię za jaja... dzięki tobie. Chcę przez to powiedzieć, że będę twoim cieniem”.

– Rób jak chcesz. – Wzruszyłem ramionami.

– Za kogo ty się masz? Ja też chcę wylewać morze atramentu, dotrzeć pod strzechy!

– To poszukaj sobie jakiegoś tematu!

Mimo że trudno było zapomnieć, że ze względu na swoją pozycję miał nade mną przewagę, skulił się w sobie. Postawiłem się na jego miejscu, stanęła przede mną niedawna przeszłość, i znowu zacząłem mu współczuć. Przynajmniej w tej chwili pracuje na mój rachunek. Nie napisze o niczym, o czym ja bym nie wiedział. Tworzenie to akt, który wymaga samotności.

– Mówisz mi o pisaniu, a ja nie widziałem jeszcze ani jednej strony twojej powieści. Kiedy znajdujesz czas na pisanie? Czyżby w nocy i dlatego nigdy tego nie widzę? Nawet nie masz ze sobą zeszytu, żeby zanotować każdy cholerny moment w momencie dziania się. Jak to robisz, do cholery, jak to robisz?!

Rozbity padł mi do stóp.

Teraz razem wspinamy się drogą (on pięćdziesiąt metrów niżej) do mojego następnego celu – kuźni Tomasóna Zalli. Wizyta jest konieczna, Tomasón pomógł ojcu w przepiłowaniu łańcuchów, którymi bliźniacy byli przywiązani do skały Felixa Apraiza. Lucio Etxe i on byli dwoma bohaterami tamtej nocy, którzy jeszcze żyją i od których spodziewam się usłyszeć najwięcej sensacji.

Malutka kuźnia mieści się w Cuatro Caminos. Zwiastują mi ją dwa konie pociągowe przywiązane tuż przy wejściu, dzwonienie młotów kujących żelazo dopełnia obrazek. Jest tu długi ciemny przedsionek, na którego końcu błyska ogień na łożu z rozżarzonych węgli.

Chłopisko, które kuje rozżarzoną podkowę, to nie kto inny jak Tomasón.

– Poczekaj chwilę – rozlega się głos za plecami.

To Jacinto, jego syn, nie ma jeszcze dwudziestu lat, niesie z trudem przedmiot, który jest nie z żelaza, tylko z drewna.

– Dobrze – mówię i zatrzymuję się.

– Naprzykrza ci się ten na zewnątrz? Wydaje mi się, że go znam. Mogę go tutaj zawołać i napędzić mu stracha.

– Nie, nie... – odpowiadam pospiesznie.

– Spokojnie, spokojnie – słychać tubalne polecenie z głębi. – Zajmij się lepiej rąbaniem tych pni.

Syn, który też jest wielkim Zallą, zaczyna robotę bez skargi. Ustaje dzwonięcie młotów i Tomasón podchodzi do mnie. Jego łapska popychają mnie w stronę wyjścia, dopóki moja twarz nie zobaczy światła dziennego.

– Jesteś synem Vicenta Bordaberriego. Walczyłem razem z twoim ojcem w Intxorta. Mój syn nie wie, co się działo wtedy ani co się dzieje dzisiaj. Jest młody. Co cię gryzie? A może przyszedłeś tylko osuszyć parasol...

– Nie. Chodzi o bliźniaków Altube. Pamiętasz?

– Czy pamiętam? Jak mógłbym zapomnieć? A żeby ich jasna cholera! Niech się zapytają mojego ojca, czy pamiętał ich i szkodę, którą mu wyrządzili! – Ale ciekawość bierze w końcu górę nad gorzkim wspomnieniem. – A co znowu zmalowały te dwa skurwiele?

– Jednego zabili...

– Prawda... Szkoda, że nie obydwu!

– Próbowano, i do tej pory nie wiemy kto.

– Daj mi znać, kiedy skończy robotę, żebym mógł go uściskać.

– Jest wielu podejrzanych, a ty możesz być jednym z nich. – Drugi raz przełyka swoją furię, a jego potężne ręce w podwiniętych rękawach zwisają bezwładnie. – Prywatny detektyw o imieniu Samuel Esparta postanowił zająć się sprawą. To ja, to moje nowe imię. Miasteczko nie może w dalszym ciągu udawać, że nic się nie stało.

Syn Jacinto staje obok ojca i obydwaj wpatrują się w falangistę, który stoi po drugiej stronie ulicy samotny jak latarnia morska.

– Sancho, Samuel, jakkolwiek, do pioruna, przystałeś do Franco – warczy Tomasón Zalla, a Jacinto Zalla przytakuje energicznie.

– Spójrzcie na moją twarz, wygląda jak kartoflisko. Ten mężczyzna i dwaj inni spuścili mi wczoraj łomot.

Obaj są zmieszani, ponadto Tomasón Zalla wypowiada bolesne słowa:

– Szukasz mordercy? Nie zastanawiaj się dłużej, stoi tam naprzeciwko. Napocił się, skurwysyn, nad mężami tych wszystkich kobiet, które dzięki niemu noszą żalobę.

– To może pokażmy tym barbarzyńcom, jak bardzo zależy nam na każdym ludzkim życiu, w tym i na życiu Leonarda Altube. Przywróćmy w Getxo sprawiedliwość. – Mój zapal robi wrażenie na nieogolonych twarzach. – Chcę wiedzieć, co zapamiętaliście z tamtej nocy. – I wbijam oczy w Tomasona Zallę. – Lucio Etxe wyrwał was z łóżek i twój ojciec Antimo oraz ty pobiegliście na plażę, żeby uratować bliźniaków Altube. Ciekawi mnie, co widzieliście i słyszeliście.

Płuca Tomasona Zalli wypuszczają na zewnątrz tyle powietrza, ile kowalski miech w kuźni.

– Popędzani i ponaglani przez Lucia Etxe ani ojciec, ani ja nie wiedzieliśmy, kogo

idziemy ratować... Myślisz, że gdybyśmy wiedzieli, że chodzi o bliźniaków, pobieglibyśmy chyżo? Jasne, że nie! Na podwórku z tyłu nadal stoi traktor, który nam sprzedali. Stoi tam sobie, bardziej martwy niż moja nieboszczka babka.

– Coś mi się zdaje, że bliźniacy narobili dużo szumu wokół tych traktorów. Ściągnęli pierwszy, jaki w ogóle można było zobaczyć w Getxo.

– Pierwszy i ostatni! – stwierdza Tomasón Zalla. – A między jednym a drugim, nasz! Bezwstydnicy! Sprzedali ich pewnie z tuzin, albo coś takiego, na całą Vizcayę. To były małe modele... i wszystkie z wadą fabryczną! Nawet nie wiem, jak się o tym dowiedziały te skurwiele, że we Francji jakaś fabryka pozbywała się na rozbiórkę tych, które im nie wyszły, i że jakaś kanalia, która tam pracowała, sprzedawała je potajemnie za pół ceny, albo i za mniej. Te skurwiele je skupowały, sprowadzały i sprzedawały za normalną cenę. Chodziły przez miesiąc, a potem pach! gasły na zawsze. Bliźniacy mówili, że nie mieliśmy szczęścia. Jak byśmy wtedy szli we trzech z moim ojcem, z duszą na ramieniu, żeby przeciąć te łańcuchy, i wdrapałibyśmy się na skałę Felixa Apraiza?

Wyciągam z kieszeni dwie części ogniwa łańcucha.

– Były tej wielkości?

Tomasón Zalla bierze dwa kawałki w swoje łapska i odpowiada błyskawicznie:

– Tak. – Podnosi wzrok. – Skąd to masz?

– Ze sklepu żelaznego Joseby Ermo.

– Tego Ermo i Eladía Altube...

Chce mi coś powiedzieć, wbijając we mnie wzrok?

– Lucio Etxe opowiedział mi o waszym heroicznym wyczynie w samym środku narastającego przypiływu...

– Najpierw ojciec chciał przepiłować łańcuch Leonarda Altube, ale złapałem go za ramię jedną ręką, a drugą położyłem na głowie tego skurwiela, której nie było już widać, w przeciwieństwie do drugiej, nawet wtedy kiedy cofała się fala. Ojciec spojrzał na mnie, a ja kiwnąłem głową, mówiąc: „Już po nim”. Ojca dużo kosztowało, że nie mógł nic zrobić dla Leonarda Altube... tego samego skurwiela, który parę lat wcześniej oszukał go, sprzedając mu ten złom! A fale coraz większe rozbijały się o skałę i nas przykrywały.

– Ale później się cofały...

– To fakt! Gdyby nie, nie moglibyśmy pracować, nie jesteśmy nurkami... Nie do wiary, kurwa! A dzięki temu, że woda opadała, on mógł chociaż przez chwilę oddychać, bo tak to przez większość czasu nie widzieliśmy jego głowy... Ale z jego bratem było gorzej! Nie, wcale nie było łatwo przepiłować łańcuch na jego szyi. Zamienialiśmy się z ojcem. Przez ponad połowę czasu byliśmy pod wodą. Szczurbiły nam się ostrza, jedno za drugim. Jak mieliśmy ich nie łamać, cali w nerwach, kiedy mieliśmy przed nosem częścią twarzy topielca niż tego żywego! Ojciec i ja, obaj, piłowaliśmy, obojętne czy była woda, czy nie, ale nos Eladía Altube mógł oddychać tylko w tym drugim wypadku.

– Chwali wam się taka determinacja.

– Kto złożył ich życie w naszych rękach? Matka Boska, święty Piotr, święty Józef czy też kurwa ich mać, do kurwy nędzy?! Ani ojciec, ani ja nie pamiętaliśmy wtedy o traktorach.

Przez chwilę wydaje się przygnębiony, tak jakby znowu przeżywał tę próbę. Chociaż jakby był mordercą, nie pokazałby mi się z innej strony; w takim przypadku byłby współnikiem ojca. Czy musieli poskromić w sobie pokusę, żeby jedynie nie symulować, że gorliwie starają się im pomóc?

– Cofnijmy się w czasie... Czy kiedy zjawiliście się na plaży z Lucio Etxe było już ciemno?

- Ciemno? Pewnie i tak. Ale to nie miało znaczenia, była bardzo gęsta mgła.
  - Twój ojciec, ty i Etxe... Widzieliście jeszcze kogoś?
  - Nie.
  - A słyszeliście kogoś?
  - Słyszeć? Mgła jest jak dźwiękoszczelna szyba.
  - Żadnego śladu na mokrym piasku?
  - Śladu? Jedynymi szaleńcami, którzy tam się wtedy znaleźli, byliśmy my trzej.
  - Eladia przenieśliście na piasek w pierwszej kolejności...
  - Tak, tego żywego – odpowiada Tomasón z ożywieniem.
  - A tam czekał już Lucio Etxe...
  - Popłakując.
  - I z powrotem na skałę.
  - Trzeba było iść.
  - Tak, to jasne, trzeba było iść. I nie pomyliliście się co do Leonarda?
  - Był bardziej utopiony niż ogórek w słoiku!
  - W którym miejscu przecięliście łańcuchy jednemu i drugiemu?
  - Przy szyi. Kołnierzyki.
  - W takim razie łańcuchy zostały tam na miejscu, przyczepione do haka na skale wielką kłódką.
  - Tak, tam zostały, zaplątane w wielki supeł.
  - Ale później, następnego dnia albo kiedy to było, sędzia kazał je odczepić od haka i znowu wypadło na was.
  - Nikt nas nie wezwał po te przekłete łańcuchy. Parę dni później dowiedzieliśmy się, że zniknęły.
  - Nie pieprz! – wykrzykuję. O tych łańcuchach za wiele nie mówiło się w kolejnych latach, chociaż zawsze panowało przekonanie, że spoczywają w jakimś magazynie sądowym.
  - Co jeszcze wydarzyło się tej nocy?
  - Ja pobiegłem do miasteczka po lekarza – mówi Tomasón Zalla. – Nie wiem, po co: na piasku leżało dwóch, jeden całkiem martwy i drugi jeszcze żywy. Ale Lucio Etxe się zaparł. „Nie powinniśmy ich ruszać”, mówił.
  - Jakiego lekarza?
  - Don Julia Inchauspe.
  - Wydaje mi się, że powiedział już wszystko, co wie... albo co chce mi powiedzieć.
- Przeszkadzam im, oderwałem ich od pracy.
- Dziękuję, bardzo mi pomogliście.
  - Pomogliśmy... w czym? – pyta się oschle Jacinto Zalla.
- Chrząkam, a moje spojrzenie skacze z jednego na drugiego.
- Prowadzę śledztwo w sprawie śmierci Leonarda Altube, już wam mówiłem.
  - Powiedziałeś nam też, że nie jesteś z policji – warczy Tomasón Zalla. – Jesteś z jakiejś ubezpieczalni? Może Eladio Altube chce zainkasować gotówkę za swojego martwego brata?
  - Chcę zrobić to, co nie udało się policji dziesięć lat temu.
  - Pod krawatem i w kapeluszu – mówi syn, a jego usta rozciągają się w czymś, co bardziej przypomina szyderczy uśmiech niż cokolwiek innego.
  - Jeszcze raz dziękuję.
- Luciano zachodzi mi drogę na ulicy. Jego makabryczny wąsik koronuje konspiracyjny uśmiech.
- Wszystko widziałem, ale nie słyszałem ani słowa, tajemnica jest wielce obiecująca.

- Tajemnica zawsze jest najważniejsza.
- Zrobię to samo, co i ty – wejdę tam i ich przesłucham.

Przez chwilę wyobrażam sobie, jak najpierw zostaje uprowadzony, a następnie jak przypiekają go nad paleniskiem w kuźni.

– W zamian wyświadczysz mi przysługę... Nie mam dostępu do sądu w Getxo, a ty tak. Chciałbym rzucić okiem na łańcuchy, które przechowuje się tam od śmierci bliźniaka.

- Po co?
- Chciałbym je tylko na chwilę wziąć do ręki.

Unosi brwi i rzuca z poczuciem wyższości:

– Nie ma ich w budynku sądu, ale są w sklepie żelaznym Erma.

– W sklepie żelaznym Joseby Erma? – Wzdrygam się. – A co tam robią? Skąd o tym wiesz?

– Ten Ermo, między innymi, handluje też złomem... Zabrał je z tamtej skały na plaży i...

– Chcesz powiedzieć, że odczepił je od haka prawie przed nosem sędziego, żeby...?

Właśnie, żeby co?

– Za złom można dostać niezłą cenę, ha, ha, ha.

– Skąd wiesz, że ukradł sędziemu tak ważny dowód? Cóż to za gówniane śledztwo zostało przeprowadzone w tym trzydziestym piątym?

– Eladio powiedział mi: „Od dziesięciu lat próbuję wejść do tej nory, ale on nigdy nie otwiera drzwi. Gromadzi stare żelastwo, aż wzrośnie cena, i wtedy sprzedaje je do hutniczych pieców”. Ale łańcuchów jeszcze nie sprzedał. Wiesz dlaczego? – Nadstawiam ucha. Luciano znowu się zaśmiewa. – Ma nadzieję, że za parę lat staną się muzealnym eksponatem... Wiesz, ile są warte łańcuszki Kleopatry? Pieprzony cwaniak.

– Czyli że łańcuchy nigdy nie stanowiły materiału dowodowego w śledztwie. Nikt nawet nie dochodził, kto je ukradł... A mógł to być sam morderca. Więc jeśli ja teraz wiem, kim był złodziej, powinienem umieścić go na liście podejrzanych.

– Jak widzisz, nie mogę ci pomóc – uśmiecha się niebieska koszula. – Nie tylko chodzi o kłódkę, która jest na tamtych drzwiach, ale i o to, że Ermo jest centralnym ogniwem wśród przemytników... Zawsze te ogniwa! – Zmienia mu się wyraz twarzy i jest bliski, żeby złapać mnie za kłapy marynarki. – Opisziesz też i tę naszą rozmowę? Kiedy i jak to zrobisz?

Jest rozgrzany. Mocno go wzięło.

– Powiedzmy, że właśnie ją napisałem.

Odchodzę, a on tym razem nie idzie moim śladem, nawet w odległości pięćdziesięciu metrów.

Nie udaje mi się wygrać z lamentami mojego ciała, które nasilają się na samą myśl o wchodzeniu do łóżka. Z jednej strony jest *ama*, na której moje rany mogłyby dokonać prawdziwego spustoszenia; a z drugiej, pilna potrzeba uporządkowania w głowie myśli.

Din-don-din dzwonka sprawia, że odwracają głowy kobieta w sukience w ciemne kwiaty i Koldobike, która zawija dla niej książkę. Na pożegnanie kobieta rzuca jej enigmatyczne: „Wyglądasz olśniewająco”. Umieszczam parasolkę w stojaku na parasole. Koldobike wychodzi zza kontuaru i poświęca mi całą uwagę – wnikliwie bada moją twarz, po czym bierze mnie pod ramię i przechodzimy na drugą stronę księgarni aż do parawanu, który za jej sprawą powrócił na swoje miejsce. „Siadaj”, rozkazuje mi, „wyglądasz jak ruina człowieka”. Nie siadam, to ona mnie sadza i dodaje, zdzierając ze mnie prochowiec, kapelusz i marynarkę, poluzowując mi krawat i odpinając guzik przy szyi: „Ludziom twojego zawodu przydałoby się wstawić do biura łóżko polowe. Zajmę się tym. Tymczasem...”. Popycha oparcie krzesła, na którym siedzę, do tyłu.

Każę mi wstać, obraca krzesło o sto osiemdziesiąt stopni, sadza mnie na nim znowu i popycha oparcie, dopóki nie oprze się o krawędź biurka. Nie jest to łóżko horyzontalne, ale czterdzieści pięć stopni nachylenia, których – z czego właśnie zdaję sobie sprawę – potrzebowałem.

– Jesteś prawdziwym skarbem, malutka. Dlaczego się mną tak opiekujesz? Mam szczęście, otaczają mnie same kobiety.

Koldobike patrzy w drugą stronę i wyrokuje:

– Tacy mężczyźni nawet nie pomyślą, żeby się ożenić.

Teraz rozsznurowuje mi buty, żeby je ze mnie zzuć, i po tej operacji przeskakuje gwałtownie na inny temat:

– Była tutaj pewna czarna wdowa, chciała cię wynająć...

– Wytłumaczyłaś jej, że w tym momencie... W co była ubrana?

– Satynowy kostium, narzutka z jedwabiu z kaszmiem, słomiany kapelusz z szerokim rondem, torebka i pantofle z krokodylej skóry... Wszystko czarniusieńskie.

– I ciemne okulary.

– I ciemne okulary, oczywiście. Tajemnicza dama dysponująca środkami.

– Kasuję tak samo wszystkich klientów – pięćdziesiąt peset plus wydatki.

– Kiedy się na to zdecydowałaś? I dlaczego tylko pięćdziesiąt? Na razie nie musisz się obawiać, że komuś wyda się to za dużo.

Patrzemy na siebie i nawet się nie uśmiechamy – takie historie tworzą klimat.

– Był też ów negurijczyk, przyszedł kupić największy karton na swoją mapę Getxo.

– Ten od kroków.

– Powiedział mi, że plan kraju w krokach jest bardziej ludzki od tego w kilometrach i że udało mu się już zliczyć całe wybrzeże w Getxo.

– Psychiatrzy pójną jego śladem.

– A co byś pomyślał, gdybym ci powiedziała, że pewien intelektualista, na oko pięćdziesięcioletni, w grubych rogowych okularach szukał *Głębokiego snu* i płacąc za książkę, powiedział mi... teraz uważaj: „Nasze morderstwo sprzed dziesięciu lat zostało wybudzone z głębokiego snu”? No, co byś pomyślał?

– Głupi żart... Co bym pomyślał? Nie wiem... Może, że dzięki staraniom udało mi się w kimś obudzić zainteresowanie działem specjalnym. Byłoby to moje jedyne osiągnięcie... Nie zapomnij uzupełnić Chandlera.

– Powinam w takim razie poprosić o dodatkowe egzemplarze całej serii, bo będziemy mieli kolejkę do drzwi... Jak się czujesz w tej pozycji?

Staram się podnieść, ale ona popycha mnie do tyłu. Próbuję znaleźć lepszą pozycję i opowiadam jej o ukradzionych łańcuchach przez Josebę Ermo i o twarzy falangisty, którą Etxe widział we mgle. Mimo że Koldobike wprawiają w zdumienie jedynie własne odkrycia, co jest jedną z jej cech charakterystycznych, stoi z otwartymi ustami.

– Nie powiesz mi, że sprawa się wyjaśniła! – brzmi jak skarga, bo czuje rozczarowanie.

– Obawiam się, że nie. Lucio Etxe prawdopodobnie cierpi na urojenia.

– Urojenia? Daj spokój! – Nieprzewidywalna Koldobike wykonała obrót o sto osiemdziesiąt stopni. – Lucio Etxe już swoje wie o mgłach na plaży i jeśli uważa, że widział mordę tego typu, to znaczy, że tak było. Nie byłby mordercą doskonałym?

– Odkrycie Lucia Etxe jest pociągające. Nawet bardzo. Ale nie można mieć do niego całkowitego zaufania, choćby ze względu na rozgorączkowanie sytuacją, ciemność. Jak mogę opierać się na mglistej wizji sprzed dziesięciu lat?... Słuchaj, mała: jakie miejsce wybrałby Lucio Etxe, żeby kogoś zabić? Plażę, swoją plażę! Zna ją jak własną kieszeń, kocha ją, nie ma przed

nim sekretów: jej odgłosy, jej wiatry, cały cykl przyptywów, zwyczaj rybaków, którzy na nią przychodzą, jej skały... Tym, który okręcił łańcuchem bliźniaków, mógł być ten bezbranny bojaźliwy człowiek? Mając to na uwadze, historia, którą nas uraczył, byłaby czystym łgarstwem: krzyki, które usłyszał, kiedy przyszedł na plażę, i które zaprowadziły go na skałę Felixa Apraiza, daremne próby, żeby odcepić bliźniaków, głowa Leonarda całkowicie zanurzona, desperackie błagania Eladia, żeby poszedł poszukać pomocy, bieg do kuźni Zallów i powrót na miejsce z nimi, uwolnienie ocalałego... Czcze wymyślił godne powieści!

– Wydaje mi się, że źle z tobą – oznajmia Koldobike, kręcąc głową. – To przez ten łomot, który ci spuścili. Pójdę rozłożyć sofę, którą mamy na zapleczu, żebyś mógł się na niej położyć, jak Pan Bóg przykazał, dopóki nie zapadnie zmrok i twoja siostra nie zapali w domu świec... Gdzie cię boli?

– Lewa strona.

– Przyniosę maść. Ale teraz lepiej już, żebyś się zamknął.

– Struny głosowe mam w stanie nienaruszonym... Félix Apraiz – chociaż zbrodnia została popełniona na jego skale, kto uważa, że przez to jest bardziej podejrzany? To nowe ujawnione fakty sprawiają, że wydaje się bardziej podejrzany od innych – małżeństwo nie zapomniało tej koszarnej nocy. Minęło dziesięć lat, a obydwójce ją pamiętają, punkt po punkcie. Dlaczego? Félix Apraiz cierpiał na bezsenność i wyszedł na zewnątrz, żeby zebrało mu się na sen. Musiało tak się dziać często. Ale ta noc wydaje się inna, dlatego że na plaży zginął człowiek. Tak samo ona, jak i on wyznali mi, że to morderstwo sprawiło, że owa noc stała się niezapomniana. Elixane Garro myślała, że jej mąż „miał okazję, żeby zabić”, i tej trwogi najwyraźniej nie udało jej się jeszcze pozbyć. A jeśli chodzi o Felixa Apraiza, wyznał mi, że ta niewesoła myśl jego Elixane napawała go niepokojem od tamtego czasu. Ale może udałoby nam się dojść do prawdy, jeśli wprowadzilibyśmy drobną poprawkę – jeśli mąż, zamiast być jedynie podejrzany, zostałby podniesiony do rangi mordercy. Wówczas ta dziesięcioletnia trwoga powinna nazywać się poczuciem winy, które spoczywa ciężko na barkach ich obojga.

– Twojemu językowi też przydałby się odpoczynek – mówi, popychając mnie w stronę sofy.

– A co powiesz o kowalach? Dobrana z nich para, ojciec i syn! Tomasón nie łamał sobie zanadto głowy, kiedy sprzedał mi tę samą historyjkę, którą jego ojciec Antimo uraczył w tysiąc dziewięćset trzydziestym piątym policję i całe miasteczko. Pobiegli na plażę... co innego mogli zrobić? Przecięli kołnierzyk Eladia... co innego mogli zrobić? Etxe nie tylko po nich poszedł, ale później obserwował, jak starają się przepiłować łańcuchy. Może mogli ocalić Leonarda, chociaż miał już głowę pod wodą. Może naumyślnie przeciągali czas (osiem powolnych ruchów piłą zamiast czterech, które by wystarczyły; jak taki ignorant jak Etxe mógłby to zauważyć?). Za długie przeciąganie byłoby niebezpieczne i łańcuchy w końcu musiały puścić. A ogniwa nie powiedzą! Może Antimo Zalla i jego syn wyszli już po raz drugi tej nocy albo przynajmniej ojciec. Załóżmy, że tak było, wówczas Lucio Etxe wyciągnąłby ich nie z łóżek, tylko spod zimnego strumienia wody, którą chcieli przemyć sobie kark, żeby się odświeżyć; nad morderstwem trzeba się mocno napocić. A syn? Mówi o ojcu i psie! Musiał być pomocnikiem.

– I ty podtrzymujesz, że nie udaje ci się śnić na jawie? – pyta Koldobike, odchodząc, żeby obsłużyć klienta, który po chwili wychodzi z pustymi rękami.

Koldobike wychodząc, przekręciła klucz i zostawiła mnie zamkniętego, żeby nikt mi nie przeszkadzał. Pierwsze, co robię, to zmieniam pozycję. Wstaję i wydaje mi się, że kości odzyskują swoją powinność. Pomagam im, ruszając z miejsca. Moje kroki mierzą trzy razy długość księgarni, tyle samo razy defiluję przed świętym działem specjalnym. Czy dowody, które

już mam, wystarczyłyby im, żeby rozwiązać sprawę?

Siadam przy czerwonym stoliku Koldobike, uginając się pod protestem mojego szkieletu. Mawiają, że uderzenia bolą bardziej w miarę upływu czasu.

Czyjaś postać zarysowała się w szybie po drugiej stronie drzwi. Nie naciska na klamkę, nie puka i nie ma najmniejszych wątpliwości, że mnie widziała. Ogranicza się do stania tam, żebym mógł ją zobaczyć; to znaczy, pozwala mi podjąć, bez nacisku, decyzję. Po sylwetce i berecie rozpoznaję, a przynajmniej takie mam wrażenie, don Manuela, nauczyciela. Jeśli brakuje mu jakiegoś podręcznika do szkoły, wybrał sobie nie najlepszy moment. Nie pozostaje mi nic innego, jak mu otworzyć.

– Witam don Manuela.

– Co słysząc, Sancho? Widziałem przed chwilą Koldobike na ulicy i przyszedłem... Ta dziewczyna ostatnio dziwnie się zachowuje, nieprawdaż?... Przyszedłem porozmawiać z tobą sam na sam.

– Sam na sam?

Don Manuel jest wysoki i raczej szczupły. Jako uczniowie wołaliśmy na niego Tyczka. Był moim nauczycielem od siódmego do czternastego roku życia i zapamiętałem go bardziej przy kości niż teraz, to pewnie przez wojnę. Mężczyzna, jeśli jest nauczycielem, nigdy nie może uważać się za zacnego i sprawiedliwego, jeśli wcześniej nie zasłużył sobie u uczniów na te epitety. Don Manuel sobie na nie zasłużył.

– Chce pan usiąść? – proponuję.

Nie chce. Klepie mnie po ramionach, to jeden z jego odwiecznych braterskich gestów, i prowadzi do parawanu. Tutaj też nie siada.

– Jak się czują *ama* i siostra?

– Dobrze, a pan?

Ogranicza się do pokasływania.

– Dotarły mnie słuchy, że wyciągnąłeś z zapomnienia sprawę bliźniaków Altube.

Początkowo nie mogłem w to uwierzyć – ty, cywil, niebędący z nimi spokrewniony ani, jak przypuszczam, niebędący ich przyjacielem... Nie, nie krytykuję cię, jedynie się zdziwiłem. Pomysł nie wydaje mi się zły. Wręcz przeciwnie... Przyszło nam żyć w okropnych czasach, jednych z najgorszych dla naszego miasteczka. Szykanują nas, zabijają, prześladują nasz język. To prawdziwy cud, że nie oni zainteresowali się odnalezieniem zabójcy syna Roque Altube. Wprawdzie mamy już przerażająco dużo nieżyjących, ale tym razem chodzi o zamordowanego innego rodzaju – nie tylko o syna Roque Altube Uribe Gaztañerrotę, ale o morderstwo popełnione w Getxo, nieznanym jeszcze wojny, nieznanym frankistowskiej inwazji... Wiesz już, dokąd zmierzam?... Zabił go ktoś stąd! Kto? Przypuszcza się, że inny Bask. I na tym polega niebezpieczeństwo: nie mógł to być Bask... nawet jeśli w Getxo należymy do większości. Ale są też i ci inni, nie Baskowie. I musiał to być jeden z nich. Dlatego, Sancho, że my Baskowie nie zabijamy, a już na pewno nie w taki sposób.

Trzymam się z dala od tego typu poglądów, niemniej twarz człowieka, którego mam przed sobą, zdaje się nikać w oczach. Ośmielam się mu wskazać:

– Odwołując się do czystych zasad arytmetyki, prawdopodobieństwo, że...

– Nie mieszajmy do tego nauki, tutaj chodzi o to, kim jesteśmy – przerywa mi.

– Pana zdaniem powinienem podejrzewać tylko tych, w których żyłach nie płynie baskijska krew...

Don Manuel posunął się za daleko i rozumuje chyba właśnie w ten sposób. W jego ręce pojawia się biała chusteczka, bezgłośnie wyciera sobie nos i powoli chowa ją do kieszeni spodni.

– Dziwi mnie, że nie udało im się ciebie wyprzedzić, a mieli taką okazję. Dla nich to nic



nie znaczy: wybijający się Baskowie! Na szczęście, ty przywrócisz wszystko na właściwe miejsce. – Robi przerwę, żeby przypatrzeć mi się między mrugnięciami. – Dlaczego?... Tak, właśnie: dlaczego?... Przypuszczam, że nie kieruje tobą chęć pozbawienia ich przyjemności obrzucania nas błotem.

Jeśli musiałem wyznać swoje powody innym, dlaczego nie zrobić tego teraz przed osobą, która najlepiej je zrozumie, przed moim byłym nauczycielem literatury?

– Piszę powieść kryminalną, która dotyczy tej sprawy.

Chwilę ociąga się i wykrzykuje: „Piszesz?”, po czym zaraz dodaje:

– Ach, tak, teraz sobie przypominam, dostawałeś bardzo dobre stopnie z wypracowań, nieźle ci szło. Miałeś dobry gust, pomysły, lekkie pióro. Twoje streszczenia lektur były błyskotliwe, stawiałem ci dobre stopnie.

– Tym razem brakuje mi niestety właśnie pomysłów.

Nigdy nie przeszkadzało mu, że mieliśmy odmienne zdania. Jego umysł nadal świetnie pracuje, bo mówi mi:

– Hołdowanie dyktaturze rzeczywistości. Mówiąc innymi słowy, zapisywanie jej... Ach! Teraz sobie przypominam, że pisałeś już wcześniej. Powieści kryminalne. Co się z nimi stało? Dałeś mi kiedyś jedną do przeczytania. – Na jego twarzy kładzie się cień grozy. – Mój Boże! Czyżbym to ja był winny, że...? Postawiłem jej bardzo niską ocenę. Rozmawialiśmy potem i nie złagodziłem swojej opinii. Coś tam czytałem z powieści przygodowych, policyjnych... jak zwał, tak zwał. Twoja mnie znudziła. Wyczekiwałem kolejnych wizyt starego ucznia z nowymi pomysłami, ale nigdy nie wróciłeś. Później dowiedziałem się, że nadal pisałeś, na szczęście dla samego siebie. Chyba nie byłem sprawiedliwy.

– Owszem, był pan. Napisałem szesnaście powieści, wszystkie zostały odrzucone przez wydawnictwa. Wszystkie!

– Musiało ci być ciężko. Przykro mi.

Jestem pewien, że zwrócił uwagę na moją twarz, ale dopiero teraz ośmielił się delikatnie pogłodzić ją opuszkami palców. Zastanawiam się, czy podobne muśnięcie miało miejsce kiedykolwiek indziej, czy takie rzeczy wydarzały się w sposób naturalny. Czy raz na zawsze zostawiamy za sobą tego typu kontakty między kręgowcami, które nie są nawet pieszczotą, czy już nigdy nie zapominamy?

– Zamieniasz powieści kryminalne w realizm? – dopytuje. – W co ty się wpakowałeś, Sancho?

– Jestem nieszczęśnikiem, który prowokuje wydarzenia, żeby móc w nich potem uczestniczyć, a następnie je opisywać. Nie wiem, co z tego wyjdzie, ale nie umiem pisać w żaden inny sposób. I mogę przysiąc na wszystkie świętości, że jeśli coś wychodzi spod mojego pióra, to znaczy, że może się zdarzyć... dlatego że już się zdarzyło.

Don Manuel osłupiały powtarza tylko: „To ciekawe, to bardzo ciekawe...”. Wyjmuje ponownie chusteczkę i wyciera nos. Później kaszle. Po raz pierwszy odwraca ode mnie wzrok.

– Czy wyobraźnia nie jest jedną ze ścieżek, żeby pokazać rzeczywistość? – pytam.

– Przeznaczeniem wyobraźni nie może być nic innego jak rzeczywistość; inną rzeczą jest fantazja. Tylko że ja odnalazłem drogę na skróty.

Don Manuel pospiesznie skleca parę zupełnie niepotrzebnych zdań.

– Naturalnie, naturalnie, Sancho, jestem z tobą, literatura jest nieograniczona... Słuchaj, nie chcę zatruwać ci życia, ale powinienes poznać pewną myśl, która kielkuje mi w głowie od lat. Dokładnie od dziesięciu, dziesięciu lat. Od tego zdarzenia na plaży, wymierzonego w naszą społeczność, w nasze miasteczko. – Jestem pewien, że nie zmienia tego ostatniego zdania ze względu na siebie, tylko robi to przez wzgląd na mnie. – Nie ma mordercy. To było złe

obliczenie ich samych.

– Chyba pana nie rozumiem.

– Bliźniacy sobie to wszystko zaplanowali. Chcieli dać nam się poznać jako ofiary, zmiękczyć nasze serca. Dlaczego? Już nawet oni sami zrozumieli, że za wiele czasu atakowali nas propozycjami godnymi niemiłosiernych oszustów i że Getxo było o krok, żeby wybuchnąć.

To ostatnie, czego spodziewałem się usłyszeć w tej sprawie, a nawet na tym świecie.

Reaguję jedynymi słowami, które mogą usprawiedliwić ten bezsens:

– Pan, jak widzę, ma na celu pozbawienie tej sprawy wszelkich znamion przestępstwa...

Czasami trzeba zaakceptować rzeczy, jakimi są, choćby nam się nie podobały.

– Wiem, że ciężko w to uwierzyć, mnie też to sporo kosztowało... Tak, Sancho, zaręczam cię, że mnie też. Tylko oni mogli umyślić coś tak demonicznie pokrętnego. Aż do tego stopnia, że im nie wyszło – musiała zburzyć się w jakimś miejscu struktura tak doskonała, ale z woli kaprysów zarówno atmosferycznych, jak i ludzkich.

Odpowiadam szczerze, że nie mam bladego pojęcia, o czym mówi. Ale on obrał już kierunek i stracił wszelkie proporcje.

– Moje myśli długo wokół tego krążyły – ciągnie – dziesięć lat zastanawiania się... Zabić jest prosto, nawet dwie osoby jednocześnie. Istnieją bezpośrednie metody dobrze znane. Bezpośrednie. Oni wybrali jedną, bardzo skomplikowaną. Ich interesy, firmy handlowe, spółki i inne były od zawsze fuszerkami, można by było pokusić się o porównanie, że tuczyli się intrygami. Ale ich plan, żeby nas zmiękczyć, był wszystkim, tylko nie fuszerką... Słuchaj, chodziło o to, żeby upozorować, że ktoś przywiązał ich łańcuchami do tej skały, żeby się potopili i żeby w ostatnim momencie zostali ocaleni przez jakąś miłosierną duszę, która tamtędy przechodziła. Kto? A kto przychodzi ci do głowy, Sancho? Kto codziennie pierwszy drepce po plaży i, co najważniejsze, „o tej samej porze”? Etxe! Kto, jeśli nie on?... Eladio i Leonardo, którzy na niego czekali, zwrócili jego uwagę przeraźliwymi krzykami. Lucio Etxe dociera do nich, chce ich uratować, pociągając za łańcuchy, ale mu się nie udaje. W końcu słucha wykrzyczanych poleceń i pokonuje pół plaży i wzniesienie, szukając Zallów, którzy ratują ze skały żywego Eladia i jego martwego brata...

– Wszyscy o tym dobrze wiedzą.

– Jeszcze chwila spóźnienia i obaj byliby trupami.

– Nie wiem, do czego właściwie pan... Spóźnienia? Jakiego spóźnienia?

– Spóźnienia albo wyprzedzenia. Spóźnienia Lucia Etxe albo wyprzedzenia przyływu z winy galicyjskiego wiatru. – Poczul dumę naukowca, który po raz pierwszy ujawnia swoje wielkie odkrycie. – Mieli wszystko doskonale przygotowane, a ubaw taki, jak wtedy, kiedy obmyślali którąkolwiek ze swoich ciemnych sprawek. Osią, dookoła której wszystko się kręciło, był Etxe, godzina Etxe, piąta rano. Bliźniakom musiało zająć parę dni albo nawet tygodni, żeby zliczyć wszystkie czasy...

– Jakie znowu czasy? – pytam i nie umiem zapanować nad ustami, na które wkrada się uśmiech. Niech będzie, też umieram z ciekawości, żeby dowiedzieć się, po jaką ekstrawagancję teraz sięgnie.

– Dwa czasy: przed i po Etxe. Chociaż musieli mierzyć do tyłu: po Etxe i przed Etxe, w tej kolejności. Po Etxe, czas, który mu zajmie pójście do i powrót z Cuatro Caminos, tym razem z kowalami. Sześćdziesiąt minut? A do tego należało dodać inny czas: ten, który zajął Zallom przepięłowanie łańcuchów. Piętnaście, dwadzieścia minut, biorąc pod uwagę przyływ i fale, które w nich uderzały? Czyli powinniśmy liczyć w sumie jakieś siedemdziesiąt pięć, osiemdziesiąt minut... Skończyło się... Ten czas, drugi, porównali z pierwszym, o ile wznosi się poziom wody, i w ten sposób wiedzieli, ile czasu muszą dać przyływowi, żeby sięgnął ich

głów... Ale coś im nie wyszło.

– Wszystko to bez mordercy?

– Bez mordercy. I bardzo mi przykro, bo twoja historia zostanie bez powieściowego finału.

– Na przekór wszystkiemu miałyby finał – Eladia Altube oskarżono by o nieumyślne spowodowanie śmierci... przypuszczając, że w prawie ustanowionym przez Franco figuruje taki paragraf, w co, szczerze mówiąc, wątpię.

– Nie figuruje. W dalszym ciągu obowiązują prawa wojskowe, według których jednych zabijają bezkarnie, a innych skazują na śmierć w procesach bez obrony. – Patrzy na mnie odprężony. – Tak, to byłby finał: Bask, który nie miał intencji zabić.

Teraz jedynym wyjściem jest zburzenie jego spokoju.

– Eladio Altube padł ofiarą jeszcze dwóch zamachów po tym pierwszym.

Don Manuel zdejmuje beret i chucha na niego delikatnie. Mimo że ledwie przekroczył pięćdziesiątkę, kolor jego włosów już ciąży ku siwiźnie.

– Nie będę nalegać. Widzę, że wzięłeś bardzo na serio swoją powieść i życzę ci szczerze, żebyś zdołał ją skończyć. Ten tutaj biedny nauczyciel z góry błogosławi twój finał, obojętnie jaki będzie. To tak, jakbym zadał mojemu byłemu uczniowi skomplikowane wypracowanie... dodatkowy powód, żeby mieć na ciebie oko. – Nakłada sobie beret na głowę z lekkością kogoś, kto wie, że zawsze będzie na nim dobrze leżał. – Czy ma z tym cokolwiek wspólnego zachowanie i wygląd twojej pracownicy?

Odruchowo głaszczę mój poluzowany krawat.

– Ach! Jeśli dobrze pamiętam, nigdy nie chodziłeś w tym gałganku. – Odwraca się i odchodzi ode mnie po raz pierwszy, po czym zatrzymuje się przed działem specjalnym, przeskakuje oczami po grzbietach i gładzi je opuszkami palców. – Czemu nie? Oni nie odważyli się na tyle, na ile ty, Sancho. Opisali rzeczywistość, którą widzieli, dorzucili trochę przemocy, miejscami ją osłodziли. Ty swoją uprowadziłeś. Co czujesz, kiedy widzisz pod każdym ruchem pióra tyle prawdziwego życia? Są książki, które same wpadają nam w ręce, i twoja taka będzie... Czy dobrze mówię? – Odwraca twarz, żeby spojrzeć na mnie przez sekundę, ale nie czeka na odpowiedź i kontynuuje to, co zaczął: – Nie mogło być inaczej, ubierali się po amerykańsku, jak jankesi, jeśli wolisz. I jeśli ktoś, ty, zakochany w którejś z ich powieści potrzebuje użyć tego samego motywu... My, pozostali, upewnimy się co do naszego, chodząc w naszych baskijskich strojach: marynarkach kaiku, ręcznie robionych abarcach i beretach.

– Jak panu się podoba Samuel Esparta?

Znów patrzy na mnie, mruga i się uśmiecha.

– W Getxo brzmi lepiej niż Sam Spade. – Pokonuje cztery kroki, które nas dzielą. – Mam nadzieję, że przy tej okazji to habit uczyni mnicha... Nie wyrzucaj na śmietnik mojej teorii o bliźniakach. Nawet mnie samego fascynuje, choćby i nie była zgodna z prawdą. Ale jest zgodna. Ja tylko ją wydedukowałem, jej wynalazcami byli sami bliźniacy. Jest błyskotliwa i przekonująca! Trudno mi uwierzyć, że finał twojej powieści mógłby być inny. – Jego zmartwiony wzrok błądzi po mojej twarzy. – Uważaj na nadmiar realizmu.

Zmęczone plecy zbliżają się ciężko do drzwi, które otwiera, i din-don-din dzwonka dociera do mnie równocześnie z jego pożegnaniem:

– Jeżeli coś nie posuwa się naprzód w twojej opowieści, mało będzie mógł dla ciebie zrobić twój stary nauczyciel, który zatrzymał się na przekładzie *Don Kichota* na język baskijski i na jednym z największych talentów Cervantesa – na wyobraźni. Lepiej zwróć się o pomoc do tych Amerykanów. *Agur*.

## Morska bryza

O czwartej Koldobike znajduje mnie siedzącego przy kontuarze i przysypiającego ze skrzyżowanymi na piersi rękami. Prostuję się, słysząc równocześnie dzwonek i jej silny głos:

- Widzę, że otwierałeś komuś drzwi.
- Przyszedł don Manuel, nauczyciel.

Opatruje ponownie moją twarz i smaruje maścią fioletowe śliwy.

- O jaką książkę pytał?

– O żadną... Posłuchaj, laleczko, mało brakowało, a całą sprawę, powieść i sprawiedliwość diabli by wzięli. Zgadnij, z czym tutaj przyszedł nauczyciel. Że to sami bliźniacy przywiązali się łańcuchem do skały i czekali na przyływ, żeby w ostatnim momencie Etxe i kowale mogli ich uratować! I dlaczego? Żeby zdobyć nasze współczucie.

Ręka Koldobike podtrzymująca wacik zatrzymuje się w powietrzu.

- Dyrzymały – pogwizduje.

- Kurczowo trzyma się wiary w ludzką dobroć, którą w Getxo reprezentują Baskowie.

Jest niezmordowany.

– Wiesz, co ci powiem? To najgłupsza rzecz, jaką kiedykolwiek słyszałam. Równie dobrze dwie łasice mogłyby wpaść celowo w pułapkę, żeby zaprzyjaźnić się z kurami.

– Mimo wszystko ten pomysł jest całkiem przekonujący. Nie wiem tylko, do kogo należą prawa autorskie: do bliźniaków czy don Manuela? Nie ma wątpliwości, że nauczyciel od lat nad nim pracował.

- Bzdury – mruczy Koldobike zajęta moją twarzą.

– Nie mogę tak łatwo go odrzucić. Byle komu nie przyszłoby do głowy coś tak skomplikowanego. Choć pełnego ryzyka. Nikt nie potrafi przewidzieć nieprzewidywalnego ani sił natury.

- Zaczynasz nudzić. Idź i połóż się na tej ładnej sofie.

- Nie mogę tracić więcej czasu, muszę myśleć. Nic mnie już nie boli.

Kiedy leżę w barłogu, jej zaciśnięta piąstka naciska z całą siłą na moje nerki, ale udaje mi się zdusić w sobie jęk.

– Tak bardzo zajmuje cię coś innego, że zapominasz o swoim ciele. Przewróć się na drugą stronę.

Kładę się na wznak, a ona przykłęka obok na podłodze, zamierzając się butelką. Podciągam koszulę i podkoszulek, żeby wydobyć je z za paska spodni, i odsłaniam przed tą kobietą nagą pierś, z której nigdy tak naprawdę nie byłem specjalnie dumny. Prawa ręka Koldobike obmywa centymetry kwadratowe mojego ciała tak delikatnie, że przypomina to pieszczotę.

Oddaję jej moje plecy, a Koldobike z premedytacją wykorzystuje okazję. Do tej pory udawałem głuchego na swoje poobijane ciało, które jej zabiegi przywracają z nierealności do życia. Dopiero teraz przeklinam falangistę i uzyskując duchowy spokój, przymykam zmęczone powieki.

Zrywam się niczym wichur. Zapadł zmrok, ale po prawej, na podłodze, dostrzegam snop światła.

- Koldobike – wołam – muszę porozmawiać z lekarzem, z don Juliem Inchauspe.

Snop światła staje się coraz jaśniejszy, w miarę jak się do mnie zbliża, aż zamienia się

w oślepiający reflektor.

– Spaleś trzy godziny, te, których ci brakowało. – Koldobike zarysowuje się na progu.  
– Chodź tutaj, to ci opowiem.

Wycofuje się, wcześniej przykryła mnie moją marynarką. Kiedy zwlekam się z sofy i wstaję, moje nogi znajdują się już poza rupieciarnią. W łazience obmywam twarz.

– Był tu znowu ten typ, który drepcze po Getxo. Szukał jakiejś książki, w której przypadkiem pojawiałyby się odległości odmierzone w krokach. Byłby bardzo niepokojony, gdyby taka istniała. Chce być pierwszy. Dał mi listę. „Zatrzymaj ją sobie”, powiedział. „Ja mam drugą. Poszukaj tych pozycji, zbadaj, zachowaj się jak księgarz z prawdziwego zdarzenia”. Jakbym nie miała nic lepszego do roboty! Posłuchaj: *Heraldyka z kościelnego dziedzińca w Getxo* markiza Ciadoncha, artykuł z jakiegoś magazynu. *Spacer po Las Arenas i Algorcie* i *Alkad Tangory*, obydwie Rochelta. Poza tym dowiedział się, że jakiś trynitarz zwany Gorostiaga pisze historię Getxo i prosi nas, żebyśmy się go zapytali, czy odmierza odległości w krokach... Jak ci się to widzi?

– Teraz bardzo mi się spieszy.

– Po co chcesz zobaczyć się z don Juliem? Lepiej będzie, jak pójdziesz prosto do domu i zapalisz świece.

– Był tam tamtej nocy. Moich oczu tam nie było, ale jego owszem. Może udało mu się zobaczyć więcej niż Luciowi Etxe i kowalom.

– Tak samo jak i cudak falangista.

– Naprawdę mam zamęt w głowie i muszę zaczerpnąć świeżego powietrza.

Don Julio Inchauspe mieszka mniej więcej w połowie Avenida de Larragoiti, długiej alei, która przecina Algortę. Mam nadzieję, że chorzy nie zmusili go do wyjścia z domu. Czy istnieje ktokolwiek w naszej gminie, kto nie był przez niego leczony, zdiagnozowany, komu nie przepisał żadnych medykamentów albo przynajmniej kogo nie przyjął, żeby denat mógł od niego uzyskać swój akt zgonu? W zaułku między jego domem a sąsiedzkim unosi się rybi zapach, przynoszony przez odpływ morza w Ereadze. Dopiero co zapalono uliczne latarnie.

Pierwsze piętro. Unoszę małą kołatkę. Jest. W bardzo małej poczekalni czekają przede mną trzy osoby. Don Julio ma około pięćdziesięciu pięciu lat, jest uprzejmie życzliwy, a aptekarze od pierwszych liter rozumieją jego recepty. Ścisną moją dłoń, zanim z powrotem siada za biurkiem.

– Witaj, Sancho. Miałem cię bardziej za księgarza niż za chorego.

Dlaczego jego spojrzenie nie miałyby się potknąć o mój garnitur, krawat i kapelusz, który trzymam w ręce?

– Nawet pan sobie nie wyobraża, co mnie tu sprowadza – zaczynam, w dalszym ciągu stojąc. – W Getxo dziesięć lat temu popełniono morderstwo, które pozostało bezkarne.

– Tak, przypominam sobie, na plaży – mówi, mrugając. Wydaje mi się, że dostrzegam w nim niepokój. – Tak, bliźniacy, jeden z nich... Ale, siadaj.

Korzystam z jego zachęty.

– Pan kupuje u nas powieści...

– Od czasu do czasu.

– Pamiętam, że kiedyś kupił pan *Sokoła maltańskiego*.

– Ach, tak... Bardzo lubię mocną literaturę.

– Tym, czym się zajmuję, nie jest fikcja, a rzeczywistość. – Zwyczajnie mnie nie rozumie.

– Zostałem prywatnym detektywem.

– Bardzo ciekawe...

Myśli, że oszalałem, i gdyby miał, naciskałby teraz dzwonek alarmowy pod biurkiem.

– Tej nocy wezwali pana i zszedł pan na plażę. Musiał pan zauważyć wiele rzeczy.

– To było raczej rano.

Pamięta.

– Czy zrobiłby mi pan tę przyjemność i opowiedział, co się wówczas zdarzyło? W tego typu powieściach ktoś musi naprzykrzać się z pytaniami.

– Powieść?... Nie denerwują mnie twoje pytania. Powinniśmy być ci wdzięczni. Twoja chęć, żeby wymierzyć sprawiedliwość, jest urzekająca.

– Nie powoduje mną sprawiedliwość, tworzę literaturę.

Podejrzewam, że jego palec w dalszym ciągu spoczywa na guziku alarmu. Jednak on podnosi się i po trzech krokach staje przed zamkniętymi drzwiami balkonowymi, drapie się po czole i wpatruje w zapadający zmrok.

– Tak, oczywiście, że pamiętam, i jestem ci wdzięczny za to, że do mnie z tym przychodzisz. Później wybuchła wojna i cały ten epizod został pogrzebany. To niesprawiedliwe, że ktoś, kto próbował zabić dwóch chłopaków, w dodatku w tak bezlitosny sposób, przebywa nadal na wolności. Przypuszczam, naturalnie, że przeżył wojnę. My, lekarze, jesteśmy świadkami wielu nieszczęść, ale to było inne, to nie był wypadek. – Odwraca się, jego surowa twarz nabrała jeszcze ostrzejszych rysów. – Położyli ich obydwu na pierwszej linii suchego piasku, jednego obok drugiego, tak jakby obydwaj byli trupami. Ale ten po prawej rzeził, mamrotał i oczy wychodziły mu z orbit z czystego przerażenia. „To Leonardo Altube”, powiedział mi świętej pamięci kowal Antimo Zalla, który w dalszym ciągu dzierżył piłę w jednej ręce. I dodał: „Sam mi powiedział”.

– Powiedział panu, że to Eladio Altube – staram się sprostować.

– Nie, Leonardo, nie pomyliłem się: Leonardo... Sam się go o to później zapytałem...

Zacząłem zajmować się drugim, zrobiłem mu sztuczne oddychanie, usta-usta, masaż serca... Nie udało mi się przywrócić go do żywych. Dałem za wygraną. Było mi ciężko. W takich wypadkach lekarz czuje się odpowiedzialny za klęskę. Wzruszyła mnie jego twarzyczka zagubionego chłopca. Chociaż nie mógł mnie słyszeć, musiałem powiedzieć mu: „Bardzo mi przykro, Eladio”.

– To był Leonardo.

– Zaczekaj, zaczekaj... Kiedy uklękłem przy drugim, którym wstrząsały dreszcze przerażenia i który marniał w oczach, rozpiąłem mu przesiąknięte ubranie na piersi i nachyliłem się nad ustami, z których wydobywało się niezrozumiałe gulgotanie, żeby zobaczyć, czy oddycha. Kiedy zmierzyłem mu puls przy szyi i zapytałem, jak się nazywa, żeby sprawdzić jego stan neurologiczny, z wypływającego z jego ust gulgotania dosłyszałem imię Leonardo, które wyzierało z tego wyczerpanego ciała.

Nie ośmielałem się po raz trzeci go poprawiać.

– Antimo, Etxe i ja staliśmy przy nich przez dłuższy czas... – ciągnie opowieść. – Młody Tomasón przyszedł i dobijał się do moich drzwi nocą, i przybyłem na plażę nie później niż jakieś dwie godziny przed sędzią i policją. Potem zawieźliśmy Eladia na górę do jego domu, na mule, którego ktoś przyprowadził...

– No wreszcie, Eladia!

– Ach, tak... Otóż okazało się, że zmienił imię, kiedy razem z Antimem usadzaliśmy go na zwierzęciu. Powiedziałem mu: „Pakuj się, Leonardo!”. Ta noc była potworna, ale tym, czego – jestem pewien – nie zapomnę po kres moich dni, było spojrzenie, którym mnie przeszył i jego słowa: „Proszę się z nas nie naśmiewać, panie doktorze. Tak pana bawi, że mój biedny brat leży tam bezwładnie jak kłoda? Serce to musicie mieć chyba z kamienia”. Stałem jak wryty. Antimo przyszedł mi z pomocą i zapytał... tego, którego tożsamość w dalszym ciągu była dla nas niejasna: „Kim, do diabła, jesteś?”. Odpowiedział nam, szlochając: „Przecież stoję przed wami.

Nie widzicie, że jestem Eladio?”. Antimo chciał mu coś odpowiedzieć, ale zamilkł, widząc moje znaki. Nie mam pojęcia, jak kował sobie wytłumaczyć tę zmianę. Moje wytłumaczenie było bardzo proste – zrozumiałem, że powtarzane przez niego imię było jego, podczas gdy w rzeczywistości był to jedynie lament za bratem zmarłym w wyniku potwornej agonii, którą on był zmuszony obserwować z bardzo bliska w charakterze świadka. „Leonardo, Leonardo, Leonardo...”, zanucona modlitwa na cześć już nieobecnego pośród nas. Jak mogliśmy wyobrazić sobie taki ból?

– A jest to jeszcze bardziej przerażające – wtrąciłem – jeżeli chodziłoby o rezultat operacji wymyślonej przez samych bliźniaków, którzy chcieli poruszyć serca w Getxo. Jest ktoś, kto podejrzewa, że mógł to być sfingowany zamach.

Don Julio wraca na zajmowane przez siebie miejsce z wyrazem najwyższego osłupienia malującego się na twarzy.

– Co za brednie! – wykrzykuje. – Chyba tylko jakiś obłąkaniec mógł wymyślić coś podobnego.

– Tyle że nie wzięli pod uwagę kaprysów natury.

– Wydaje się, że nie odrzucasz tej idiotycznej hipotezy...

– Wykazali się pomysłowością. To jedyne, czego nie odrzucam: ich inteligencja, którą musieli się wykazać, żeby skoordynować ze sobą czas i odległości. Oczywiście, pod warunkiem, że...

– Pod warunkiem, który nigdy nie zaistniał.

Studiuje uważnie jego twarz, zanim zadam mu kolejne pytanie.

– Czy widział pan na plaży coś jeszcze?

– Wydaje ci się, że to, co widziałem, to mało?

– Zawsze coś ucieka. Pan dotarł na miejsce, kiedy już to, co najważniejsze, się wydarzyło... Ale mógł zostać jeszcze jakiś ślad. Bardzo możliwe, że morderca nie odszedł od was daleko.

– Dlaczego? Co miałby tam robić? Według planu zdarzeń miał wystarczająco dużo czasu, żeby wziąć nogi za pas.

Z oczu don Julia Inchauspe sypią się iskry, wydaje się bardzo rozbawiony udziałem w tej zabawie historią.

– Nie chodzi mi o to, czy pan kogoś widział, ale czy poczuł pan czyjąś obecność – jakiś podejrzany hałas, oczy obserwujące was z ciemności... Sam Etxe nie tylko poczuł, ale wręcz rozpoznał twarz, która stała w oddali w ukryciu.

– Twarz w tych egipskich ciemnościach? No, dajże spokój... I ją rozpoznał. Kogoś, kto nie chciał się ujawnić... Dlaczego nie chciał? Znamy go? Przebywa pośród nas? – Nabiera powietrza i chyba też odwagi. – Kto to jest?

Podnoszę się z krzesła.

– Zrobiło się już późno – mówię.

– Niech będzie, to twoje śledztwo, ty je rozpocząłeś, ty je zakończysz i sam zadecydujesz kiedy. Poinformujesz mnie o jego przebiegu, Sancho?... Albo nie, zapomnij o tym. Powodzenia. I chcę tylko dodać, że jestem ci prawdziwie wdzięczny za wysiłek, który z pewnością doceni całe Getxo.

– Czy mógłbym pana prosić, żeby zwracał się pan do mnie moim nowym imieniem

– Samuel, Samuel Esparta? Lada dzień zamówię karty wizytowe i prześlę panu jedną.

– Ach.

## Łańcuchy

Cztery kroki od księgarni podchodzi do mnie Luciano Aguirre.

– Żebyś widział minę, jaką posłała mi twoja sekretareczka! Wydaje się w gorącej wodzie kąpana. Minęła mi już nawet ochota, żeby zaczekać na ciebie w środku.

– Od kiedy to nosisz ciemne okulary?

– Niech pomyślę... Zaczekaj... Zacząłem chyba dwa lata przed wojną, w Valladolid...

Co, też ci się podobają, nie? Przydawały mi się w potyczkach ulicznych z czerwonymi. Potem o nich zapomniałem, a teraz znowu je noszę.

– W powieści trzeba opowiedzieć o wszystkim – mówię mu. – Na przykład, powinieneś opowiedzieć o swojej obecności na plaży w noc morderstwa. Ten szczegół sprawi, że twoja powieść będzie lepsza od mojej, dlatego że mnie tam nie było. Napiszesz o tym?

Moje słowa przepelnia radość.

– Dziękuję ci za radę, Samuelu. Masz na imię Samuel, nie? Dziękuję ci za zaufanie, którym darzysz moje pisarskie zdolności. Widzę, że chcesz skruszyć mur między nami.

– To byłaby wspaniała scena, czysty realizm. Zazdroszczę ci, że mogłeś ją oglądać na własne oczy. Narrator świadek, który w tę krytyczną noc mógł obserwować podejrzanych! Albo nawet więcej niż podejrzanych... A może morderstwo zostało popełnione przed twoim nosem i chowasz w rękawie imię winnego! Miałbyś wówczas przewagę.

Zdejmuje okulary, żeby lepiej mi się przyjrzeć.

– Słuchaj, to jakaś powszechna narratorska sztuczka gatunkowa? – Mruga do mnie porozumiewawczo. – Podpowiedz mi, co mam teraz odpowiedzieć, żeby ta scena przypadła ci do gustu. Chcesz czy nie, jesteś już w mojej powieści.

– Byłeś tam czy nie...

– To moja sprawa i tylko moja. Jestem zaledwie uczniem i muszę dobrze strzec wszystkich swoich perełek. Ale dziękuję ci i teraz ci dam...

Wyjmuje z kieszeni niebieskiej koszuli plik złożonych na pół kartek, wkłada mi je do ręki i pospiesznie odchodzi, tak jakby się bał, że mogę zacząć je od razu czytać i wygłaszać na ich temat opinie.

Tuż po przekroczeniu progu księgarni uwalniam z kieszeni plik kartek, który w niej schowałem. Wystarczają mi pierwsze trzy linijki, by się przekonać, że dotyczą Tomasona Zalli i jego syna – Luciano widocznie wszedł do kuźni zaraz po tym, jak ja z niej wyszedłem.

– Pięćdziesiąt dwie i sześćdziesiąt pięć – nuci Koldobike, wkładając pieniądze do koperty, którą mi następnie wręcza.

To dzisiejszy utarg.

– Mam wątpliwości, dokąd powinienem skierować się jutro.

– Odpocznij. Prześpij się. Nic się nie zmieni przez te parę dni... Jak ci poszło z don Juliem?

– Pół Getxo było na plaży tamtej nocy: Antimo Zalla i jego syn, Lucio Etxe, Luciano, a teraz dochodzi jeszcze lekarz, nie wspominając o Eladiu i Leonardzie Altube. Prawdziwe mrowie. Tylko mnie tam zabrakło.

– Jak ci poszło z lekarzem?

– Był na miejscu, ale niczego nie widział.



- Może nie było już czego oglądać. Kiedy się pojawił, było po wszystkim.
- Może. Ale w powietrzu nad plażą musiała się unosić jakaś niepewność, jakiś specjalny zapach, wyładowanie elektryczne, zagubione echo jakichś krzyków... A plaża, która widziała to wszystko, też milczy.
- Plaże nie mówią. Jeśliby mówiły pokoje, lasy, ulice, cmentarze, a nawet koty i papugi, nie potrzebowałibyśmy prywatnych detektywów.

Światło w domu, w którym poruszają się sylwetki amy i Elise, dają świece. Elise wita mnie na korytarzu, trzymając jedną, którą przybliżyła do mojej twarzy.

- Widział mnie lekarz – uspokajam ją.
  - Co za nowina. A widział twoją twarz?
  - Miał ją cały czas przed sobą.
  - I?
  - Do wesela się zagoi.
  - *Ama* pytała dzisiaj, co ci się stało i dlaczego prawie w ogóle cię nie widuje.
  - W świetle świec będzie mnie widziała jeszcze mniej.
- Witam się z nią w kuchni, całując w czoło, a ona pyta mnie, czy już jadłem obiad. Żeby ją zmylić, odpowiadam, poprawiając ją:
- *Ama*, chodzi ci pewnie o to, czy jadłem już kolację.
- Jest zdezorientowana i jako że coraz mniej ufa swojej głowie, mruczy nieprzekonana:
- Tak, pewnie o to.
- A ja podsumowuję, uszczęśliwiając ją:
- Nie, nie jadłem jeszcze kolacji, amo. Dlatego przychodzę.
- Jemy zupę porową i popijamy mleko. Elise, moja starsza siostra, która od dwudziestu lat nie kładła mnie do łóżka, dzisiaj towarzyszy mi znowu. Siadamy na nim obydwójce.
- Powiesz mi, w co się wpackowałeś – prosi. – Nikt mi nic nie mówi, ale nie jestem głupia i docierają do mnie różne słuchy.
- Jej miodowym oczom w parę sekund udaje się sprawić, że moje naciągnięte żagle luzują się w ciszy morskiej, zwiastującej koniec żeglugi.
- Zawsze zachęcałaś mnie do pisania...
  - Lubiłeś pisać.
  - A teraz piszę naprawdę.
  - Biegając z jednego końca miasteczka na drugi?
  - Teraz opisuję życie. Miałem je tak blisko, a zapierałem się, żeby je wymyślać.
- Tak, wyznam jej wszystko. Jeśli jest ktoś, kto na to zasługuje, to ona. Naturalnie, zlekła się.
- Morderstwa to sprawa dla policji.
  - I dla pisarzy, którzy szukają dobrego tematu.
- Kaskada jej blond włosów nie tylko napawa mnie jeszcze większym spokojem, ale wręcz budzi we mnie niedyskretne pytanie, czy przypadkiem coś tak autentycznego nie przysłużyłoby mi się bardziej w pracy niż to, co mam w biurze.
- Jak na razie udało ci się jedynie dostać łomot.
- Zamiast wytłumaczyć jej, że podobne zdarzenia ulepszają moją powieść, całuję ją w policzki. Wstajemy, a Elise rozściela moje łóżko z namaszczeniem, z jakim ściele się kołyskę, i uchyla drzwi z zaleceniem:
- Uważaj na siebie.
- Kiedy się rozbieram, z kieszeni spodni wysuwa się plik kartek – jest to tekst Luciana.

*W wyniku losu kolei, w tym, i przede wszystkim, epickiego dzieła detektywistycznego, takiego jak to, które rozpoczął piszący te słowa, ten sam, który po dzień dzisiejszy czuwał nad ojczyzną, bacząc na nią z najwyższych gwiazd, można napotkać sekrety, o których nie śniło się nikomu, takie jak odkrycie w samym sercu baskijskiej wsi, ni mniej, ni więcej, tylko kuźni Wulkana, wielkiego boga i władcy ognia rozżarzonego, w tym samym momencie, w którym gotów jestem wyciągnąć prawdę z takiego jednego, którzy każe nazywać się Tomasonem, i z jego syna Jacinta. Jakie plany miały wobec mnie Parki, stawiając mi na drodze tych niemożliwie wielkich gigantów, gotowych zginać podkowy gołymi łapskami?*

*Są brudni i mają twarze kryminalistów. Nie zdziwiłbym się, gdyby to oni okazali się zabójcami Leonarda Altube, który, i nie mam co do tego wątpliwości, jest dużo lepszym Baskiem martwym, aniżeli byłby żywym. Ale silny impuls ciągnie mnie, żeby ujawnić tę niesprawiedliwość. Tak, jestem niby don Quijote, i by sięgnąć do źródeł tej niezwyklej historii, przeczytałem wczoraj, z cierpliwością godną Hioba, wszystkie stare raporty policji z Guecho i jakiegoś sędziego przegranej Republiki, z roku 1935, dotyczące osób przesłuchanych i obserwowanych, wszystkich ich podejrzanych o przywiązanie pewnej nocy bliźniaków Altube do skały na plaży, którą zwą Arrigunaga, żeby morze w czasie przyływu mogło ich pochłonąć.*

*W głębi kuźni, pośród ognia Wulkana, zarysowują się dwie sylwetki.*

*– Przychodzę do was, szukając prawdy. Kto zabił bliźniaka? Ostrzegam, mam swoje metody, żeby zmusić was do mówienia.*

*– Kolejny? – ryczy jeden z nich. I dodaje: – I ten, dużo gorszy. Kiedy my mamy pracować?*

Budzę się z ręką zwisającą z łóżka, dłoń unosi się nad kartkami papieru leżącymi na podłodze, których nie skończyłem czytać, bo zmorzył mnie sen, i z wypaloną do cna świecą na szafce nocnej. Zbierając kartki, upewniam się, że brakowało mi ośmiu do końca, widocznie sen przyszedł mi z pomocą.

Dziś był ten dzień, kiedy Elise szła poza domem, u jakichś ludzi, więc brat śpioch nie może jej zobaczyć, kiedy wreszcie zwleka się z łóżka. W świetle dnia i z amą, która bierze w panowanie wszystkie kąty, moje podróże po mieszkaniu są raczej potajemne.

Pojawiam się w księgarni po jedenastej i tym razem spotykam Luciana w środku. Zaczytuje się na stojąco, zwrócony przodem do działu specjalnego, jednym z tytułów, który natychmiast odkłada na swoje miejsce, kiedy mnie zauważa. Koldobike wzrusza ramionami i wskazuje na niego bezradnym gestem.

– Wiadomość, Samuelu! – wybucha typ, idąc w moją stronę. – Wczorajszej nocy rozcięli głowę Josebie Ermo i ukradli mu łańcuchy, które trzymał w swoim sklepie żelaznym!

„Znowu łańcuchy”, myślę. Koldobike i ja wymieniamy spojrzenia i jest to niemal tak, jakbym w jej oczach znalazł rewelację.

– Sądzę, że coś zaczyna się dziać – mówię, nie spuszczać z niej oka. – Nie rozumiesz? Do tej pory poruszaliśmy się po omacku, chodziliśmy od jednego miejsca do drugiego, a w nocy snuliśmy domysły. Morderca tymczasem siedział wygodnie w ukryciu. Ale teraz opuścił je, żeby wykonać swój ruch. Dlaczego?

– Nie zaczynaj, nie zaczynaj – mówi Koldobike, odgarniając włosy, które zakrywają jej jedno oko. – Koniec końców chodzi o łańcuchy, które mimo wszystko mają swoją wartość. A złodziei nie brak na świecie.

– To narzędzie zbrodni! Joseba Ermo trzymał je pod kluczem, a morderca sprawił, że zniknęły.

– W tej kradzieży widać rękę mordercy, prawda, Samuelu? – wtrąca się niebieska koszula.

– I sprawia, że znikają akurat teraz, po tym, jak przez dziesięć lat zwiły się ze śmiechu pod jego nosem? Ja też wyrzucam do kosza stare rzeczy – argumentuje Koldobike, odgrywając swoją zwykłą niszczyielską rolę.

– Dlatego, że teraz czuje niebezpieczeństwo w powietrzu! – wykrzykuje.

– To my jesteśmy tym niebezpieczeństwem! – ośmiela się rzucić nam typ.

Odwracam się do Koldobike.

– A pytanie brzmi, laleczko: Co takiego mogą nam powiedzieć te łańcuchy? Co nam, do cholery, mogą powiedzieć?

– Laleczko? – powtarza niebieski.

– Gdzie jest Joseba Ermo? – pytam go. – W szpitalu?

– Parę minut temu otworzył swój sklep zapasowym kluczem.

– Skąd wiesz o tym wszystkim?

– Eladio Altube opowiedział mi o tym, kiedy poszedłem na jego fermę, żeby...

– Tak, znam ja już wasze interesy. – Odwracam się znowu do Koldobike. – Muszę natychmiast iść do sklepu żelaznego.

– Idę z tobą – mówi falangista. I dodaje, widząc moje spojrzenie: – Przyniosłem ci wiadomość... Chyba zasługuję na coś w zamian z twojej strony?

Będzie się trzymał za mną w odległości pięćdziesięciu metrów. Rozumiem, że nie odstępuję mnie na krok, to na wszelki wypadek, gdybym przypadkiem miał z siebie puścić farbę, a on mógłby to później wykorzystać. Nie mogę przestać mu współczuć, w końcu ja również wywodzę się z tych samych pisarskich nizin.

Luciano pospiesznie otwiera drzwi i czeka na mnie, stojąc na ulicy. Chcę do niego dołączyć, ale Koldobike chwytą mnie za rękaw.

– Josebie Ermo dali w głowę patelnię, tak samo jak bliźniakom – mówi.

– Mordercy często używają tych samych metod.

– Ktoś zapewnia, że to możliwe, że bliźniacy sami wymierzili sobie ciosy, i jeśli teraz Joseba Ermo dał sobie sam po głowie, należałoby przypuszczać, że w Getxo mamy taką zabawę. Eladio, Leonardo, Joseba... niezłe ziółka z nich trzech! Czy to nie ciekawe, że teraz zaczęło ich coś łączyć?

– Gdzie chcesz skończyć?

– Przypatrz się dobrze, jeśli guz na głowie Joseby Ermo jest od uderzenia, i skorzystaj z okazji, jako że nie mogłeś zobaczyć guzów na głowach bliźniaków. Radzę ci tylko, żebyś otworzył szeroko oczy – możliwe, że Joseba Ermo sam sobie ukradł te łańcuchy.

Zmierzam w stronę sklepu żelaznego, a Luciano posyła mi swoje zdumione spojrzenie.

– Słuchaj, ta twoja dziewczyna jest bystra jak potok górski. Rzeczy wydawałyby ci się dużo prostsze, gdyby to ona pisała twoją powieść... Ile jej płacisz?

## Koronkowa robota

Joseba Ermo Azkorra jest z tych Ermów z La Venta. Tworzą zamknięty klan, chociaż nie wszyscy śpiją pod tym samym dachem. Nie ma więcej jak sześćdziesiąt lat na karku, poorana twarz, skóra i kości, i oczy aż nadto żywe. Jest z tych, którzy w czasie wojny donieśli na republikanów i nacjonalistów, wskutek czego niejeden z nich został rozstrzelany. Getxo nim gardzi. W trzydziestym siódmym wskazał drogę oddziałowi falangistów do domu Simona Garcii, nauczyciela z Las Arenas, którego wywlekli na spacer do piachu razem z jego szesnastoletnim synem. Josebie Ermo przypadł dom, Gurbietarena, który reszta rodziny zastrzelonego musiała opuścić.

W sadzie w Gurbietarenie rośnie nadal rozłożysty figowiec, którego owoce zaczęła wykradać dzieciarnia, kiedy tylko zmienił się właściciel.

Falangista i ja widzimy go siedzącego na ławeczce, łokcie oparte o ladę, obiema rękami trzyma się za głowę owiniętą bandażami. Eladio Altube i młody pracownik obsługują pojedynczych klientów.

– Cholera jasna! – wykrzykuje Luciano. – Wyglądasz, jakbyś powrócił z wojny.

– O mały włos i ten skurwiel by mnie zabił – dyszy Joseba Ermo.

– Sam się zabandażowałeś – mówię, pochylając się nad jego głową, żeby dotknąć zaczerwienionego bandaża.

– Ja? Niby jak, skoro odzyskałem przytomność w szpitalu Basurto w Bilbao? Jedyne, co dobre, to że nie musiałem za nic płacić.

Wygląda, że to prawda.

– Już oni znajdują sobie sposób, żeby cię podliczyć – warczy Eladio.

– Na pewno – mówi klient. – Nie podoba mi się ani jeden z pilników, które mi pokazałeś.

– Spogląda na Josebę Ermo. – Wracaj szybko do zdrowia. – I wychodzi.

– A ten to kto? – chce wiedzieć Luciano.

– Fidel, z rodziny Camisonesów – wyjaśnia Eladio.

– Nie chciał niczego kupić, przyszedł tu tylko zobaczyć swoje dzieło. To on jest napastnikiem!

Cisza oraz milczenie rannego zapędza w kozi róg niebieskiego detektywa.

– Nieźle ci przyłożyli – mówi Eladio, chuchając w czubek czaszki.

– Zabieraj się, nawet powietrze mi się wbija – wzbrania się Joseba Ermo.

– Powinieneś iść do domu i położyć się do łóżka – radzę mu. Chociaż mieszka sam i może najbardziej potrzebuje teraz towarzystwa. – Chcielibyśmy wiedzieć, jak to się stało? Masz jeszcze siłę, żeby mówić?

– Ten skurwiel... tylko po to, żeby ukraść stare żelastwo.

– Coś więcej niż stare żelastwo: łańcuchy, których użyto, żeby... – zaczynam szczegółowo opisywać.

– Tak, te łańcuchy i inne rzeczy, parę śrubek – ucina mi.

– Temu złodziejowi chodziło jedynie o łańcuchy – mówię dobitnie. – Cała reszta to dla zmyłki.

– Tyle zachodu o marne łańcuchy i trochę śrubek... z jakiego powodu?

– Z tego samego, dla którego ty trzymałeś je pod kluczem... po tym, jak ukradłeś je na

plaży. – Twarz Joseby Ermo przypomina teraz kamienną maskę. – Mogą się stać makabrycznym i słynnym skarbem, którego cena wzrośnie w miarę upływu czasu.

– Wyraźnie masz naśladowcę – zaśmiewa się Luciano.

– No dalej, opowiadaj – przynagła Eladio Altube.

Joseba Ermo odkleja ostrożnie łokcie od lady, prostuje się na ławeczce i przekręca cały, jedynie jego szyja zastyga nieruchomo, i dopiero wówczas odwraca twarz, z wyrazem bólu, w naszą stronę.

– Skurwiel, skurwiel, skurwiel... – warczy, z zamkniętymi oczami, dając sobie chwilę na wypróbowanie nowej pozycji. Po chwili otwiera oczy i patrzy na nas. – Musiał mnie zdrześć kowadłem. Wczoraj w nocy siedziałem sobie pod gołym niebem w Gurbietaenie – wymawia nazwę starego gospodarstwa bez żenady – kiedy nagle usłyszałem czyjeś kroki, odwróciłem się... i pociemniało mi w oczach!

Wrzesień to sezon na figi, a ci z Gurbietaeny dawno przestali cieszyć się szacunkiem. Wszyscy wiedzą, że Joseba Ermo spędza noce przy figowcu, siedząc na straży.

– Jakie klucze ci ukradli? – pytam.

– Wszystkie, które miałem przy sobie, cały pęk.

– Ale złodzieja interesowały tylko dwa zamki: ten od wejścia do sklepu żelaznego i ten w środku od składziku na złom, czy nie tak?

– Człowieku, nic, tylko ten złom i złom... – protestuje Joseba Ermo.

– Żelastwo – zapewnia Eladio Altube. I zwraca się do wszystkich: – Odpady ze sklepu i żelastwo, które znajduje i znosi z zewnątrz, wszystko ładuje w tej norze.

Słyszę skrobanie i widzę Luciana, który notuje każde słowo twardym ołówkiem w zeszyte leżącym na ladzie. Patrzy na mnie i wzsusza ramionami, jakby chciał powiedzieć, że jego system pisania powieści to nie moja sprawa. Klient młodego pracownika dociera do drzwi z pakunkiem w dłoni, łapie za klamkę bez pożegnania.

– I co się stało z tymi kluczami? – pytam.

– Znalazłem je na tej samej ławeczce, kiedy wróciłem ze szpitala.

– W jakim stanie były drzwi od sklepu żelaznego?

– Otwarte. A jak inaczej byśmy tu teraz byli?

– Jakiś bardziej przemyślny złodziej.

Luciano podchodzi do Joseby Ermo, patrzy mu prosto w oczy i krzyczy na niego:

– Czuć było tytoniem, kiedy wszedłeś?! Z cygara czy z papierosów?!

Musiał naogłądać się za dużo filmów kryminalnych.

Wszyscy trzej odwracamy się, słysząc Eladia Altube, który mówi od strony drzwi:

– Przed chwilą, kiedy złapałem za klamkę, zwróciły moją uwagę głębokie obdrapania, których wcześniej nie było... Tak mi się zdaje.

Luciano i ja podchodzimy do niego. W rzeczy samej, zamek zewnętrzny jest porysowany, a rysy srebrzą się jak zwykle, kiedy metal został świeżo poraniony.

– Nie ma wątpliwości, dużo musiało kosztować klucz, żeby trafić do dziurki – komentuję.

– Drżąca ręka, nieznaną terenu, po którym stapał, zamek, który stawiał opór... Nerwy, nerwy. Zakładając, że te ślady pochodzą z rana.

– Tak, tak, na pewno, ja też je widziałem – słyszymy Josebę Ermo, który nie rusza się z ławeczki. – Nie wystarczyło mu, żeby mnie okraść, musiał mi jeszcze zniszczyć sklep. Jasne, że ja też je widziałem! Co ja zrobiłem temu skurwielowi?

To oczywiste, że morderca poczuł się zmuszony – ale dlaczego? – do opuszczenia swojej kryjówki i jego kolejnym krokiem była kradzież łańcuchów. Boi się, że mogą mi coś powiedzieć, jeśli by trafiły w moje ręce? Powinienem uznać, że pojedynek między nami właśnie się

rozpoczął?

Wydaje mi się, że w tym sklepie nie ma już nic do zrobienia. Wrócę, żeby wymienić się poglądami z tą, co zwykle. Nie ufam ani jednej z tych postaci, a już najmniej temu w niebieskiej koszuli, który nic, tylko pisze i pisze w swoim zeszycie, przerzuca kartka za kartką, podejrzewam, że notuje nawet kolor naszych oddechów.

– Jestem takim pechowcem, że zamiast stracić klienta, jak to się zazwyczaj dzieje, teraz tracę też towar, za który mieli mi zapłacić jak za zboże. Od roku już targujemy się, don Luis Federico Larrea i ja.

To były słowa Joseby Ermo. Słyszając imię Luisa Federica Larrei, nie mam innego wyjścia, jak się zatrzymać.

– Powiedziałeś: Luis Federico Larrea?

– Tak, don Luis Federico Larrea, z tych Larreów z Neguri. Temu, jak go powieszisz do góry nogami, z kieszeni wypadnie przynajmniej pięćset milionów.

– Chciał kupić te łańcuchy?

– Przychodził tu tydzień w tydzień, żeby mnie wybadać.

Jeszcze tego brakowało. Odwracam się do Eladia Altube, który potakuje głową.

– Po co mu były potrzebne? Mówił coś?

– Zbiera stary szmelc, historyczne pamiątki. Mówi, że łańcuchy są relikami przeszłości.

Tak powiedział: relikami. Powiedział mi też, że zajmuje się robieniem mapy Getxo, odmierza kroki, żeby wiedzieć, ile się ich robi, i żeby nikt nie męczył się bardziej niż powinien.

Nie ma wątpliwości, chodzi o tego samego człowieka, niemożliwe, żeby w jednej gminie było więcej takich szaleńców. Czy należałoby uznać go za mordercę dlatego, że chciał przywłaszczyć sobie łańcuchy? Ten honor ukraść mu ten, kto go ubiegł i obecnie je posiada, niekoniecznie przez kolekcjonerski dryg. Przeczuję, że już więcej o nich nie usłyszymy, że zniknęły na zawsze razem ze skrywaną tajemnicą. Właśnie, jaką tajemnicą?

Nie, tutaj nie ma już nic do zrobienia.

Niech będzie. I nagle przychodzi mi do głowy, żeby rzucić okiem na tę niezwykłą piwnicę na złom Joseby Ermo, tę samą, do której drzwi były jedynymi, które interesowały mordercę, chociaż żeby się do nich dostać, musiał też otworzyć te od ulicy.

Chyba nikt nie zauważył mojego ruchu w stronę wnętrza lokalu. Sklep żelazny jest tego rodzaju miejscem handlu, w którym obraca się najrozmaitszymi towarami. Oferta tej pary współników nie jest największa – w końcu to tylko małe miasteczko – ale wszystkie ściany po sufit są pełne zajętych przegródek.

Drzwi na zaplecze nie są zamknięte. Przechodzę przez próg i depczę po malutkiej przestrzeni, fatalnie wyłożonej parkietem, z dwoma parami drzwi. Popycham pierwsze i zaglądam. Dociera tutaj odrobina światła ze sklepu, pozwalająca mi dojrzeć biuro-klitkę pełne zagraconych półek, wypełnionych starymi i zakurzonymi teczkami, z których wylewają się papiery. Mały stolik z rozkładanym krzesłem z piwiarni dopełniają obrazu obrzydliwego kantorka.

Wracam do drugich drzwi, popycham je i też zaglądam – oddycham teraz piwniczną wilgocią. Kiedy oczy przyzwyczajają się do półmroku, drewniana dziesięcio- czy dwunastoszczebelkowa drabina majaczy tuż u moich stóp, a mroczna piwnica rozciąga się aż tam, gdzie nie sięga wzrok. Unosi się tam nie tylko zapach wilgoci, ale również starego metalu. Aż po ostatnie cienie mogę rozpoznać góry starego żelastwa. Tutaj spoczywały łańcuchy przez dziesięć lat.

– Od dawna znosi tu żelastwo, dlatego że jak trzymał je na podwórku, to mu kradli. – To Eladio Altube, który zatrzymał się u wylotu piwnicy i przypatruje mi się z ukosa. – Ten interes

mnie nie dotyczy. Zawarliśmy umowę: on korzysta z piwnicy, a ja dogaduję się z dostawcami i zgarniam prowizje.

Pytanie natychmiast rodzi się w moim sercu. Całe szczęście, że cienie spowijają twarz Eladia Altube i nic nie zatrzymuje mojej śmiałości:

– Wiedziałeś, co twój wspólnik trzymał w tej piwnicy?

– Tak.

– Od samego początku? Od dziesięciu lat?

– Od kiedy zwinął je ze skały.

Cień, którym jest cały on, pozostaje nieruchomy. Chciałbym, żeby drgnął, bo wtedy łatwiej byłoby przejść do następnej kwestii.

– Dziesięć lat w pobliżu narzędzia grozy, które zabiło twojego brata i niechybnie przypomina ci o jego krzykach tamtej nocy, jego agonii obok ciebie...

Dlaczego cień przemusza się w milczeniu? Żeby przestał, dlatego że moje słowa należą do przeszłości, którą on zostawił już za sobą, a ja ją wskrzeszam, i o to mnie teraz w milczeniu oskarża?

Chcę przejść na drugą stronę sklepu żelaznego, otworzyć drzwi od ulicy i wyjść, zaczerpnąć świeżego wrześniowego powietrza, ale ktoś staje przede mną. Bidane Zumalabe. Ujrzawszy mnie, zatrzymuje się w progu, wręcz kamienieje niby pomnik, wbija oczy w moją twarz, ale omija moje spojrzenie. Z jej opuszczonej ręki zwisa koszyk i teraz przypominam sobie, dlaczego tu przyszła.

– Przychodzisz za wcześnie – zarzuca jej mąż.

– Jest pierwsza – mówi ona.

Błyskawiczne pim-pam bez żadnej uszczypliwości ze strony kobiety, która, ponieważ musi iść naprzód, zamyka drzwi, wysuwając do tyłu rękę, i natychmiast znikam z jej pola widzenia. Przemierza sześć kroków, które dzielą ją od lady, stawia na niej swój koszyk i przysiadła delikatnie na ławeczce. Bardziej niż zmęczona, wydaje się w ogóle nieobecna. Młody pracownik wyslizguje się zza kontuaru bokiem, niosąc w ręku drabinę, a kiedy przechodzi obok koszyka, mruga do kobiety, komentując:

– Pięknie pachnie.

Trzymając się jedną ręką za głowę, a w drugiej niosąc swój pęk kluczy, Joseba Ermo wchodzi w ciasny korytarz, zamyka drzwi do swojego składziku, trzy razy głośno przekręca klucz i dołącza do Eladia Altube, który stoi w rogu. Rozprawiają o czymś po cichu.

Co ja wyprawiam, stojąc tak w bezruchu dwa kroki od drzwi? Powinienem przywitać się z Bidane, ale nie odezwałem się ani słowem, nie wykonałem też żadnego gestu. Ona również, nawet nie spojrzała mi w oczy. Po takim niespodziewanym spotkaniu, podporządkowanym tak niezwykłym odkryciom, można spodziewać się każdej anomalii. Nie mogę się zdecydować, żeby wyjść, pozostawiając za plecami cały ten rój postaci. Bidane Zumalabe siedzi i czeka. Jej oczy wydają się podążać śladem etykietek na szufladkach, które wypełniają ścianę naprzeciwko. Ignoruję jej powody. Chciałbym, żeby Eladio Altube dał jej okazję do otwarcia koszyka i wyjęcia potraw. Pokazałaby zawartość, nie przejmując się obecnością świadków, którzy zobaczyliby Eladia, jak je niby smutny robotnik przy wejściu do fabryki – czyste skąpstwo typu, który handlował od tak dawna, że mógłby kupić sobie na własność dowolną fabrykę.

– Nigdy wcześniej nie pisałem, tak kurczowo trzymając się rzeczywistości – słyszę niebieską koszulę obok. Nie pozbył się zeszytu ani ołówka. – Chociaż chciałbym zarekwirować cały ten potok życia... O czym rozmawiałeś z moim kolegą tam w środku? Zapomnij, że cię zapytałem, ja też nie zdradziłbym żadnych rewelacji swojemu rywalowi... A właśnie, co myślisz o tych stronicach, które ci dałem? Nieważne, nieważne... Słuchaj, przyjacielu, nigdy nie

przypuszczałem, że w zwykłych ludziach może być tyle materiału powieściowego. Ja, który walczyłem na wojnie i przeżyłem lata powojenne tak blisko nich, że aż ich zabijałem!, wypełniam teraz całe strony trywialną opowieścią. Całe linijki wyczerpane aż po krańce papieru, akapity na siebie nachodzące, żeby nie było, że zostawiłem gdzieś w rogu puste miejsce...

Wystarczyło, że przeszedłem raptem pół miasteczka i przeanalizowałem krążące mi po głowie teorie. Minęło już wpół do drugiej, a księgarnia nadal jest otwarta. Koldobike czeka na mnie z półprzymkniętymi drzwiami.

– Skoczyłam na chwilę do domu i przyniosłam ci garnek soczewicy. Siadaj, jest jeszcze ciepła.

Soczewica.

– Dzieją się teraz sprawy wielkiej wagi i tak wątpliwe, że zmieniają kolor, jak tylko im się lepiej przyjrzeć, a ty mnie nachodzisz z jakimiś domowymi drobiazgami...

– Biegasz jak kot z pęcherzem z jednego krańca na drugi bez oddechu, a trzeba się odżywiać i oddychać. Mogę zasłonić dział specjalny, żeby nie widzieli cię, jak jesz soczewicę.

Na biurku na zapleczu stoi otwarta menażka i jeszcze dymi. Siadam i zamierzam się łyżką.

– Żona też przynosi Eladio Altube posiłek w południe.

– Jedz i opowiadaj.

– Możliwe, że to nie morderca ukradł łańcuchy, jak myśleliśmy, i wówczas najbardziej przekonująca wydaje się teoria, że to sami bliźniacy upozorowali zamach na siebie.

Opowiadam jej o ogromnym zainteresowaniu tego Larrei morderczymi łańcuchami do swojego muzeum ze starzyzną i o jego ciągłych wizytach u Joseby Ermo, żeby ustalić ich cenę.

– Ktoś dowiedział się o tym targowaniu i poszedł na skrót – mówię.

– Zdajesz sobie sprawę, że ten negurijczyk, o którym prawie nic nie wiemy, jest upierdliwy jak letni giez?

Jem bez apetytu, podnosząc łyżkę z ładunkiem, a następnie opuszczając ją pustą, poddany rytmowi tej czynności.

– Wszystko znowu stanęło w miejscu, i to w momencie, w którym wierzyliśmy, że wreszcie coś drgnęło.

Koldobike oddała się, żeby przez szybę w drzwiach pokazać klientowi, że mamy przerwę.

– A właśnie – mówi po powrocie – ktoś o ciebie pytał. Był tu taki jeden typ ze złotymi spinkami u koszuli. Grozili mu, że go zabiją, i chce cię wynająć, żebyś zdemaskował oprychów.

– To jej wkład w atmosferę. – Ten przynajmniej zapłaci ci te pięćdziesiąt peset plus wydatki.

– To jeden z tych, co wracają?

– Powiedziałam mu, żując gumę, że jesteś bardzo zajęty ratowaniem świata... I przyszedł mi teraz do głowy jeszcze jeden oprych, podobnego pokroju, który mógł wczoraj w nocy zaatakować Josebę Ermo – Txominbedarra. Od czasów wojny mieszka w starej cegielni w Faturze, na dole, niedaleko Gurbietany i figowca. Co tam robi? Wiadomo tylko, że jest fałangistą, pojawił się w Getxo razem z ich oddziałem, ale to wariat. Osiem lat w tej wilgoci ubrany w jakieś łachmany! Pewnie odpokutowuje swoje zbrodnie. A teraz jego sąsiadowi ktoś rozwalił głowę. Co o tym myślisz?

– Nic nie myślę. Nie pasuje mi ten cały Txominbedarra.

Koldobike przynosi mi szklankę wody z łązienki.

– A co zrobimy, jeśli nikt nikogo nie zabił?

– Znam jednego Baska, który odetchnąłby z ulgą. Poza tym dzięki temu wariantowi moglibyśmy podziwiać genialny plan, który wykonypowali sobie bliźniacy. W dalszym ciągu



myślę, że to prawdziwe cacko. Udało im się skoordynować nadejście rannego ptaszka Etxe na plażę z przyływem i z czasem, który zabrała jego nogom droga pędem po kowali, a następnie z czasem, który zajął trzem parom nóg powrót na miejsce, żeby przeciąć łańcuchy.

– Nie taki znowu genialny, było parę pomyłek...

– Ale to nie z ich winy, tylko przez nieprzewidywalne żywioły natury, przez ryzyko, które ponosimy przez to, że nie wszystko jest zapisane! Czy było na przykład zapisane, że Lucio Etxe pojawi się punktualnie tamtej nocy? Jego drobne spóźnienie popsułoby cały misterny plan.

Koldobike wzdycha.

– Wiesz, co ci powiem? Że jeśli tak dalej pójdzie, to ty zostaniesz bez mordercy i bez powieści. Pisarz z Falangi złapie któregośkolwiek nieboraka, będzie go grzmocił kijem na komisariacie i każe mu się przyznać oraz podpisać, że zabił wszystko to, co będzie potrzebne, i będzie miał powieść... I powiem ci jeszcze, że wiedziałam, że masz w sobie coś z romantyka, ale nie sądziłam, że aż tyle – ten pomysł z bliźniakami wzruszył cię do żywego. W ten sposób do niczego nie dojdziemy. Już zdążyłeś zapomnieć, że Eladio Altube wyznał ci, że próbują go zabić. Czego ci jeszcze brakuje?

– Rozsiewanie takich plotek jest mu na rękę, przez wzgląd na własne bezpieczeństwo, żeby skierować śledztwo na inny tor – poszukiwanie zabójcy. W naszym niedoskonałym świecie cieszą harmonijne przedmioty, takie jak symfonia albo zegarek. Dopasowanie spotkań, odległości i czasów, które udało się bliźniakom – pomimo tego błędu, który, przyznając miał miejsce, ale tylko dlatego, że chodziło nie o panowanie nad inspiracją albo o zdominowanie metali, tylko o siły, których nie da się okiełznać – napawa mnie podziwem, nie mogę tego uniknąć. Jest to dopasowanie kół zębatych, które zasługuje na uznanie.

– Co masz konkretnie na myśli?

– Winnego, prawdziwego mordercę.

– Ale zadowala cię wersja z pułapką zastawioną przez bliźniaków, wielkie pocieszenie dla don Manuela. Wydaje mi się, że ty nie potrzebujesz pocieszenia... Obaj doprowadzacie mnie do szaleństwa. Czy któremuś z was przyszło kiedyś do głowy zapytać bliźniaka, który przeżył, o coś w stylu: „Hej, ty, zatrzymaj się na chwilę i powiedz nam, z którego filmu ściągnąłeś całą tę koronkową robotę?”

– Zaprzeczyłby.

– Smakowała ci soczewica?

– Chyba pójde się przejść po Basaonie.

Koldobike mruga.

– Ojciec tych kreatur, Roque! Kto lepiej niż ojciec może ci opowiedzieć, jacy byli jego synowie? On ci powie, czy byliby skłonni uciec się do takiego podstępu.

– Przynajmniej nie skłamię. Jeśli nie będzie chciał mi nic powiedzieć, pary z ust nie puści. Ale nie skłamię... To z koronkową robotą jest bardzo dobre, podoba mi się.

Możliwe, że podjąłem zbyt pochopną decyzję. Wyznaję, że jeszcze nigdy nie szedłem na żadne spotkanie z takim niepokojem. Jeśli stara legenda o naszych patriarchach albo założycielach jest prawdziwa – a niektórzy rozciągają ją nie tylko na Getxo, ale i na całą Vizcayę – i jeśli, jak wieść głosi, Altube do nich należał, osoba Roque i jego sposób bycia sprawiają, że trudno nie uwierzyć w tę tradycję. Ze swoimi osiemdziesięcioma latami na karku Roque Altube jest wzorem człowieka przywiązanego do swojej ziemi, prawie relikwią z dawnych czasów. Pomimo to wiadomo było, że nie z powodu wieku ani nie dlatego, że był prostym chłopem, wziął udział w działaniach bardzo współczesnych, jak w bezprecedensowym założeniu w Getxo robotniczych związków zawodowych. Brał też czynny udział w wojnie. No dobrze, a poza tym

wszystkim był ojcem bliźniaków, krew z krwi najbardziej przeciwstawna – nikt nie mógł sobie wyobrazić, że dwie zgniłe gałęzie wyrosną z takiego pnia.

Gospodarstwo Basaon wznosi się na granicy z sąsiednią gminą, Berango. Można dotrzeć tam pieszo, tak jak ja teraz, po tym jak Koldobike życzyła mi szczęścia.

Jest późne popołudnie i wkrótce dociera do mnie bryza, która przynosi ze sobą zapachy ściętej trawy, figowców i jabłoni. Posuwam się naprzód po drogach i ścieżkach, aż docieram do małego wzgórza, na którego szczycie wznoszą się stare mury podtrzymujące spadzisty czerwony dach. Na okapie wiele dachówek domaga się wymiany.

Wchodzę do Basaon ścieżką wijącą się między polami złocących się i nabrzmiałych łodyg kukurydzy. Cisza i samotność rozplywają się, kiedy skręcam za róg i natykam się na grupę osób siedzących w kółku przy głównej bramie wokół góry kukurydzianych kolb i łuskających kukurydżę. Przerywają gadaninę, kiedy odkrywają niezapowiedzianego gościa.

– Dzień dobry – wykrztuszam.

– Dzień dobry.

– Witamy.

Odpowiedziały mi tylko dwa głosy, dwie kobiety, które utożsamiam, nie bez wątpliwości, z Madią zwaną też Magdą i jej córką Cenobią, posiłkując się rodzinnym obrazem naprędce przedstawionym mi przez Koldobike.

– Państwo wybaczą, chciałbym porozmawiać z Roque.

Widzę, że nie ma go w grupie.

– Caruso, po-pobiegnij po-poszukać *aitite*<sup>1</sup> – przykazuje jedna z kobiet, około czterdziestopięcioletnia, chłopcu w wieku pierwszokomunijnym. Musi to być Cenobia, jąkała, i jej syn Caruso, którego poczęła nie ze swoim mężem Manolito, za którego ją wydano, tylko z włoskim faszystą z oddziału Czarnych Strzał w czasie wojny.

Grupa powraca do kukurydzy z mniejszym zdecydowaniem i z mniejszym gwarem i udaje mi się zauważyć ukradkowe spojrzenia rzucane na mój krawat.

Getxo w dalszym ciągu bagatelizuje, czy Madią bądź Magdą, żona Roque Altube, jest Madią czy Magdą. Niektórzy przysięgają, że sam Roque Altube tego nie wie i że słyszeli, jak mówił, że nazywając ją raz Madią, raz Magdą, wydaje mu się, jakby miał dwie żony, i dlatego wypowiadając jej imię, uśmiecha się figlarnie.

Wśród zgromadzonych dostrzegam Manolita, wyraz jego twarzy niczego nie zdradza. Jedna kobieta przypatruje mi się z większym tupetem. Musi to być Anastasia, niezamężna córka. Obok niej jedyna, która się uśmiecha, to będzie Antonia, narzeczona, która przez sześć lat czekała na jednego z synów Roque, Pelayo. Wypuszczono go dopiero nie tak dawno z batalionu dyscyplinarnego i wreszcie mogli się pobrać.

Wreszcie i tutaj jest też już Roque Altube, uwolniony od swoich prac w sadzie, który ociera sobie czoło ramieniem w koszuli w kratę. Parę metrów za nim idą Pelayo i Caruso. Roque Altube wpatruje się we mnie w taki sposób, jakby spodziewał się mojej wizyty.

– Co słyszać?

W jego potężnym głosie rozpoznałem, tak właśnie, zyczliwość. Chrząkam.

– Chciałbym przez chwilę porozmawiać o pana synach, o Eladiu i Leonardzie... jeśli można.

– Tak, można – odpowiada z pełną gotowością, jeszcze prawie zanim skończę zadawać mu pytanie.

– Jestem synem Vicentego Bordaberriego, rozstrzelanego w trzydziestym dziewiątym.

– Potakuje. – Nazywam się Sancho i jestem właścicielem księgarni w Algorcie. – Znowu potakuje.

Nie mogłem przedstawić się jako Samuel Esparta, przekonany, że podobne machinacje nie są w jego guście.

Robi znak ręką, żebym szedł za nim, i prowadzi mnie ścieżką, która go do mnie przywiodła. Mijamy się z Pelayo i z Caruso, ograniczają się do spoglądania na mnie z ukosa, i docieramy do przewróconego pnia. Roque siada i daje mi znak, żebym zrobił to samo.

– Tutaj będzie lepiej – mówi. Ma na myśli nie pień, tylko odległość, która dzieli nas od całego klanu. – Dotarły mnie słuchy, czym się zajmujesz. Pewnego dnia musiało to nastąpić. Dziesięć lat i trzy miesiące.

Odkrywam, że mam przed sobą ojca, który nie zapomniał i trzyma rachunek za każdy miniony dzień.

– Ktoś musiał coś wreszcie zrobić – mówię.

– Tak, ktoś musiał – przyznaje. – Ale nie z tych, co wygrali. Ja sam często się nad tym zastanawiałem. Myślałem. W nocy. Co to był za wróg? Ale mieli tylu przeciwników! To wada małych miasteczek. – Zanurza się we wspomnieniach. – Byli jeszcze bardzo mali, kiedy nabrali Efréna Baskardo. Wyrzucił ich ze swojego domu pogrzebowego. To był sam początek. Interesy i interesy. Szemrane sprawy. Nie wydziedziczyłem ich, to oni sami się wydziedziczyli. Efrén? Nie, nie zrobił tego, nie miałby na to czasu.

– Mógł komuś zapłacić.

– Znam go dobrze, mieszkałem z jego wielką rodziną w Galeón ponad dwadzieścia lat. Ważne rzeczy załatwiają sami. – Jedną ręką przeciera sobie twarz. – Sam wiesz, moja żona i Ella są jak siostry, a ja nie miałem wtedy dachu nad głową. Teraz mam. Od dwudziestu czterech lat mieszkam w Basaon.

Jego jasne spojrzenie zaszło mgłą na wspomnienie tego drugiego plemienia, choć miasteczko zawsze ignorowało więzy rodzinne, jakie łączyły Madię bądź Magdę z kobietą, którą znaleźliśmy zawsze jako Ella, bo nigdy nie powiedziała nam, jak się nazywa. Obie pojawiły się w Getxo, razem i same, pod koniec zeszłego stulecia, nikt nie wiedział, skąd pochodzą, i każda obrała własną drogę. Ella, starsza, była zawziętą intrygantką, niekiedy nawet nieprzyzwoitą, chciała się szybko wzbogacić i osiąść władzę, co jej się udało, a Madia bądź Magda wyszła za męża za Roque z miłości. Efrén Baskardo był na pewno godnym synem swojej matki Elli.

„Mieszkałem z tą wielką rodziną w Galeón przez ponad dwadzieścia lat”, powiedział mi przed chwilą Roque.

– Eladio i Leonardo urodzili się i wychowali w Galeón... Musieli się zarazić, nie myślał pan o tym?

– Sam nie wiem, może to przez zły przykład.

– Dzieci słyszą i widzą różne rzeczy i niektóre już im zostają na życie.

– Te niedobre.

– Wina leży nie po ich stronie, tylko po pana.

– Wszystkie moje dzieci są dla mnie tak samo ważne. Ale...

Nie może powstrzymać zalewającej go fali wyrzutów sumienia, ale nic nie przedostaje się na zewnątrz.

– Widział pan Eladia od czasu tego, co zdarzyło się na plaży dziesięć lat temu?

– Ja ich nie wydziedziczyłem, sami to zrobili.

– Nigdy nie pojawił się w Basaon?

Nie odpowiada.

– Przesłuchała pana wówczas policja?

– Tak, byli tutaj. Jeden powiedział mi, że to, co się stało, to boska sprawiedliwość.

I powiedział mi też, że nie ma wątpliwości, czy Bóg był bliżej ojca, czy bliżej syna.

Podjeżdżali samego Roque? Co za tępaki. Sugerowali się pewnie pragnieniem surowego ojca, żeby oczyścić dobre imię rodziny Altubów, ścierając z mapy tych, którzy tak nim poniewierali. Co za szaleństwo! Kompletna niedorzeczność, ale trudno zaprzeczyć, że nie brakuje logiki.

Roque drapie się po nosie. I powtarza:

– Blżej ojca czy blżej syna.

Uśmiecha się. A ja mówię:

– A jeśli to wszystko zaczęło się jak zwykła zabawa ze strony pana synów, zwykła zabawa, która im nie wyszła? Jeśli chcieli oszukać nas, żebyśmy pomyśleli, że ktoś usiłował ich zabić? Jeśli to oni sami przewiązali się łańcuchami?

Nigdy nie widziałem bardziej oszołomionego wyrazu twarzy, bardziej ogłupiałego.

– Ale po co? – udaje mu się wykrztusić.

– Żeby ująć nas za serca i żebyśmy im wybaczyli.

Jego mózg jest sparaliżowany, nie wie, co myśleć. Musi czuć, że znany do tej pory świat wali mu się pod nogami.

– Oni byli inni i może zrobili coś tak innego – mówię dalej. – Chcę przez to powiedzieć, że możemy myśleć, że dla nich był to interes przeciwko nim samym i koniec, ze śmiercią, każe nam tak sądzić... Co pan o tym myśli, Roque? Myśli pan, że byliby zdolni zaryzykować tak wiele i przykuć się łańcuchami do skały w czasie przyływu?

Otwiera usta, żeby coś powiedzieć, po czym zamyka je, nie mówiąc ani słowa. Kiedy znowu je otwiera, słyszę, jak mówi:

– Nie wiem, sam nie wiem... Trudna sprawa. – Po czym: – Widziano dziwniejsze rzeczy. – I na koniec: – Zawsze oszukiwali, może tym razem znowu chcieli nas oszukać, kto to może wiedzieć...

Jest popołudnie i księgarnia powinna być zamknięta, ale przez szybę w drzwiach widzę zapaloną żarówkę na zapleczu, więc bębnię palcami w drzwi. Wysoka postać mojej sekretarki blondynki zbliża się gibkim chodem, którego nigdy wcześniej u niej nie zauważyłem. Otwiera i rzuca słowa, bardzo poważna:

– Ci z Kontynentalnej zapłacą mi dwa razy tyle, jeśli cię zostawię i się do nich przyłączę. Wczoraj zatrzymał mnie w zaułku zastępca ich szefa. Spojrzałam na niego w taki sposób, że musiał spuścić wzrok, chociaż później go podniósł i powiedział: „Ten Esparta jest skończony, laleczko, dostają mu się już tylko ochłapy. A my trzymamy w garści policjantów z Komendy Głównej, burmistrza, a nawet prasę. Jaka przyszłość czeka takiego szefa jak twój, który nie ma nawet odwagi używać swojego imienia?”. No dobrze, nie jestem pewna, czy powiedział mi dokładnie to, ale na pewno tak pomyślał, jego oczy starego lisa mówiły same za siebie. Zebrałam się na odwagę i rzuciłam mu: „Wiesz, co ci powiem, skurczybyku? Mój szef jest najlepszym szefem, o jakim może marzyć taka biedna sekretarka jak ja. Pracowałabym z nim, nawet jeśli to ja musiałabym mu płacić pensję, tak wiele się od niego uczyć”. A on mi na to: „Uczysz się od niego? Chce łąpać morderców w białych rękawiczkach. Taki z niego elegancik, że aż chce się rzygać! Nie umie poruszać się po przestępczym półświatku”... Wiesz, kto tu był?

– Przypuszczam, że burmistrz, żeby mu oczyścić miasto.

– Bidane Zumalabe, żona...

– Tak, wiem, kim jest.

– Wydaje mi się, że chciała tylko porozmawiać, nieszczęsna, bardzo się boi... „Nie chcę, żeby mojemu mężowi coś się stało, a wiem, że jest w wielkim niebezpieczeństwie”, wyznała. „Chciałabym wiedzieć, czy mogę coś dla niego zrobić, czy mogę mu jakoś pomóc, czy żona

powinna poświęcić swoje ciało i duszę dla mężczyzny, którego przysięgała kochać przed ołtarzem i wobec Boga. Potrzebuję, żeby ktoś powiedział mi, co mam robić”.

- Chciała ze mną porozmawiać, ale mnie nie zastała.
- Nie, chciała porozmawiać z drugą kobietą... Wydała mi się bardzo zdesperowana.
- Wszyscy są stanowczo za bardzo nerwowi. Ale to chyba dobrze dla powieści.

*Aitite* w języku baskijskim oznacza dziadka.

## Kroki i czasy

W pogodne poranki promienie słońca, które docierają do fasady księgarni, muszą wcześniej precyzyjnie się za rogiem stojącego naprzeciw domu, którego boczna ściana wychodzi na tory kolejowe i stację w Algorcie. Dobrze zacząć dzień, pociągając za delikatnie nagrzaną klamkę i przeglądając się ukradkiem w lśniącej szybie.

Za plecami słyszę jakiś nowy dźwięk, nie jest to automobil ani powóz. Odwracam głowę – gabłota jak z filmu zatrzymuje się na mojej wysokości, przy chodniku. Tasuję markami: Mercedes Benz, Jaguar, Alfa Romeo... ale nie mam pojęcia. Oni by wiedzieli i ta niewiedza typowa dla mieszkańca wioski na pewno wpędziłaby mnie w kompleksy, gdyby nie nagłe pojawienie się admirała, który wysiadł z tego imponującego pojazdu i przykuł całą moją uwagę.

– Czy to jest księgarnia pana don Sancho Bordaberriego? – pyta mnie głos jak miód.

Odpowiadam, że i owszem, i dodaję:

– Proszę wejść, moja pracownica pana obsłuży.

– Nie przychodzę nic kupić, mam doręczyć tę kopertę.

I wyjmuję łososiową kopertę z wewnętrznej kieszeni ciemnoniebieskiej marynarki obwieszanej zwisającymi akselbantami. Moja dłoń w dalszym ciągu spoczywa na klamce. Admirał spogląda najpierw na nią, a następnie na mnie, i dopiero wtedy otwieram mu drzwi, żeby mógł wejść do środka.

Oziębłość jest dobrym sposobem, żeby pozbywać się gapiów, którzy nie chcą niczego kupić, a tylko zajrzeć i sobie pooglądać, ale Koldobike jest na tyle pewna, że admirał do nich nie należy, że wychodzi mu na spotkanie i dopytuje, co go tutaj sprowadza.

– Chciałbym doręczyć tę wiadomość od mojego pracodawcy don Efrena Baskarda panu don Sancho Bordaberriemu. – Koldobike wyciąga ku niemu otwartą dłoń. – Nie, do rąk własnych.

– W takim razie stoi dokładnie za panem.

Admirał, który wchodząc do środka, zdjął swoją garnizonową czapkę o wysokim frontonie, cofa się i wsuwa mi w dłoń kopertę, wpierv dokładnie mi się przypatrując. Po czym kiwa dwukrotnie głową na pożegnanie, do Koldobike i do mnie, wsiada do swojego lśniącego automobilu i odjeżdża z majestatycznym szmerem, którym wypełnia się teraz Avenida del Ejército.

Koldobike czeka na mnie, ciekawość pożera jej oczy. Nigdy nie otworzyłem żadnej koperty tak ostrożnie. Kartka znajdująca się w środku jest w tym samym łososiowym kolorze.

– Jakże piękny charakter pisma ma Aurelio Altube – mówi Koldobike powodowana intuicją, nie czekając na werdykt czyjegoś spojrzenia.

Całe Getxo wie, że Aurelio Altube jest stałym odwiecznym sekretarzem Efrena Baskardo, poza tym, że jest i synem Roque Altube.

– Całkiem niezłe, to list pisany na maszynie. – Pokazuję kartkę. – Przyznaję, że jest lepsza od mojej, chociaż też nie ma mniejszego miejsca na „i” i większego dla „m”.

– No już, czytaj wreszcie.

*Do Pana don Sancho Bordaberri*

*Księgarnia Beltza*

*Obserwuję od samego początku Pana poczynania w sprawie przeprowadzanego przez*

*Pana śledztwa dotyczącego morderstwa Leonarda Altube. Pasjonujące. Między 1915 a 1921 zatrudniałem bliźniaków Altube w charakterze pracowników Zakładu Pogrzebowego, jak i mojego Zakładu Ubezpieczeń, w dzielnicy San Baskardo, dwóch z moich pierwszych przedsięwzięć handlowych. Byłem zmuszony ich zwolnić, dlatego że mnie oszukiwali. Manipulowali księgami rachunkowymi i zostawiali sobie dużo za dużo. Mając jedynie po szesnaście lat! Podziwiałem ich, może mi Pan wierzyć. Dwaj smarkacze kpili z Efrena Baskardo Puerta! Szpila, którą we mnie wówczas wbili, w dalszym ciągu rani mnie do żywego. Ale jestem też nieskończenie wdzięczny tej parze – dostałem nauczkę, zapaliło mi się czerwone światełko.*

*Informuję Pana o tym wszystkim, wiedząc, że zajmuje się Pan nimi w związku z Pana śledztwem, dlatego że są niebezpieczni. Chociaż teraz chodzi tylko o jednego. Nie powinien Pan z tego powodu przestać mieć się na baczności. Przewrotność i nikczemność zmarłego przeszły na tego ocalałego, tak że ten ostatni oszukuje w dalszym ciągu równie skutecznie, jak kiedy było ich dwóch. Oszuka Pana, Panie Sancho. Ma to we krwi. I nie chciałbym, żeby zabrzmiało to jak zniewaga dla ich wspaniałego ojca Roque, o którym mam jak najlepsze mniemanie. Jego bliźniacy oszukiwali pół Getxo, kiedy było ich dwóch, a teraz robi to jeden. Udało mi się zdobyć pełną relację od wszystkich ich ofiar, jakby chciał Pan uzupełnić swoją listę podejrzanych. Ja sam, ich pierwsza ofiara, musiałem zdać się na podstawowe prawo do rekompensaty, żeby nie musieć ich zabić. Są diabelnie sprytni i udaje im się oblec rzeczywistość w fałszywe pozory. Jeśli przedstawiają Panu jakąś przypuszczalną prawdę, proszę nie wierzyć za grosz. Minęło dziesięć lat od tego, co oni nazwali morderstwem. Tak, przeczytał Pan prawidłowo: „od tego, co oni nazwali morderstwem”. Trudno jest, jeśli jest to w ogóle możliwe, nazwać to inaczej. Ale proszę mi wierzyć, że spędziłem dziesięć lat na poszukiwaniach prawdziwego wyjaśnienia. Jeśli jeden z nich sugeruje, że było to morderstwo, mamy pewność, że nim nie było. Czym było w takim razie? Ta tajemnica wymaga więcej niż dziesięciu lat, żeby została wyjaśniona. Nawet żeby oszukiwać, trzeba mieć klasę, a żaden z nich jej nigdy nie miał. Oszuści, szubrawcy, nie byli niczym więcej. Nigdy nie oderwali się od swojej znikomości. Nigdy nie poszybowali w stronę wielkich wyzwań godnych prawdziwych przedsiębiorców... nawet będąc już tak blisko. Zrozumie Pan, Panie Sancho Bordaberri, moje bolesne upokorzenie, w którym będę żył po kres moich dni, po tym jak zostałem oszukany przez podobne pijawki, kiedy mieli jedynie po szesnaście lat, a więc jeszcze w latach ich nauki.*

*Nie dodając nic więcej, przesyłam Panu moje serdeczności i radzę, żeby dobrze Pan sobie zapamiętał to, co Panu tutaj powiedziałem.*

*Efrén Bascardo Puerta, Grand Hiszpanii  
Palacio Galeón  
Guecho*

Teraz Koldobike, i owszem, wyciąga szyję, żeby zwrócić uwagę na jeden szczegół.

– Baskardo przez C, a nie K. Moja babka opowiedziała mi, że ojciec Efrena, Camilo Baskardo, usunął K ze swojego nazwiska, odzegnał się od swojej rodziny i baskijskiego pochodzenia, żeby uznać Efrena, swojego syna z nieprawego łoża.

– On też! – wykrzykuję, wymachując łososiową kartką przed nosem Koldobike. – On i don Manuel nie należą do tego samego świata, ale zgadzają się co do tego, że bliźniacy byli oszustami.

Koldobike decyduje się porzucić na dobre jedną z rodzinnych sag, które tak ją fascynują.

– Uwierzysz temu pamiętliwemu bogaczowi? Ciekawe, jakie ciemne interesy nim powodują, że chce cię zwabić do swojego sadu! Poza tym w żadnym momencie nie powiedział, że bliźniacy symulowali zamach.

– Wystarczy mi, że ma ich za najprzebieglejszych drani, gotowych wymyślić każde oszustwo, żeby dodać je do swojej listy. To nie są słowa kretyna: „Jeśli jeden z nich sugeruje, że było to morderstwo, mamy pewność, że nim nie było”.

– Co za spostrzegawczość, szefie. Niektórzy zakochują się w tym, w czym nie powinni.

Słowa takie jak „miłość” i „zakochanie” zazwyczaj nie padają w naszych dyskusjach, mógłbym nawet przysiąc, że nie pojawiają się nigdy. Komu mogłoby ich brakować w relacji stricte zawodowej? Odkrywając cię zaróżowienia na policzkach mojej sekretarki, stwierdzam, że ludzka natura jest niedoskonała.

– Przynajmniej śledztwo ma teraz dodatkowy trop – przerywam niewygodną ciszę.

– Zapominasz, że byliśmy w martwym punkcie?

– Ten trop do niczego nas nie zaprowadzi – mówi na koniec. – Sam, zostaniesz bez powieści. Nie ma zabójcy.

– To nie mój wybór, rzeczywistość zadecydowała za mnie. Z takim ryzykiem musimy się liczyć, jeśli historia nie zależy od nas samych. Nie będziemy mieli zwyczajowego zakończenia powieści, ale, owszem, bardzo oryginalne. Mniej przemocy, ale za to więcej wyobraźni.

– Święta naiwności. – Koldobike ma specyficzny sposób wymawiania tych słów. Wydaje się, jakby cię dobijała. – A łańcuchy ukradzione z użyciem przemocy? Znajdź złodzieja, to człowiek, który potrzebuje twojego zakończenia.

– Albo ktoś, kto liczy na dobrą zapłatę, sprzedając je Luisowi Federico Larrei.

– A co powiesz o samym Luisie Federico Larrei? To kolejna poszlaka. Tymi łańcuchami byli przywiązani do skały bliźniacy i na pewno skrywają one tajemnicę przez nikogo jeszcze nieodkrytą... A Joseba Ermo trzymał je pod kluczem! Kolejny trop.

– Jeśli to Ermo jest winny, a łańcuchy były dla niego tak niebezpieczne, sprawiłby, żeby zniknęły.

– Czasami egoizm przewycięża strach.

– Kto jeszcze znał ich kryjówkę? Eladio Altube... mówiłem ci o tym? Może morderca przez dziesięć lat dręczył się, rozmyślając, co się z nimi stało.

– Dobrze, masz więc różne poszlaki. Idź za nimi. Przynajmniej za jedną z nich.

– Czego ode mnie chcesz? Żebym złapał podejrzanych za kark i im go skręcił, jeśli się nie przyznają?

– Zostaw to niebieskiemu, to jego specjalność.

Cała masa domysłów doprowadzi w końcu do tego, że ktoś będzie się z nas śmiał w ciemności.

– Potrzebujemy dowodów, przynajmniej jednego – mówię. Biorę trzy głębokie wdechy i powściągam swoje przygnębienie. – Będzie lepiej, jeśli przerzucimy odpowiedzialność na nasze małe szare komórki... mówiąc słowami tego głupkowatego belgijskiego detektywa. Zbierzmy wszystko, co do tej pory wiemy: zeznania, sprzeczności, gesty, posunięcia, podejrzenia... I użyjmy naszej intuicji, porównajmy je z naszymi pomysłami, pragnieniem, żeby wydarzenia działały się w określony sposób... Uporządkujmy cały ten bałagan, ten zewnętrzny i ten, który mamy w środku, zakładając, że oba te bałagany są częścią ostatecznego ładu.

Koldobike spogląda na mnie znudzona.

– No i co jeszcze wymyślisz?

Nie zdaje sobie sprawy, że otworzyła mi bardzo wyjątkowe drzwi.

– Spotkamy się z Luisem Federico Larrea, właśnie uznałem go za kluczową postać w śledztwie. Wydaje mi się, że dostaliśmy *Alkada Tangory Rochelta*, którą zamówił. Powiadom go. I napomknij mu mimochodem, że chcielibyśmy popodziwiać jego mapy Arrigunagi i okolic. Na pewno się ucieszy.



- Pomyśli, że przymieramy głodem i potrzebujemy jego pieniędzy.
- Będzie miał przynajmniej jakieś zajęcie na to popołudnie. Bogacze, którzy nie zajmują się powiększaniem swoich majątków, bardzo się nudzą.
- Do usług, szefie.
- Dzięki, lalczko.

Dzisiaj jem obiad w domu, *ama* i ja, sami we dwoje. Wracam do księgarni na tyle wcześniej, żeby być pięć minut przed piątą, godziną, o której pojawi się ten od kroków. Przechodzę na drugą stronę księgarni, do łazienki, żeby załatwić potrzebę fizjologiczną, i trzymam w ręku ręcznik, kiedy odzywa się dzwonek.

– Dzień dobry.

Miękki głos należy do osobnika ubranego w marynarkę i spodnie z sukna angielskiego w drobną szarą kratkę, białą koszulę i czarną muszkę. Jest niski i krępy, ma niewielki brzuszek i nerwowe oczka, które schroniły się za okularami z grubymi oprawkami z masy perłowej. Przez długie minuty studiuje wnikliwie *Alkada Tangory*, książkę, którą wręczyła mu Koldobike. Tangora to dawna nazwa Algorty.

- Wspaniale, doskonałe wydanie – słyszę, jak mówi.
- Zapakować panu? – pyta Koldobike.
- Tak, poproszę, w podwójny papier jeśli łaska.

Podchodzę bliżej i dostrzegam dwie rzeczy: że płaci banknotem, który wydobywa z portfela z krokodylej skóry, i że obok niego, na stoliku, spoczywa aktówka wypełniona po brzegi papierami. Dobra wróżba. Przedstawiam się, zanim przejdę do realizacji obmyślonego planu.

- Jestem Samuel Esparta, prywatny detektyw. Bardzo zainteresowało mnie pańskie odmierzenie w krokach naszego terytorium.
- I w czasach – dodaje. Bardzo rozszerzyły mu się oczka przesłonięte szklami. Spostrzega mój wzrok na swojej aktówce. – Z największą przyjemnością pokażę panu swoje plany, mapy... – dodaje.

Krzyżuję mu plany i kiedy chce zademonstrować efekt swojej pracy, mówię:

- Doskonale, ale później, na naszej plaży. Arrigunaga, nie Ereaga.
- Policzyłem obie.
- Nie wątpię.

Kiedy obaj stoimy już w drzwiach, czuję dwie strzały wbijające mi się w plecy. Odwracam się. Nigdy nie zrozumiem, jak to możliwe, że z tak mocno zaciśniętych ust mogą wydostać się słowa.

- Wiesz, co ci powiem, szefie? Że zostaniesz bez powieści.

Jeszcze parę dni temu plaża należała do letników, którzy dziś powrócili już do swojej zimowej stolicy. W miejscu, w którym łamią się fale, czterech miejscowych chłopczków ciska do wody z ochotą małe płaskie kamyki, żeby odbiły się parokrotnie od powierzchni. Ta zabawa, a przynajmniej zawsze w to wierzyłem, musiała rozpocząć się jeszcze w paleolicie. Luis Federico jest diabłem wcielonym, nie zamilkł ani na chwilę przez całą drogę, wychwalając nieskromnie wspaniałości swoich map: „Są najbardziej ludzkie, jakie kiedykolwiek udało się stworzyć człowiekowi. Pociągi, tramwaje, samochody mają do użytku mapy dostosowane do gigantycznych odległości, które pokonują. Jakimi mapami może posłużyć się robotnik, który idzie do pracy ulicami albo polami? A mleczarka, która idzie od domu do domu, roznosząc swój bezcenny towar? – Tak właśnie powiedział: »bezcenny towar«. – Czy nie będzie wdzięczna,

wiedząc wreszcie, ile kroków musi pokonać i ile czasu jej one zajmą?”. Mało brakowało, żebym mu uświadomił, że najlepszy zegarek mleczarka ma w swoim żołądku, na każdym kroku przypomina jej o tym, że nie jadła śniadania, ale nie chciałem zmniejszać jego entuzjazmu. „Odległości zarówno w kilometrach, jak i w metrach też są krokami. Naturalnie nie wliczam w to mil morskich z przyczyn oczywistych”, kontynuował. „Nikt nie zrozumie mnie lepiej niż starszy człowiek. Starsi ludzie dużo chodzą, wiedział pan o tym? Ja sam również, z moją ponad pięćdziesiątką na karku. Kiedy lekarz nam radzi: proszę chodzić od dwóch do czterech kilometrów dziennie, pierwszą rzeczą, nad którą zastanawia się sumienny pacjent, jest, ile kroków wyrażają te dwa albo cztery kilometry, bo w krokach ma policzony tylko swój przedpokój, swój sad albo ogród, albo odległość z domu do knajpy. Moje mapy mówią mu właśnie o tym”. Na końcu drogi, która zamiera na plaży, komentuje nagle: „Najciekawsza z tego wszystkiego jest pańska pracownica. Czy proboszcz tutejszej parafii nie zagroził jej jeszcze, że wsadzi ją za kratki, jeśli jeszcze raz pokaże się w takiej spódnicy?”.

Piasek jest bardzo suchy i nasze stopy się w nim zapadają. Jak mogło być tamtej nocy? Chodzenie po miękkim piasku zajmuje więcej czasu, z tego powodu Lucio Etxe straciłby go więcej na pokonanie tego odcinka plaży, po którym teraz idziemy, zarówno żeby dojść, jak i żeby wrócić z kowalami. Trzeba wziąć to pod uwagę, mierząc czas.

Luis Federico Larrea nie wie jeszcze, po co go tu przyprowadziłem. Dotarliśmy do prawego końca plaży, zakątka Kobo, w stóp urwiska La Galea, gdzie złożono ciała bliźniaków po wyciągnięciu ich z wody. Rozpoznaję wielką skałę Felixa Apraiza sterczącą z morza, które będzie podnosić się jeszcze tylko przez godzinę.

– Niezwykły widok! – wygłasza Luis Federico, wdychając morskie powietrze pełną pierśią i omiatając spojrzeniem sto osiemdziesiąt stopni.

– Widok, który chciałbym zmierzyć – informuję go. – Niech pan zrobi wreszcie to, o czym marzy pan od początku, i otworzy tę swoją aktówkę, skąd potrzebuję jedynie czterech map: trasa stąd do drogi, z tej drogi w górę aż do kuźni Zallów i z powrotem tutaj. Bardziej niż odległość interesują mnie czasy. I nie czasy zwyczajne, ale czasy kroków biorących udział w biegu, dlatego że Lucio Etxe pokonał biegiem ten odcinek plaży i drogę do góry, żeby później, znowu biegiem, pokonać ją w dół i po raz drugi odcinek plaży. Biegiem dociera się szybciej... a i tak dotarł za późno. Czy dysponuje pan mapami ze wskazanymi odległościami?

– Na Boga! – obraża się.

– Nie byłoby żadnym występkiem, jeżeli zabrakłoby panu czasów biegów.

Ale Luis Federico Larrea uśmiecha się z dumą.

– Mam to, czego pan potrzebuje – zapewnia szczęśliwy. – To tak, jakby Opatrzność pomyślała o panu, kiedy mnie olśniła. Nie łamałem sobie głowy nad wariantami tych samych map, jeden zwykły numer korygujący załatwił całą sprawę: zero przecinek osiemdziesiąt siedem. W czasie prób, żeby go wyznaczyć, kazałem biegać mojemu dwunastoletniemu siostrzeńcowi, istna strzała, i mojemu dziadkowi, dziewięćdziesięcioczerolatkowi, i wyciągnąłem średnią. Dziadek zmarł miesiąc później, ale żywię głęboką nadzieję, że nie było to z winy tych biegów.

Przykazuje mi, żebym pottrzymał aktówkę, i wyciąga z niej cztery mapy, dokonując selekcji wśród pokaznego pliku świstków. Złotym wiecznym piórem spisuje numery na niezapisanej kartce i jednocześnie nuci z dumną pewnością:

– Czterysta trzydzieści cztery kroki po plaży (moje kroki spacerowe) dają siedem i trzy dziesiąte minuty; siedemset pięćdziesiąt kroków drogą w górę dwanaście i pół minuty; przy schodzeniu, z uwagi na to, że kroki są wydłużone, nie jest ich więcej niż siedemset trzydzieści dwa, co daje nam dziesięć i trzy dziesiąte minuty; czterysta trzydzieści cztery kroki po plaży w drodze powrotnej nie zajmą tyle samo czasu z uwagi na zmęczenie, tak więc liczymy osiem

i sześć dziesiątych minuty. W sumie razem kroków...

– Nie interesują mnie kroki, ważne są minuty.

– W sumie: trzydzieści osiem i pół minuty. Tyle czasu zajęło mi to w czasie eksperymentu. Jest to czas, który nie odpowiada przeciętnemu mieszkańcowi, więc powinniśmy użyć numeru korygującego. – Staje w miejscu, dokonuje ostatnich operacji i ogłasza światu:

– Trzydzieści trzy i pięćdziesiąt sześć setnych minuty! Co teraz zrobimy z tymi trzydziestoma trzema minutami i pięćdziesięciosześciami setnymi?

To pytanie domagające się odpowiedzi, i nawet ja sam muszę przyznać, że Luis Federico Larrea na nią zasługuje.

– O ile centymetrów podnosi się poziom morza w trakcie trzydziestu trzech minut i pięćdziesięciu sześciu sekund? W tym tkwi sęk.

– Sęk? Jaki sęk? Bardzo mi przykro, nie dysponuję mapami morskich wezbrań.

– Bardzo mi pan pomógł, don Luisie Federico. Dziękuję. Dostarczył mi pan pierwszej z niezbędnych informacji o fundamentalnym znaczeniu dla sprawy.

– Chodzi o ten sęk?

– Nie będę pana dłużej zatrzymywał. Za jakieś trzy, cztery dni dostaniemy kolejną książkę i czasopismo, które pan zamówił.

– Wyrzuca mnie pan z plaży?

Pytanie jest na tyle uprzejme, że mnie rozbraja. I nagle przed oczami staje mi scena, jak to Lucio Etxe dobija się do drzwi kowali...

– Te trzydzieści trzy minuty i pięćdziesiąt sześć sekund nam nie wystarczą! Zallowie zmarnowali za dużo czasu na wyskoczenie z łóżek, nim tragiczna sytuacja wreszcie dotarła do ich otępiałych łbów...

– Ma pan teraz na myśli bieg tego Lucia Etxe w górę i w dół, prawda?

– Trzeba dodać więcej minut. Z tego, co mi opowiedział, i ze sposobu, w jaki to zrobił, mając na uwadze jego rozpacz... dodałbym jeszcze, zaokrąglając... jakim jeszcze systemem mógłbym się posłużyć?... piętnaście minut. Tak samo nieuzasadnione byłoby czternaście, jak szesnaście. Ani pan, ani ja nie byliśmy tam wówczas i minęło już dziesięć lat. Tak więc do trzydziestu trzech minut i pięćdziesięciu sześciu sekund dodajemy piętnaście, co daje nam czterdzieści osiem i pięćdziesiąt sześć sekund. Nie wydaje się panu idiotyczna ta końcówka „pięćdziesiąt sześć”? Likwidujemy.

– Czterdzieści dziewięć – mruczy Luis Federico niechętnie.

Skała Felixa Apraiza znajduje się w odległości około stu metrów od nas. Spoglądam na nią. Ostatnie słowa mojego towarzysza brzmią jak poszukiwane przeze mnie brakujące obliczenie:

– Na czubku tej niewielkiej bryły zamordowano biednego chłopaka.

– Pamięta pan? Może to był tylko niefortunny wypadek?

– Wypadek? Jeśli się nie mylę, chłopak był skuty łańcuchami.

Nie zdaje sobie sprawy, w co się pakuje? Staram się zmienić kurs:

– Wreszcie znaleziono łańcuchy. Joseba Ermo trzymał je od tamtej pory w sekrecie.

Czekał, żeby minęło te dziesięć lat i żeby nawinął się jakiś lekkomyślny klient, taki jak pan.

Uśmiecha się.

– Między innymi jestem również, jak pan już wie, kolekcjonerem niezwykłych z rozmaitych powodów przedmiotów, a za tymi łańcuchami ciągnie się krwawa przeszłość. I właśnie tak, najzwyczajniej mnie opętały.

Przez jego twarz nie przetacza się żaden cień. Uśmiecha się nadal z tą fałszywą niewinnością, która właścicielom napchanych kieszeni pozwala wtrącać się wszędzie tam, gdzie

widzą ku temu okazję. Ta myśl sprawia, że raptownie stają się stanowczy.

– Tak, to zdarzenie nie zostało jeszcze wyjaśnione, był w nie zamieszany morderca, możliwe, że to ten sam, który wykradł łańcuchy ze sklepu żelaznego. Podejrzenia mogą paść i na pana, skoro tak pan ich pragnał... czyżby po to, żeby móc się ich pozbyć?

Jego twarz jest nadal pogodna. Ci ludzie żyją o parę stopni wyżej niż reszta śmiertelników.

– Dlaczego? – chce wiedzieć. Albo przynajmniej udaje zainteresowanie.

– Mogłyby może coś ujawnić. Kto je widział? Kto je dzisiaj pamięta?

– Posłużył się pan sformułowaniem „niefortunny wypadek”... Czy w nim również brały udział te łańcuchy?

– Byłoby to jeszcze bardziej uzasadnione, całkowicie uzasadnione, łańcuchy bowiem opowiedziałyby nam o pewnym fortelu niezwykle sprytnie zaplanowanym, w którym odegrały główną rolę. Jeśli ktoś naprawdę chciałby pozbyć się bliźniaków Altube...

– Ach, tak, prawda, to byli oni, Altubowie.

– ...zrobiłby to w dużo prostszy sposób, a nie w wyniku takiej koronkowej roboty.

– Koronkowej roboty? Bardzo to ciekawe! Jaką robotę ma pan na myśli, panie Samuelu?

– Teatr. Wymyślili farsę, którą ja osobiście uważam za wyjątkowo przemyślną. Wierzyli w nią tak bardzo, w jej rezultat, że gotowi byli zaryzykować własnym życiem. Uważali to za zabawę. Ale nie był to jedynie popis ich talentów. Chcieli jednocześnie zdobyć sobie przychylność naszej społeczności, zmyć swoją złą sławę, wzruszyć nasze serca. Powinniśmy przypuszczać, że chcieli również wrócić na prawą drogę, zacząć żyć uczciwiej. Nie chodziło o radykalną zmianę, zależało im tylko na pozorach. Dalej prowadziliby swoje ciemne interesy, ale w białych rękawiczkach, przeciwiczyliby ten nowy sposób przy okazji farsy, i jeśli się im udał, mogli wykorzystywać go podczas swoich negocjacji.

Nie wiem, dlaczego wbijam nagle zupełnie inne spojrzenie w Luisa Federico Larree, które go oskarża, mimo że ten nadal się uśmiecha.

– Jestem niewinny, proszę mnie nie inkryminować przez moje nazwisko – mówi. – Od najmłodszych lat rozporządzam rodzinnym majątkiem. Toteż nigdy nie miałem potrzeby, żeby trudnić się podejrzaną robotą w białych rękawiczkach. Jestem tym, kogo zwykle zalicza się do obywateli uprzywilejowanych.

Dotarłszy do tego miejsca, jego wkład w sprawę uważam za skończony.

– Naprawdę miło z pana strony, że pokazał mi pan swoje mapy. Teraz muszę poszukać następnych dowodów. Może jakiś zawodowiec zajmował się tą sprawą i opublikował swoje wyniki, ale nie mam o tym pojęcia. Chociaż, przyznam szczerze, wolę zbadać to samodzielnie i przede wszystkim na tej plaży i na tej skale.

– Ma pan na myśli to, o ile centymetrów podnosi się poziom wody w czterdzieści dziewięć minut?

W ramach odpowiedzi zaczynam zdejmować buty i skarpetki oraz podwijać nogawki spodni za kolana, żeby następnie pokonać te sto metrów, które dzielą mnie od skały Felixa Apraiza, po kamieniach i w wodzie. Woda wydaje się martwa, ale jest pełna życia i posuwa się naprzód, dopóki nie osiągnie swojego pułapu, co powtarza dwukrotnie każdego dnia od początków świata. Jej granica już nas dosięga – Luisa Federico i mnie – więc muszę się cofnąć i podejść po piasku do góry, żeby zostawić buty i skarpetki w bezpiecznym miejscu. Fale rozbijają się o skały i osłabione docierają do plaży. Luis Federico podąża za moimi krokami i słyszę, jak mówi:

– Zostanę jeszcze przez chwilę, jeśli to panu nie będzie przeszkadzać. Chciałbym móc podziwiać pański eksperyment, to bardzo ciekawe. W którym miejscu dokona pan pomiaru?

– Na tej pionowej ścianie skały, która jest naprzeciwko nas – odpowiadam i schylam się, żeby zaopatrzyć się w mały, ostro zakończony kamyk, który posłuży mi za rylec.

Woda jest zimna i po paru krokach sięga mi już kolan.

– Proszę chwilę poczekać – woła don Luis Federico za moimi plecami. – Nigdy nie ruszam się z domu bez mojej centymetrowej miarki.

Mamrocze do siebie cicho, ty durniu! przez moje zapominalstwo i wracam na granicę między dwoma światami, gdzie czeka na mnie Luis Federico ze swoją okrągłą centymetrową miarką. Nagana w jego głosie była najdelikatniejsza z możliwych, ale i tak unikam jego wzroku.

Morze rozciągające się w pobliżu skały Felixa Apraiza jest jeszcze spokojne, skała jest jakby falochronem. Woda, która spowalnia posuwanie się naprzód moich nóg, kipi zimnym bulgotem, który zapowiada, że szczyt morskiego przyływu zerwał kajdany. Staram się zachować równowagę na śliskich kamieniach na dnie, posuwając się coraz głębiej, a kiedy znajduję się obok skały, woda moczy już moje spodnie podciągnięte do ud.

Stoję przed ścianą, prawie pionową, wysoką na trzy metry, gdzie dokonam pomiaru. Nie widzę stąd haka znajdującego się w jednej trzeciej po części wewnętrznej na innej ścianie skały. Łańcuchy utrzymywały szyje bliźniaków pomiędzy pół metra a dwoma metrami nad hakiem, w czasie gdy woda podnosiła się nieubłaganie, sięgając do ich otworów oddechowych, ale Lucio Etxe i kowale wrócą, zanim... Muszę się pospieszyć, przyływ podnosi się również i teraz... Ale tylko jeden bliźniak ocalał. Prąd i fale splątały łańcuchy i jeden stał się krótszy? Z drugiej strony, co mogło zawieść? Czyżby zmienił się wiatr i przyływ wezbrał dużo szybciej? Albo może tego dnia Lucio Etxe się spóźnił?... Uwijając się, przykładam do ściany miarkę centymetrową, odmierzam jeden metr i za pomocą krzemienia zaznaczam w patynie z soli dwie głębokie rysy na jego obydwu końcach, na górze i na dole, i teraz kolejną, gdzie w tym momencie znajduje się poziom wody, i jeszcze parę dodatkowych co decymetr.

– Wszystko dobrze? – słyszę Luisa Federico.

Co zrobiłem teraz nie tak? Tracę nim zainteresowanie. W trakcie powrotu woda popycha od tyłu moje nogi i nie wiem dlaczego, ale przychodzi mi do głowy, że w przyszłości morze także stanie po mojej stronie.

Z naszego punktu obserwacyjnego na plaży staram się dostrzec trzy białe otwarte pęknięcia. Tak, widnieją tam, ale wcale niełatwo je dostrzec.

– Szósta pięćdziesiąt trzy – mówi Luis Federico, odczytując ze swojego zegarka z dewizką.

„A żeby mnie pokręciło!”, myślę. O tym też zapomniałem. Poza tym wyjmuję nie wiadomo skąd małą lornetkę teatralną i podaje mi ją, dodając:

– Myślę, że odległość domaga się drobnej pomocy. I dzięki temu będziemy mogli usiąść trochę wyżej.

Siada Luis Federico i siadam ja, zapominając o zziębniętych nogach i mokrych spodniach. Lornetka przechodzi z rąk do rąk ze zbędną częstotliwością. Nie jest łatwo kontrolować rzeczywiste podnoszenie się wody – fale rozbijające się o skałę i tworzące wokół niej wir dają fałszywy obraz wzrostu poziomu wody, która potem opada, a w trakcie tego cofania się pojawia się punkt, niemożliwy do ustalenia, który wyznacza za każdym razem nowy i prawdziwy poziom. Mój towarzysz nie przestaje odliczać z wielkim entuzjazmem minut, które upłynęły od czterdziestu dziewięciu. „Piętnaście, dwadzieścia...”. Poziom nie sięgnął jeszcze połowy naszego metra. „Czterdzieści, czterdzieści pięć, czterdzieści siedem...”. Wodny wir przykrywa gwałtownie środkową rysę, która pojawia się, po czym znika, aż wreszcie przestaje być widoczna, a chwilę wcześniej Luis Federico odliczył: „Czterdzieści osiem!”. Nie uganiamy się za niemożliwą precyzją, przez chwilę naradzamy się nad rachunkiem bardziej naukowym

i ustalamy, że pięćdziesiąt dziewięć centymetrów to tyle, ile podnosi się woda w czterdzieści dziewięć minut.

Przynajmniej na tej plaży, o tej godzinie, z tym wiatrem, z tym księżycem i z tym przybliżeniem.

– To było niesłychanie emocjonujące! – wygłasza Luis Federico.

Przyglądam się jego niemowlęcym pulchnym policzkom w kolorze czerwonych jabłek, marząc, żeby stąd zniknął. Rzucam do niego z okrucieństwem:

– Zdaje pan sobie sprawę, że ktoś przed panem zaopatrzył się we własną mapę kroków i czasów?

## Dziwna prośba Bidane

Koldobike jeszcze nie zamknęła... Tak, bliźniacy musieli iść po moich krokach, żeby wyznaczyć te czterdzieści dziewięć minut, czas, który zajął Luciowi Etxe powrót z posiłkami... W rzeczywistości tym, który podążał ich krokami, byłem ja... W ten sposób udało im się policzyć czas, a następnie cofnęli wskazówki, aż do godziny zero, do momentu, w którym zamknęli małe kłódki przy swoich szyjach. Trzeba przypuszczać, że dodali dla bezpieczeństwa parę dodatkowych minut do tych czterdziestu dziewięciu, przewidując, że...

Światło wypada przez szpary z obydwu krańców zielonego materiału, który zasłania szybę w drzwiach. Kto ją zasłonił?...

Leżę jak długi na podłodze, a ktoś leje mi wodę na głowę i słyszę Koldobike, która powtarza: „Dranie, dranie, dranie!”, ale nie ma jej nigdzie blisko.

– Księgarz otworzył oczy. – To męski głos. Chyba rozpoznaję po nim jednego z przyjaciół falangistów Luciana.

Leżę u stóp naszego działu specjalnego, przedmioty nie przestają wirować.

– Możesz ją już wypuścić – mówi ten sam głos.

Zaciekle dobijanie się do drzwi łazienki wyprzedza nadejście Koldobike i drugiego falangisty.

– Tym razem go zabiliście?! – krzyczy Koldobike, odsuwając tego, który stoi obok mnie. Klęka i podnosi moją głowę, żeby oprzeć ją na swoich kolanach.

– Albo będziesz cicho, albo zamknę cię z powrotem w sraczu – mówi drugi głos.

Chusteczka delikatnie ociera mi twarz i włosy.

– Odzyskałeś słuch, księgarzu od siedmiu boleści? – pyta mnie pierwszy. Mam bliżej jego buciory niż jego twarz. – Powiemy ci to tylko raz: załatw, żeby twój nowy nieszczęsny przyjaciel posłał swoją powieść do stu diabłów.

– I tylko z tego powodu? ... – zawodzi Koldobike.

– Jeśli będziemy musieli przyjść tu znowu, powiesimy kartkę: „Likwidacja z powodu śmierci właściciela”.

I gładzi, cały napuszony, koszmarną kaburę, w której spoczywa gnat. Jego twarzy dodaje urody – bądź też ją szpeci – zuchwały wąsik charakterystyczny dla ludzi jego pokroju.

– Na bohaterskie misje trzeba zaopatrzyć się w artylerię – mówi Koldobike.

Słyszalnego odgłosu szybko wymierzonego policzka nie da się z niczym pomylić, to robota drugiego falangisty, który musiał ugiąć karku.

– Jej nie! – proszę. Mój głos jest tak nerwowy, że sam go nie rozpoznaję. – Ten facet pisze, co chce, i nie zależy to ode mnie.

– Ty go zatrąłeś i straciliśmy go.

– Straciliście?

– Zapomniał o Falandze i o kumplach. Wcześniej czytał nam patriotyczne wersy, które sam układał, a na koniec śpiewaliśmy zawsze *Cara al sol*. Przysięgam, księgarzu, że jeśli nam go nie zwrócisz...

– Nie mogę.

Osoba, która teraz z łoskotem wali w drzwi od ulicy, nie ma zamiaru kupić żadnej książki. Falangiści patrzą na siebie, a ten z wąsikiem bąka: „To on”, drugi kiwa głową, a pierwszy rozkazuje Koldobike:

– Idź otwórz.

Ona zdejmuje z siebie wełniany serdak, składa go na pół i podkłada mi pod głowę. Kiedy otwiera drzwi, Luciano rzuca się w stronę niebieskich koszul, krzycząc pochopnie:

– Idioci, zabiliście go?

Widząc mnie przy życiu, stara się postawić mnie na nogi, szarpiąc za ramiona, ale Koldobike staje mu na drodze.

– Zostaw go w spokoju, chcesz go dobić?

– Tak mi przykro, tak mi przykro... To przez tę wojnę... Nadal żadnej poszlaki... nawet żadnej mizernej teorii! Wczoraj przesłuchałem wielkiego don Efrene Bascarda. – Koldobike i ja patrzymy na siebie: to tłumaczy list magnata z tego poranka. – I jego sekretarza czy kimkolwiek jest ten cały Aurelio Altube. Rozmowy z don Efrene nawet trudno nazywać przesłuchaniem... Jak można by podejrzewać kogoś, kto wydał tyle milionów na zbrojenia dla Franco?... Aurelio Altube, owszem, miał szansę zobaczyć we mnie kompetentnego detektywa. – Drugi raz Koldobike i ja wymieniamy spojrzenia. Jak mogliśmy przeoczyć brata bliźniaków? – Cóż za wspaniałe realistyczne dialogi wychodzą mi spod pióra! Zrozumiesz, że nie chcę dzielić się z tobą swoimi odkryciami. Piszę nocami, całymi nocami. Szukałem cię, żeby dać ci moje ostatnie zapiski i poznać twoją opinię. Wiem, że nie skłamię o tekście literackim.

Wyciąga z kieszeni zwitek kartek i kładzie swój skarb na krześle.

– Zostawiam was – żegna się. – Tej nocy muszę przeprowadzić ważną operację. Nie chodzi o politykę. Cieciora. Zwyczajne dzisiejsze interesy, jak te z Eladiem Altube.

I wychodzi.

Pierwsze, co robi Koldobike, to podbiega do drzwi i zamyka je na haczyk. Wykorzystując jej chwilową nieobecność, staram się podnieść do pozycji wertykalnej. Pomagam sobie ręką opartą o krawędź półki działu specjalnego. Głowa reaguje dobrze, tylko mnie boli.

– Usiądź.

Nie potrzebuję jej pomocy, ale Koldobike podtrzymuje mnie, kiedy idziemy w stronę kantorka.

– Usiądź – powtarza.

– Wolałbym rozprostować nogi.

– Chodzi o to, że muszę ci coś powiedzieć. – I sadza mnie na krześle. – Była tu znowu Bidane Zumalabe. Wyszła niedługo przedtem, zanim pojawili się ci *lochabacos*<sup>4</sup>. Biedaczka trzęsie się jak osika. Boi się, co może przydarzyć się jej mężowi. Nie odrywała chusteczki od oczu.

– Nic nowego. – Czuję, że moja głowa wolałaby, żebym nic nie mówił. – W tym momencie lepiej zaczekać, aż zabójca się zdradzi. Aż, na przykład, popełni jakiś błąd.

– Nie masz serca. Jeśli zabiją jej męża, ta kobieta umrze. Zastanawia się, jaki ma obowiązek jako żona. Wyznała, że jej mąż nie wie, skąd może nadejść kolejny atak. Łapała mnie za rękę i zawodziła: „Nie ma pojęcia!”. Potrzebuje pomocy, Sam.

– Jest w tej samej sytuacji, co my wszyscy, nikt z nas nie ma pojęcia. Skąd może nadejść na niego atak? A skąd ma być? Czy jest aż taka głupia?

– Z jej ust wydobywały się słowa, które same sobie przeczyły, nie było siły, żeby ją zrozumieć. Mogłam odczytać, że jej strach jest większy w nocy, i jeśli mąż jest razem z nią, może na chwilę zasnąć. Powiedziała mi: „Ale dzisiaj nie będzie go przez całą noc”. – Wzruszam ramionami. – Chciałaby, żebyśmy dotrzyмали jej towarzystwa. I powiedziałam jej, że tak zrobimy.

– Co takiego?!

Moja biedna głowa eksploduje w wyniku podniesionego przeze mnie głosu.



- Tak naprawdę to miała na myśli ciebie, ale włączyła mnie, żeby ludzie nie gadali.
  - A ja nie mam już nic do powiedzenia? Dlaczego jej nie powiedziałaś, że to wszystko było niefortunną zabawą, którą wymyślili sami jej mąż i szwagier? Wszystko jej opowiem, a strach zniknie jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki.
  - Nie mówiłbyś tak, gdybyś ją widział i słyszał. Oni – Koldobike wskazuje na dział specjalny jednym skinieniem głowy – nie wahają się narażać na niebezpieczeństwa, żeby pomóc kobietom w tarapatach. Poza tym nie tracą okazji, żeby powęszyc w domach, w których rozgrywają się ich historie. Stare gospodarstwa, takie jak Zumalabena, skrywają zawsze wiele tajemnic. – Czekaj, żeby zobaczyć moją reakcję, a ponieważ milczę, podsumowuje:
    - Wybierzemy się tam na spacer.
    - Eladio Altube mógłby ją uspokoić, gdyby po prostu wyjawiał jej swoją tajemnicę.
- Dlaczego tego nie robi? Porozmawiam z nią.
- A jeśli się mylisz? Nie obchodzi cię, że zostaniesz bez powieści przez brak mordercy?
  - Jedyne, czego pragnę w tej chwili, to przespać się tej nocy we własnym łóżku.
  - Poza tym wszystkim wydaje mi się, że Bidane Zumalabe nie jest tak blisko męża, jakby chciała. On jest tak zajęty tymi wszystkimi swoimi interesami. Będzie jej miło, że ją odwiedzimy, sam zobaczysz... Teraz rzucę jeszcze okiem na tego guza, którego masz na czaszce.

Jest mi całkowicie obca radość, którą Koldobike ulokowała w tym spacerze, dlatego narzuciłem pociąg. Wsiadliśmy do niego w Algorcie, o dziesiątej wieczorem, żeby udać się w kierunku Larrabasterry, miasteczka oddalonego o cztery kilometry. Po zamknięciu księgarni każde z nas udało się do swojego domu, ona żeby zjeść kolację i się przebrać – przyszła w żółtej jesionce – a ja, żeby spożyć bez specjalnego apetytu przepisowy kubek mleka z grzankami, wytłumaczyć siostrze, że to nocne wyjście nie powinno dawać jej żadnych powodów do niepokoju – wspomniałem o Koldobike, żeby ją uspokoić – oszukać amę i wziąć prochowiec oraz kapelus. Guz na mojej głowie łatwo uszedł jej uwagi w związku z całą tą sprawą.

Turkot kół wagonu błyskawicznie zwalcza moją senność. Zamierzam potraktować tę nocną wizytę jako przyjemny antrakt.

Siedząca obok mnie na drewnianej ławce Koldobike objaśnia mi całą sytuację:

– Nigdy nie słyszeliśmy nic dziwnego o małżeństwie Bidane i Eladia, ale, owszem, wiemy, że byli bardzo w sobie zakochani jako narzeczeni. Choćby i bardzo się kochali, bardzo cię kocham nie zawsze załatwia całą sprawę. Po śmierci Leonarda Eladio zaczął cierpieć na paranoję. Prawie przez rok nie widział się z Bidane. Czemu ona była winna, że zabili brata jej narzeczonego? W tamtym czasie bliźniacy mieszkali w starym gospodarstwie, opuszczonym i zrujnowanym, którego byli właścicielami, w Berango. Mając niewiele więcej niż po dwadzieścia lat, dysponowali już chyba zaskórniakami, ale mogło być i tak, że dostało im się to gospodarstwo po tym, jak oszukali jego właściciela. Mówiono też, że kupili je za te srebrniki, które ukradli Efrenowi Baskardo, kiedy dla niego pracowali. Rzecz polega na tym, że to nieprawda, jakoby Bidane i Eladio przez cały tamten rok się nie widzieli. Bidane przychodziła do gospodarstwa, wołała go, a Eladio wychylał głowę przez okienko w sypialni. Ona prosiła go, żeby zszedł, a on mówił do niej głosem jak zza grobu. Ale chciał być sam, dużo go kosztowało, żeby przetrwać śmierć brata... No i w końcu się pobrali, a teraz mieszkają w Zumalabenie, w gospodarstwie jej rodziców, już świętej pamięci.

– I teraz wieśniaczka ma stracha.

– A Sam wybawi ją z tarapatów.

*Lochabacos* to w języku baskijskim bezwstydnicy.

## W Zumalabenie

Zumalabena jest dużo większa niż pozostałe gospodarstwa. Wznosi się w ciemnej dolinie, a szemrzący potoczek, który wydaje się jedynym, co żywe w okolicy, przynosi orzeźwienie. W ani jednym oknie nie pali się światło, ani jeden ognek karbidówki przy wejściu nie wita spodziewanych gości. Koldobike uderza w stare drzwi kłykciami palców.

– Na twoim miejscu zdjęłabym ten krawat i kapelusz – mówi.

Mam czas, żeby je ściągnąć, zanim drzwi otworzą się bezgłośnie, i schować na dnie kieszeni prochowca. Drzwi nie były zamknięte ani na klucz, ani na zasuwkę, a jedynie na haczyk, co nie przestaje mnie zdumiewać. Bidane ma na sobie szary wełniany serdak i czarną spódnicę oraz rozpuszczone włosy.

– Dziękuję – szepce, ustępując nam drogi, żebyśmy mogli wejść. – Tędy.

Zapalona lampa naftowa, którą trzyma w jednej ręce, jest naszym przewodnikiem po korytarzu spowitym ciemnością. Więcej niż jedna krowa muczy w głębi. Wszystkie nasze stare jadalnie wyglądają tak samo, nie licząc sypialni, zamkniętych przed gośćmi, i kuchni. Najbardziej wychuchanym pomieszczeniem jest zawsze jadalnia, w której nigdy nic się nie je, zarezerwowana dla bliskich na specjalne okazje. Bidane stawia lampę naftową na środku nieskazitelnie białej serwetki na okrągłym stole.

– Cóż za piękne zdjęcia! – zachwyca się Koldobike.

– Cała rodzinna historia. *Ama* zawsze wynajmowała fotografa na narodziny, komunie, śluby, urodziny, wiejskie zabawy i pogrzeby. Między tymi wszystkimi wspomnieniami i świętymi na ścianach nie ma już na nic miejsca.

Rzeczywiście, ściany obwieszane są dziesiątkami obrazków, większość z nich jest stosunkowo niewielkich rozmiarów, i małymi zdjęciami w bardzo surowych ramkach. W grubych ramach z poczerńiałego złota wiszą z kolei święte obrazy: brodaty Pan Bóg, Jezus Chrystus, Matka Boska, Ostatnia Wieczerza, Mojżesz ze swoimi tablicami... Oni wszyscy i inni, zwykle święte obrazki z katechizmu. W ciszy Bidane wskazuje palcem dwie fotografie, jedna nad drugą. Koldobike i ja podchodzimy bliżej.

– Ja z Eladiem i ja z Leonardem.

Są to zdjęcia z jakiegoś festynu, Bidane w tej samej sukience na dwóch zdjęciach, oraz Eladio i Leonardo, jeden w marynarce, a drugi w kaiku. Obaj z taką samą miną i w rozrywkowym nastroju. Ale który z nich to ten na górze, a który na dole? Bidane nie czeka, że zdamy się na łut szczęścia, tylko że zapytamy. Właściwie samo rozmieszczenie fotografii daje preferencję jednej nad drugą, a nam wskazówkę.

– Ten na górze to Eladio.

– Nie wiem – odpowiedź Bidane jest zdumiewająca.

– Jak to nie wiesz?

– Minęło ponad dziesięć lat, teraz są dużo bardziej podobni, niż byli wtedy. To to samo, co z upływem czasu przytrafia się małżeństwom.

– Ale dziesięć lat temu widziałas twarz Leonarda po raz ostatni, nie możesz zakładać, że dzisiaj byłiby do siebie bardziej podobni, nie możesz ich porównywać. Musisz zdać się na swoją pamięć. Byli jak dwie krople wody, Getxo zawsze ich ze sobą myliło. Ja sam nigdy nie wiedziałem, z którym rozmawiam. – Patrę na Koldobike, która kiwa głową, i staram się, wskazując na nią ręką, żeby Bidane też spojrzała, ale jest za bardzo skupiona na mnie. – Ty byłaś

w stanie ich rozróżnić? – I wyczekuję z napięciem odpowiedzi.

– Tak.

– Te zdjęcia pochodzą z tamtego okresu, a więc który z nich to Eladio?

– Nie wiem – powtarza. I dodaje: – Nigdy nie przestałam ich widzieć.

– Oczywiście, Eladia naturalnie, ale tego drugiego?

– Też. Stał się taki podobny przez te dziesięć lat, że na tych starych fotografiach wcale siebie nie przypomina.

Nie ma sensu ciągnąć tego dalej, kobieta plecie bzdury. Koldobike daje mi znaki, żebym zachował spokój.

– Coś wam przygotowuję – mówi Bidane.

– Jesteśmy po kolacji – odpowiada Koldobike.

– W takim razie przejdźmy się po domu, żebyś ty... Samuelu – waha się, wypowiadając te słowa – zobaczył, co trzeba zmienić, żeby mój mąż był bardziej bezpieczny, i strach opuścił te cztery kąty. Mężczyzna, który zabił, może znowu zaatakować...

– Dlaczego mężczyzna, a nie kobieta? – przychodzi mi do głowy pytanie i nawet sam nie wiem, dlaczego to mówię.

Koldobike znowu daje mi znaki.

Bidane Zumalabe wygląda, jakby w nią piorun strzelił.

– Co takiego? – Jej jęk brzmi jak gwizd wiatru. – Kobieta? Jaka kobieta? Jak się nazywa? Jest bardzo podenerwowana i przestała nad sobą panować.

– Nie zwracaj na niego uwagi, to taki żart – Koldobike przychodzi jej z pomocą.

I nagle Bidane pyta:

– A dlaczego nie jakaś kobieta?

I opada bez sił na krzesło. Koldobike stara się ją uspokoić, kładzie na jej głowie dłonie i powtarza, żeby dodać jej otuchy:

– Nie ma się czym przejmować, nie ma czym... – Tak jakby chodziło o małą dziewczynkę.

Posyła mi spojrzenie pełne wyrzutu, ja wzdycham i przez jakiś czas milczę, po czym pytam:

– Ktoś, obojętnie kto, wysyła wam pogróżki? Dlaczego?

Bidane jedną ręką odtrąca spoczywającą na jej czole dłoń Koldobike.

– Nie widzę żadnych podejrzanych cieni wokół domu ani nie dochodzą mnie podejrzone głosy zza okien, nie słyszę urywanych słów wypowiedzianych przez nie wiem kogo, mówiących o zmarłych, ani z pól, żadnych, które mogłyby mi się wydać obelgami czy pogróżkami... Takie rzeczy przytrafiają się wariatom, a ja nie jestem wariatką. Mam swoje powody, żeby wierzyć, że na mojego męża wydano wyrok.

– Swoje powody? – Nie ma innych powodów niż te, o których ona wie, w związku z czym nie popełniam żadnej nieostrożności. – Nie ma wątpliwości, wszystko zaczęło się od tych dwóch zamachów, których Eladio padł ofiarą później i o których sam mi opowiedział, a przypuszczam, że tobie też.

– Eladio nie mógł ci nic opowiedzieć! – wykrzykuje Bidane. Chusteczka, którą nie wiadomo skąd wyjęła, zaczyna dotykać skóry wokół oczu. – Nie, nigdy mi o tym nie mówił...

– Żeby cię nie niepokoić – mówi Koldobike.

– Dlatego, że na pewno było ich więcej, więcej niż te dwa – mówię ja. – Dziesięć lat to sporo czasu.

Koldobike rzuca mi spojrzenie pełne wyrzutów, ale wydaje mi się, że wypłynęliśmy już na spokojniejsze wody.

– Może nic ci nie powiedział, dlatego że prawda jest zupełnie inna – dodaję.  
– Zupełnie inna? – Bardziej niż pytanie brzmi to jak lament. Bidane zapomniała o swoich oczach i o chusteczce.

– Nie ma innej prawdy, prawda jest tylko jedna. Zastanówmy się, czy leży po stronie prawdziwych zamachów, czy po stronie fałszywych. Dlatego że Eladio nie mógł cię oszukać w obydwu sprawach...

Koldobike definitywnie porzuca głowę Bidane i rusza w moim kierunku.

– Daj wreszcie spokój! – mówi cicho, żeby słowa nie doleciały do uszu jej protegowanej.  
– Przyszliśmy tu, żeby pomóc, a nie siać jeszcze więcej strachu.

– Wszyscy chcemy poznać prawdę, i ja też. I ty. A ta kobieta bardziej niż ktokolwiek...  
Chociaż na to nie wygląda, właśnie jej pomagam.

Koldobike parska, podchodzi pół kroku w moją stronę i szepce do mnie tak, że Bidane nie może jej usłyszeć:

– A jeśli ona nie chce znać prawdy?

– Wszyscy chcą poznać prawdę! Całe życie zadajemy sobie pytanie, co jest prawdą i gdzie jest... I tylko w trumnie będziemy mogli ją poznać. Tej kobiecie dajemy właśnie szansę...

– Nie przesadzaj, nie jesteś Bogiem. Moim zdaniem, to ty dajesz szansę sobie!

– Koldobike jest wściekła. – Wydaje się, że twoje śledztwo domaga się ofiary z niewinnej kobiety.

– Nic gorszego nie może mi się już przytrafić. – Delikatne melodyjne słowa Bidane ucinają naszą kłótnię. Powtarza je płacząco, prawie niedosłyszalnie, pokazując tym samym swoje budzące się emocje. – Nic gorszego nie może mi się już przytrafić.

Cisza, która zapada, jest prologiem. Z trudem przełykam ślinę i mówię sam do siebie: „Nie jesteś nikim więcej jak tylko opowiadaczem tej historii, z jej wszystkimi marami. Oni czasami też uważali się za bogów”. Odkasłuję i pytam żony ofiary, której cudem udało się ująć z życiem, bez względu na przyjętą wersję wydarzeń:

– Kiedy wyznał ci, że to wszystko było tylko bujną, przed ślubem czy po?

Kontemplacja Bidane, która nie ma pojęcia, o czym do niej mówię, pomaga mi nie zwracać uwagi na kolejne parsknięcie Koldobike.

– Plaża, łańcuchy na skale Felixa Apraiza, utonięcie Leonarda... – naciskam jednak.  
– Wszystko to mogło być zabawą z makabrycznym zakończeniem, którą wymyślili sami bliźniacy.

Przeżalone otwarte usta nie mogą nic powiedzieć. Później powinna zadać pytanie, dokładnie: „Ale po co?”. Jednak ta głowa nie jest już w stanie logicznie myśleć. W zamian wybucha:

– Moje biedne kochanie! Mój ty biedaku! – Rzewna modlitwa, która miesza wszystko i niweczy całą sprawę. Wstaje, jeszcze nie całkiem doszedłszy do siebie, wychodzi z jadalni, mrużąc pod nosem: – Co za pomysł, że to niby ich sprawa... – Dopiero w korytarzu przypomina sobie o nas. – Chodźcie, chodźcie – zaprasza.

Idziemy za nią i trzy kroki później wyłania się przed nami wielkie pomieszczenie, w którym wszelkie hałasy cichną. Lampa naftowa Bidane oświetla najczystsza stajnię, jaką kiedykolwiek widziałem. Nie ma osła, kur ani królików, i chociaż ta para krów kojarzy się z dużą ilością gnoju, pachnie różami. Bidane podchodzi do drzwi, zamkniętych, naturalnie.

– Ta kobieta się nie boi – mówię cicho do Koldobike. – Zdjęła tylko haczyk, żeby otworzyć nam drzwi. Nie były zamknięte na klucz. Ani na zasuwkę. Chociaż była tutaj zupełnie sama.

– Czy te drzwi wydają się wam bezpieczne? – chce wiedzieć Bidane.

Kogo boi się ta kobieta? Zwłaszcza że jej mąż nie obawia się niczego. Jego interesy czy szwindle trzymają go cały dzień poza domem – żona musi mu nosić obiad tam, gdzie akurat przebywa – i z tego, co widzieliśmy dzisiaj, również zajmują go w nocy. Jeśli coś by jej groziło, nie zostawiałby jej samej. Albo sam woli nie zaprzętać sobie tym głowy i dlatego nie wspominał jej o nieudanych zamachach na swoje życie.

– Eladio poszedł na plażę, żeby łowić? – pyta Koldobike.

Moja dziewczyna zastanawia się nad tym samym, co ja.

– Nie, załatwia interesy – odpowiada Bidane.

W każdym z możliwych scenariuszy ta kobieta przez dziesięć lat cierpi z powodu tej samej udręki – obawy, że morderca wróci, żeby dokończyć to, co zaczął. A jednak nigdy nie poprosiła o pomoc. Przynajmniej nie nas. Prawdą jest też, że do tej pory nie było prywatnego detektywa, Samuela Esparty, do którego mogłaby się zgłosić.

Jaki spokój spłynąłby na Bidane, gdyby usłyszała od męża takie wyznanie: „Kochana moja, to my, twój zmarły szwagier i ja, urządziliśmy ten cyrk, tylko że coś poszło nie tak i jeden z nas stracił życie!”. Gdyby przyznał się do porażki, zachowałby się jak niezwykle łaskawy mąż... chociaż nie widzę Eladia Altube w tej roli. A w roli oszusta? Tego, który na oczekaniu wymyśla całą intrygę, której mogło też wcale nie być, jedynie po to, żeby wyzbyła się strachu. Też nie widzę go w tej roli.

Deski, z których zbito te stare drzwi, są na tyle wysłużone, że przez niektóre szpary można by włożyć rękę. Wystarczy jednak spojrzeć na rygiel, na który się zamykają, żeby zapomnieć o pokusie i nie próbować stawić im czoła.

– Jak skała – mówię, wymierzając w drzwi kopniaka.

– Jesteś pewien?

– Samuel zna się na drzwiach – zapewnia Koldobike.

Jeśli Bidane by udawała, wyczułaby ton w głosie, ale jej twarz nie wyzbyła się bruzd, a o ręce, która podtrzymuje lampę naftową, można powiedzieć wszystko, tylko nie to, że jest opanowana. Do tego dochodzi strach, z jakim oprowadza nas po stajni, zatrzymując się przed każdym okienkiem. To wszystko sprawia, że moja pewność zaczyna się kruszyć i nie wiem już, co o tym sądzić. Patrząc na Koldobike i wydaje mi się, że cieszy ją ta zmiana.

We wszystkie okienka został wstawiony poprzeczny pręt, zupełnie niepotrzebnie, ponieważ nawet bez niego przez okienko mogłoby się przecisnąć najwyżej dziecko. Przywołuję obrazy z innych stajni, żeby zauważyć:

– Po co to żelastwo? – Muszę wysoko podnieść rękę, żeby dotknąć jednego. Nieznaczna rdza na jego powierzchni każe mi przypuszczać, że nie są tak stare jak całe gospodarstwo.

– Okienka są tak wąskie, że...

– Nie było ich za czasów rodziców – tłumaczy mi Bidane. – Mój mąż je wstawił, kiedy przeprowadziliśmy się do Zumalabeny.

Oczywiście, to pasuje do teorii zamachów na jej męża. Ale to ona teraz odczuwa strach, nie on.

– Uważaj!

Zbyt późno słyszę głos Bidane, kiedy mój nos zdążył już uderzyć w gruby dębowy słup. Eladio tak lubi napychać sobie kieszenie, że nie starcza mu pieniędzy, żeby założyć elektryczność we własnym domu?

– Jesteś cały? – Koldobike podchodzi do mnie.

– Pamiętaj, że jestem twardy jak skała.

– Co ci się stało w twarz? – chce wiedzieć Bidane.

Jej ukradkowe spojrzenia od czasu, kiedy się tu znaleźliśmy, kazały mi przypuszczać, że

już od dawna ledwo powstrzymuje się, żeby nie zadać tego pytania.

– Dzisiaj rano ktoś położył papier ścierny zamiast mydła.

Zumalabena jest ogromna. Przypatrzyłem się dobrze kratom w kuchni, sypialniach i innych pomieszczeniach. Sprawdziłem nawet pod łózkami. Bidane wydaje się spokojniejsza. Odchrząkuję i zaczynam:

– Eladio wpakował tu tyle żelastwa...

– Nie wszystkie kraty założył on, niektóre już tu były – ucina Bidane. – Chociaż on je wszystkie wzmocnił.

– Niech będzie... założył kraty, wzmocnił... A jednak teraz nie ma go tutaj, jest gdzieś po drugiej stronie tych krat. W dodatku w nocy.

Oczy Bidane znowu przepelnia lęk.

– Nie zdaje sobie sprawy z niebezpieczeństwa, które mu grozi – mówi kobieta z powagą, z którą profeta obwieszcza katastrofę.

Nie pierwszy raz odzywa się w ten sposób. Na Koldobike wywarło to wrażenie. Trzeba przyznać, że te dwie godziny, które jesteśmy zamknięci w tej ciemności, robią swoje.

– Cholera! – wyrzuca głucho moja sekretarka.

Powinienem teraz rozpocząć zwyczajowe przesłuchanie, które przeprowadza każdy detektyw, żeby się dowiedzieć, co takiego wie Bidane, czego nie wie Eladio. Tym, co mnie hamuje, jest przeświadczenie, że nie byłoby to standardowe przesłuchanie przeprowadzone przeze mnie, tylko przeprowadzałyby je ona, dlatego że domaga się go, od kiedy przekroczyliśmy próg jej domu. Wydaje się, że jej odpowiedzi nie były odpowiednie, bo moje pytania też takie nie były, więc oczekuje nowych, które dałyby jej możliwość, żeby opowiedzieć swoją historię.

A może nie nadszedł jeszcze właściwy moment. To dziwna sytuacja i chciałbym móc podzielić się tym spostrzeżeniem z Koldobike. Ale teraz jest to niemożliwe. Bidane Zumalabe wezwała nas, żebyśmy jej pomogli, chociaż nie powiedziała dokładnie, na czym ta pomoc miałaby polegać. Nie zamieniłbym tej nocy na żadną z tych, które przeżyli oni.

– Która godzina? – pytam.

– Dwunasta dwadzieścia pięć. – Koldobike podwinęła sobie rękaw kurtki, żeby spojrzeć na zegarek.

Wróciliśmy do jadalni. Bidane pozwala nam trochę odetchnąć albo chce po prostu dać nam chwilę odsapnąć po wieczornym obchodzie całego obejścia, zanim pośle nas do łóżek.

A właśnie, w czasie naszego spaceru nie zauważyłem ani śladu dwóch łóżek przygotowanych dla gości, moją uwagę zwróciło tylko potężne łóżko małżeńskie właścicieli. Ach, Bidane przeprasza nas na chwilę.

– Gdzie ma zamiar nas położyć? Na podłodze? – syczę.

Na twarzy Koldobike pojawia się więcej cieni niż te, które krążą wokół niej.

– Coś znacznie gorszego chodzi mi po głowie... Mówię ci, Sam, wpakowałam cię w pułapkę, chcąc cię wyeliminować. Miej oczy szeroko otwarte, Eladio Altube czai się w którymś rogu, żeby zdzielić cię kijem. Później, postępując zgodnie z kryminalną logiką, będzie musiał poczochnąć moje piękne tlenione kosmyki.

– Twoje złe przeczucia sprawiają, że moja teoria odnośnie do fałszywego zamachu wydaje się wielce prawdopodobna. Czy było to tak ważne dla bliźniaków... i jest w dalszym ciągu dla tego, który ocalał?

Słychać kroki Bidane, po czym pojawia się z kopiastym talerzem fig. Nasza ostatnia wieczerza?

– Figi obrodziły w tym roku – mówi.

Koldobike bierze dwie, ja jedną. Siedzimy tak, patrząc na siebie, z owocami w dłoniach.

Czekamy, aż kobieta włoży sobie jedną do ust, żeby upewnić się, że nie są zatrute. Siedzimy we trójkę, jej dłonie leżą na spódnicy i nie widać, żeby miała zamiar sięgnąć w kierunku tacy. Koldobike zamyka oczy i gryzie owoc. Ja robię to samo z moją figą.

– Toż ptaszki jedzą więcej od was – uśmiecha się Bidane. Jest nam głupio i zjadamy figi, nawet prosimy o dokładkę. – Chciałam was czymś poczęstować, bo została nam jeszcze graciarnia.

Mój Boże. Strata czasu, i po co, żebyśmy uwierzyli w kłamstwo. Chociaż, patrząc na Bidane, jej dramatyczną powagę, nikt by się tego nie domyślił.

– Graciarnia?! – wykrzykuje. – Nikt nie włamuje się do domów przez graciarnię!

Bidane wskazuje na kopę fig na stole i tłumaczy:

– W południowym murze Zumalabeny mamy osiem figowców, których gałęzie sięgają aż po dach, wiatr nimi porusza i kruszą się dachówki, a w deskach powstają dziury. Trzeba rzucić okiem.

Dlaczego nie poprosiła Eladia, żeby rzucił okiem? Myślę, że werdykt Koldobike byłby następujący: „Sam, ona boi się za nich dwoje”.

Lampa naftowa Bidane idzie parę kroków przed nami, do naszych uszu dociera symfonia, mole zamieszkują swoje konserwatorium. Światło lampy naftowej nie dochodzi nawet z daleka do krańców graciarni, ale głuche echo naszych kroków każe mi wierzyć, że znajdujemy się na ogromnym strychu. Nie przesadzam, och, nie: pamięć wszystkich przodków została zdeponowana w tym mnóstwie starych przedmiotów, których nikt nie będzie używał, ale i nikt nie ośmiela się ich wyrzucić. Idziemy zygzakiem między nimi, w kierunku przypuszczalnych dziur w dachu. Bidane kieruje lampę naftową w jeden punkt.

– Spójrzcie tutaj – zwraca naszą uwagę. – Kałuża deszczówki, pokruszona dachówka.

– Ale w dachu nie ma dziury – wskazuję. – A nawet gdyby była, jak ktoś by się na niego wspiął, skoro jest tak wysoko?

– Po gałęziach figowców!

Ma to sens, ale w dachu nie widać żadnych ubytków. Bidane nie odpuszcza, wizja gałęzi mogących posłużyć za drabinę przekonuje ją bardziej.

– Żaden morderca nie jest na tyle głupi, żeby chować się w takiej graciarni pełnej pcheł – mówię.

– Ależ tak, żeby potem zejść i dokonać przestępstwa – zapewnia kobieta z szeroko otwartymi oczyma.

– Gdyby tu był, zszedłby, zanim tu się pojawiliśmy.

– Ciężkich przestępstw nie dokonuje się przed dziesiątą wieczorem. Zmusiliście go, żeby nie wychodził. Nie będę się upierać, ale całkiem możliwe, że jest teraz blisko nas. Tutaj jest dużo miejsc, w których można się schować. Gdy byłam mała, przychodzili moi koledzy i koleżanki i bawiliśmy się tutaj w chowanego. Często nie mogliśmy się w ogóle odnaleźć. Jest tu pełno szaf, skrzyń i innych rupieci. – Chociaż światło z lampy naftowej dociera tylko do pojedynczych, nie wątpię w jej słowa. – Najlepsze miejsce jest pod tym fotelem, szerokim i wysokim, nawet ktoś z nas mógłby się pod nim schować.

W naszych gospodarstwach nieczęsto można spotkać fotele. A ten na dodatek ma jeszcze zagłówek. Wydaje się, że nasi wieśniacy nie przywiązują odpowiedniej wagi do odpoczynku albo ogarnia ich wstyd na myśl, że ktoś mógłby ich zaskoczyć, kiedy drzemaliby sobie błogo. Mają krzesła, ławy i ławeczki i oczywiście łóżka; ale nie, na przykład, hamaki... mimo tylu figowców i jabłoni, na których można by je zawiesić. Surowe jest to nasze miasteczko, które z pracy uczyniło mistykę.

Dokładnie w tej chwili Bidane usprawiedliwia obecność fotela, zapewniając, że to prezent

od indiańskiego wujka i że wnieśli go do graciarni na strychu po śmierci babki, która prawie z niego nie korzystała.

Teraz to Koldobike i ja ruszamy z miejsca, zostawiając Bidane, która kontempluje mebel i wspomina, jak przypuszczam, swoje dzieciństwo.

Później każe mi podnosić wieka skrzyń i sprawdzić, co kryje się w ich środku, otworzyć drzwi szaf, nie tylko żeby zajrzeć, ale wręcz wejść do środka i sprawdzić, czy na pewno są puste. Ma w swojej głowie plan rozlokowania fig na zewnątrz i prowadzi mnie do miejsca, gdzie muszę sprawdzić dachówki albo zliczyć te pokruszone, wkładając ręce przez szpary albo czasami tylko palce między deski. Niebezpiecznych dziur na razie nie udało mi się zlokalizować. Czy jest tu więcej foteli, czy co chwilę przechodzimy obok tego samego? Za każdym razem Bidane wymierza mu cios ręką, żeby otrząść go z kurzu, albo wygłasza o nim jakieś stare wspomnienie, albo przesuwa go o parę centymetrów, żeby stanął w nowej pozycji. I za każdym razem robi jakiś ruch, żeby zbadać, co kryje się pod nim, albo wkładając tam nogę, albo zamierzając się kijem, albo opowiadając nam anegdotę, jak ta o pieniądzech Rządu Baskijskiego, „które *ama* schowała w skrzynce i ukryła w czeluściach fotela, kiedy weszli narodowcy”. Recytuje z emocją, po czym zastyga wpatrzona w fotel. Koldobike komentuje: „Wiele rodzin zrobiło tak samo. Umoczona gotówka”. A Bidane odpowiada: „Trzeba było tak postąpić, na wszelki wypadek, jakby udało nam się ich wyrzucić. Ale są tu nadal, jak pleśń”.

– Pieniądze są tutaj w dalszym ciągu? – pytam.

– Tak, tam na dole. – I Bidane pokazuje mi miejsce czubkiem buta.

Nie rusza się, a ja czekam, bo jestem przekonany, że wreszcie abdykuje ze swojej roli przewodnika... i mi ją odstąpi. Dlaczego? Czyżbyśmy skończyli całkowitą inspekcję poddasza i jest już zupełnie pewna, że w Zumalabenie nie ma żadnego schowanego typu, i jest tym na tyle skonfundowana, że nie wie, co z nami począć? Podejrzewam, że Koldobike doszła do tego samego wniosku, bo mówi:

– No dobrze, chodźmy już stąd, pchły wspinają mi się po łydkach.

To kolejny dobry powód, żeby zejść i odpocząć, może nawet w jakimś łóżku, przez resztę nocy. Moje nadszarpnięte ciało też tego potrzebuje. Zmiana przewodnika ma właśnie nastąpić i nie mogę przestać zastanawiać się dlaczego. Bidane zamieniła mnie i Koldobike na fotel... poza tym wpatruje się w niego z uwagą co najmniej podejrzaną. Tak bardzo ją wzrusza ten stary mebel z dzieciństwa? Ruszam, żeby stanąć między nią a meblem, starając się, żeby wreszcie się od niego odkleiła.

– Nikt nie będzie mógł mieć pretensji o to, co z niego wyciągnęłam – mówi Bidane nowym głosem.

Ma na myśli pieniądze, tę umoczoną gotówkę ukrytą w siedzisku fotela? I znowu Koldobike ubiera w słowa moje myśli:

– Na Boga, Bidane, daj już spokój z tymi umizgami. Jeśli boisz się, że faszydła znajdą te papierki, a boisz się ich tknąć, dlatego że włożyła je tam twoja *ama*, jesteśmy tutaj, żeby ci pomóc. Rozpalimy piękne ognisko w sadzie! – I posuwa się o krok w stronę fotela.

Zatrzymuje ją jednak głos Bidane:

– Zawsze mówią, że my, kobiety, nie umiemy dochować sekretu, ale nikt nie będzie mi mógł nigdy zarzucić, że ruszyłam chociażby palcem, żeby go zdradzić...

– Wydaje mi się, że ten bank musi obrabować mężczyzna – wzdycha Koldobike. – Teraz już rozumiem, dlaczego chciała, żebyś przyszedł do Zumalabeny.

Wpatruję się z uwagą w Bidane. Na jej twarzy malują się najróżniejsze uczucia, od trwogi po spokój. Jeśli ona nie chce „ruszyć chociażby palcem”... żeby zdradzić właściwie co?... ja ruszę moimi wszystkimi. Kiedyś poproszę *amę*, żeby powiedziała mi, gdzie schowała pieniądze



efemerycznego baskijskiego rządu, których też będzie się bała tknąć. Przekonuję samego siebie, że Bidane, która nic nie mówi, daje mi swoje ciche przyzwolenie.

Fotel jest małą nieatrakcyjną bryłą. Kładę go na plecach, nie puszczając oparcia, dopóki nie dotknie podłogi. Kiedy otrzepuję dłonie, unosi się z nich chmura kurzu. Drewniana skrzynka zajmuje całą wewnętrzną część siedziska, późniejszy dodatek, robota jakiejś złotej rączki z rodziny. Jest wysoka na dwie dłonie i jeśli te banknoty zajmują taką przestrzeń, respekt Bidane jest zrozumiały. Moje palce manipulują przy skrzynce – jeden z dwóch boków jest wieczkiem i daje się przesunąć. Kiedy tylko ją otwieram, momentalnie wypada z niej zawartość, tak jakby chirurg rozciął wzdęty brzuch i wylały się z niego wnętrzności, do tej pory ściśnięte w środku. Jednak zamiast wnętrzności, na podłogę wypadają łańcuchy.

## Sam zostaje sam

Łańcuchy same z siebie jeszcze o niczym nie świadczą. Ale z dziwnego sposobu zachowania się właścicielki Zumalabeny łatwo wywnioskować, że kryją jakąś wiadomość. Kazała nam obejść całe gospodarstwo, żebyśmy znaleźli się w strategicznym miejscu, przed meblem, który skrywał tę wielką nagrodę. Możemy być pewni, że łańcuchy, które przypatrują nam się z podłogi, są tymi samymi, w które zakuci byli bliźniacy, ale czy same z siebie są dowodem obciążającym? Spojrzenie Bidane każe nam tak sądzić.

Możliwe, że znaleźliśmy właśnie mordercę, ale nie pozwolę sobie jeszcze zawiesić żadnego medalu. Łańcuchy znalazły się w naszych rękach dzięki szczęśliwemu zbiegowi okoliczności. Gdyby nie ta kobieta, nie posunęlibyśmy się ani o krok.

– Nigdy wcześniej ich nie widziałas, aż do dziś?

Wróciliśmy do jadalni. Ciężki pęk łańcuchów spoczywa teraz na stole. Wydaje się, jakby żyły własnym życiem, nie przestając do mnie mówić. Co starają się mi powiedzieć?

– Nie, nigdy – odpowiada Bidane.

– Ale wiedziałas, że są w domu.

– Widziałam tylko, jak je przyniósł.

– Musiał przynieść je w nocy, w worku, po kradzieży ich z własnego sklepu żelaznego.

Wyniósł je na poddasze, żeby je ukryć. Skąd wiedziałas gdzie?

– Poszłam za nim i się domyśliłam.

– Udało ci się wejść po skrzypiących schodach, nie robiąc żadnego hałasu...

– Nie weszłam po nich, słuchałam z dołu. Doszły do mnie odgłosy szurania i byłam pewna, że przesuwają fotel. A potem zszedł, a worek był czymś napakowany.

– Banknotami. Gdzie je spalił?

– On by spalił banknoty? Wpierw by go chyba musieli obdrzeć ze skóry! Zabrał je. Nie wiem nic więcej. Wtedy weszłam na górę, otworzyłam skrzynkę... a tam były te łańcuchy, których nigdy wcześniej nie widziałam.

Zapada cisza. Ta kobieta musi przeżywać teraz coś strasznego.

– Cóż za niespodzianka! – przychodzi mi do głowy, żeby powiedzieć. – Odkryć, nagle choć niespodziewanie, że mordercą jest...!

Bidane Zumalabe uśmiecha się, zanim zanuci z domieszką bólu, smutku, a może wręcz wściekłości:

– Niespodzianka? Jaka niespodzianka?

Odwracam się do Koldobike i widzę, że jest tak samo zdumiona jak ja. Nie spodziewaliśmy się czegoś podobnego... przypuszczając, że te słowa w ogóle coś wyrażają. Biedna Bidane jest zupełnie oszołomiona. Kto by nie był na jej miejscu?

– Lepiej, żebyś przygotowała się na przyjście Eladia, który lada chwila może się tu pojawić – ostrzega Koldobike.

Patrzę na Bidane, która uśmiecha się w dziwny sposób.

– Tak, niedługo wróci – przytakuje.

– Wróci? Skąd wróci? Co robił?

– Czarny rynek.

Ze spojrzenia, które wymieniam z moją sekretarką, można odczytać jedno słowo: cieciora. Mówił nam o tym Luciano. Widocznie drugim nocnym markiem miał być Eladio

Altube.

W normalnej sytuacji w normalnym kraju udalibyśmy się do władz, na policję. Ale żyjemy w czasach krwawej dyktatury wojskowej – iść do nich z podobnym przestępstwem, a poza tym z prostackich pobudek cywilnych, do tych, którzy w dalszym ciągu rozstrzelują tysiące ludzi w więzieniach, po tym jak „pojmane i rozbrojone czerwone oddziały zakończyły wojnę” sześć lat temu?

Bez słowa, z zaciśniętymi ustami, Bidane podchodzi do stołu, żeby podnieść łańcuchy za wielką kłódkę – naprawdę ogromną! Obiema rękami bierze je ze stołu i podnosi w ten sposób, że spora ich część leży na podłodze. Unosi wyżej swoje ręce, ale to nie wystarczy. Nie wypuszczając łańcuchów z rąk, wspina się na krzesło i teraz można je wreszcie podziwiać w całej ich rozciągłości. Zwraca moją uwagę, że mają dwa końce i że jeden z nich kończy się na wysokości jej pasa, a drugi wije się nadal po podłodze. Na obu ich końcach srebrzą się małe kłódki. Jednocześnie z każdej z nich wystają krótkie kawałki, konsekwencja przepiłowania kołnierzyków, które skuwały szyje bliźniaków. Mówiąc dokładnie, dwie odnogi znacząco od siebie różne, jedna krótka i jedna długa. Zamiar kryminalny. Łańcuchy przemówiły.

Oddech Bidane przyspiesza, kiedy bierze do rąk krótszy koniec, żeby go z czułością pocałować. Spoglądam na Koldobike i widzę, że mruga ze wzruszenia.

Biorę z rąk Bidane łańcuchy i odkładam je na stół.

– Rozmówię się z nim – decyduję. – Poczekam tutaj na niego. Zdemaskuję go, a on podkuli ogon.

– Nie znasz go – mówi zatrwożona Bidane.

– Ludzie się przewracają, kiedy ziemia osuwa im się spod nóg.

– On jest przyzwyczajony do życia bez tej ziemi – zapewnia Bidane z ustami tak zaciśniętymi, że musi ją to boleć.

– Zostaję z tobą – odzywa się Koldobike, wygładzając spódnicę, nie wiem po co.

– Jak mogłabym zostawić was samych? – szepcze Bidane. – Tylko ja znam jego sztuczki.

– Trzy do jednego! – usiłuje zażartować Koldobike.

– Usiądźcie.

Proszę je o to spokojnie, spełniają moją prośbę, a ja idę w ich ślady i też siadam. W tej jadalni, w towarzystwie tylu świętych i tylu członków rodziny świętej pamięci, musimy wyglądać teraz na trójkę krewnych oplakujących zmarłego. I może właśnie tak się stanie.

– Posłuchajcie, ja puściłem w ruch całą tę maszynę. Kiedy obwołałem się prywatnym detektywem, wziąłem na siebie wszystkie konsekwencje tej decyzji, a ta jest jedną z nich. Chlebem powszednim w tego typu powieściach. To nie miała być zabawa. Pisarze dużo doskonalsi ode mnie nie uciekają przed niebezpieczeństwami, które znajdują się w innych rzeczywistościach. Wystarczy, że usiądą przed swoim underwoodem i jak z rękawa wydobywają na papier rozwiązanie. Reasumując, ja musiałem wyjść na ulicę i zejść ją wzdłuż i wszerz... Tak, tak, już kończę. – Prowokuje mnie Koldobike, która pogania mnie z niecierpliwością. – Nie mówię tego tylko dla was, ale przede wszystkim dla siebie, żebym mógł postawić się w tej sytuacji i z godnością zmierzyć się z tą próbą.

– Nie przekonałeś mnie – protestuje Koldobike. – W tym momencie jestem zamieszana w to tak samo, jak ty.

Bidane przysłuchuje się nam w milczeniu.

– W takim razie posłuchaj innego argumentu. Kiedy pewne uprzywilejowane osoby znają jakiś sekret, którego nie zna nikt inny, albo jeśli są ofiarami morskiej katastrofy, nie popełniają błędów i nie zajmują wszyscy łodzi ratunkowej, tylko się dzielą. Powód jest oczywisty: dzięki temu prawdopodobieństwo, że ktoś z nich dopłynie do brzegu, jest większe, a ten

uprzywilejowany ocali sekret. A my mamy tutaj sekret, prawda?

– A jeśli pójdziemy we trójkę? – proponuje Bidane.

W głowie Koldobike włącza się alarm. Przypuszczam, że myśli, że nie ma dobrej historii bez dobrego zakończenia. Nie chodzi o to, żeby zręcznie ukryć przed czytelnikiem najwyższe napięcie, które jesteśmy mu winni.

– Zostaję z tobą – mówi poruszona. – Tak samo jak ty wcześniej powiedziałeś, że nie mówisz tego tylko dla nas, ale przede wszystkim dla siebie, teraz ja ci powiem, że mówię mniej przez wzgląd na powieść, a bardziej dla ciebie. Nie zgodzę się na to, żebyś się poświęcał. Niech powieść diabli wezmą! Ten człowiek, który się tu pojawi, jest mordercą. Kogo ty zabiłeś? Nawet nie ustrzeliłeś żadnego ptaszka, nie masz nawet głupiej wiatrówki. A nawet gdybyś ją miał, gdzie jest teraz? W domu. Wpakowałeś się w tarapaty rodem z kryminałów, a nigdy wcześniej nie doświadczyłeś żadnej takiej sytuacji. Jedyne, co mogło cię podszkolić, to wojna, ale stwierdzono, że nie nadajesz się do walki.

– To nie policyjna akcja, tylko pojedynek.

– Między błędnymi rycerzami?

Najpierw prostuję się, a potem wstaję. Robię groźną minę. Przynajmniej mam nadzieję, że taką wyda się Koldobike.

– Mam swoje sposoby. – Wydaje mi się to idiotyczne, ale chodzi o to, że teraz nie jestem Sanchem Bordaberrim.

One też podnoszą się z miejsc. Koldobike fuka.

– Wcale mi się to nie podoba. A zwłaszcza nie podoba mi się, że Sam Esparta wystawia cię, tak jakby on sam był prawdziwy. „Mam swoje sposoby”. Co za bufon! Ale brzmi mi to tak dobrze, że myślę, że jesteśmy równie szaleni.

– Spędźcie resztę nocy w księgarni – proszę je, idąc przed nimi korytarzem. Wychodzę na próg i rozglądam się uważnie wokół, omiatając spojrzeniem sąsiadujące sady.

– Chodźmy do naszej kryjówki – mówi Koldobike, biorąc Bidane pod rękę.

Kiedy wchodzę z powrotem do domu, zastanawiam się, czy powinienem zamknąć na klucz drzwi znajdujące się za moimi plecami. Naturalne byłoby, gdyby Bidane je zamknęła, i takie właśnie powinien napotkać Eladio Altube.

A światło? Muszę przygasić lampę naftową, żeby nic go nie zaalarmowało. W jadalni moje ręce pieszczą łańcuchy i gładzą kłódki. Joseba Ermo był trzecim i ostatnim, który dotarł z piłą na skałę Felixa Apraiza – pierwszymi byli Antimo Zalla i jego syn Tomasón. Na pewno pojawił się tam kolejnej nocy, po tym, jak sędzia śledczy i policja zostawili je nierozważnie na miejscu, w najlepszym wypadku, żeby pojawić się po nie dnia następnego, albo i jeszcze następnego. Joseba Ermo zaoszczędził im jednak trudu albo przez wzgląd na swoją profesję złomiarza, albo przez swój węch do makabry i nadanie im optymalnej wartości jako przyszłego kolekcjonerskiego przedmiotu, którego cena będzie rosła z roku na rok. Zagrzebał je w piwnicy sklepu żelaznego, pod kluczem, takim zaufaniem właśnie darzył swojego współnika Eladia Altube, a ten, z pełnym spokojem, przez te dziesięć lat nigdy się nawet nie zająknął, że po drugiej stronie drzwi leżało narzędzie zbrodni. On sam tam pewnie by je pogrzebał. Nielatwo jest zniszczyć tak mocne łańcuchy. Z drugiej strony, jakie miałyby znaczenie, że pewnego dnia ujrzałyby światło dzienne? Kto, po tylu latach, miałby pamiętać, że jeden z bliźniaków ocalał, a drugi nie, dlatego że ktoś postarał się, żeby nie podzielić równo ogniwi łańcucha.

Nagle jednak zmienił zdanie. Zaczął się bać. Dlaczego, po dziesięciu latach, kiedy zdążył już nawet zapomnieć, że sam brał w tym udział, nagle się zreflektował? Wydaje mi się, że miałem z tym coś wspólnego. I Luis Federico Larrea. Ja jako ten, który nagle się włączył i wskrzesił stare morderstwo; i ten od kroków, dlatego że w końcu zgodziłby się zapłacić cenę,

którą zaproponowałyby mu Joseba Ermo, i łańcuchy opuściłyby piwnicę. Eladia Altube przeszył irracjonalny strach, stracił grunt pod nogami. Gdyby nie istniał niewygodny Samuel Esparta, łańcuchy mogłyby spokojnie udać się w podróż z piwnicy sklepu żelaznego do kazamat pałacu Luisa Federico Larrei. Ale na drodze stanąłem ja. Myszkując po sklepie żelaznym, dowiedziałem się o sprzedaży i chciałem rzucić okiem. Czy jego strach był irracjonalny? Może nie. Wiedział, że łańcuchy mogłyby opowiedzieć prawdę temu, kto by je dokładnie zbadał, bez emocji, nie w nerwach, jak Antimo Zalla i jego syn, którzy mieli z nimi do czynienia w momencie niezwykle trudnym.

Nie przestaję wpatrywać się w łańcuchy. Biorę je w obie ręce, tak jak wcześniej zrobiła to Bidane, ciągnę po blacie stołu aż do krawędzi i zsuwam je dalej, żeby zawisły. Nawet gdy podnoszę ręce nad głowę, nie udaje mi się, żeby ich koniec oderwał się od podłogi. U góry, w mojej dłoni, wielka kłódka, którą były zamocowane do skały, a poniżej, dwie mniejsze, które zamknęły kołnierzyki. Kowalom udało się je przepiłować, a Joseba Ermo na pewno noc później przeciął wielką kłódkę i zabrał sobie całość. Widzę poza tym, że ten kawałek został przylutowany do jednego z ogniw, żeby zaznaczyć, uniemożliwiając jakiegokolwiek przemieszczenie, różnicę w długości obydwu końców. To tak, jakbym czytał w otwartej książce. Dlaczego Eladio Altube nie pozbył się przynajmniej tej kłódki? I tu właśnie leży pies pogrzebany. Nawet jeśli na początku chciał to zrobić, nie mógł. Potem poczuł się bezpieczny. Aż do momentu, kiedy przeszył go strach... Dobrze myślałem – nerwy mogą okazać się zbawienne dla mojego śledztwa.

Najciekawsze jest to, że obliczeniami, które umożliwiły skoordynowanie czasu obu biegów Etxe razem z czasem podnoszącego się przyływu, mogli zajmować się trzej autorzy: kryminalista, który chciał zamordować dwojkę, bliźniacy oszuści albo tylko jeden z nich, który chciał zabić drugiego. Koronkową robotę mógł wykonać każdy z nich.

## Leonardo Altube

Budzą mnie kroki w korytarzu. Nagły przebłysk świadomości uzmysławia mi, gdzie jestem. Kiedy podkręcam lampę naftową, kroki zatrzymują się i zaczynają stąpać z większą uwagą. Mam wrażenie, że odwiedza mnie nie jedna osoba, ale dwie.

– Co ty tu robisz?

W progu stoi Eladio Altube, na jego twarzy maluje się najwyższe zdumienie.

– Hej, księgarzu. – Za jego plecami wyrasta inny głos. To Luciano.

– Co ty tu robisz? – powtarza Eladio Altube, teraz z mniejszym zdumieniem i z większą agresją.

– Dalej, odpowiedz mu, to i ja się dowiem – śmieje się Luciano.

Wstaję, a moje ręce głaszczą płataninę łańcuchów. Eladio Altube nie pokazuje po sobie, że je rozpoznaje. Prawą ręką łapię za wielką kłódkę, podnoszę ją po raz kolejny ponad stołem, ogniwa brzęczą i łańcuchy układają się pionowo. Odległość dzieląca krótszy koniec od podłogi wynosi ponad półtora metra; drugi nadal ciągnie się po podłodze. Lewą ręką poruszam zakończenia obydwu, które robiły za kołnierzyki, tak że zaczynają się kołysać. Jeśli ktoś powinien zrozumieć język tych łańcuchów, to ten mężczyzna, który stoi sparaliżowany niespełna trzy metry ode mnie.

– Urwał ci się osioł z łańcucha? – zaśmiewa się Luciano.

Łańcuchy ciągle mówią do mężczyzny, który ich użył, i wznecają w jego spojrzeniu nienawiść. Eladio Altube cały kipi ze złości. Zaczyna oddychać z rzężeniem i pocić się.

– Ty chuju! Skurwysynie! – spluwa.

Luciano wybucha śmiechem.

– Ech, daj sobie siana! Przecież tylko mówi, jeszcze nic ci nie ukradł. Prawda, że nie przyszedłeś niczego mu ukraść, księgarzu? A tak przy okazji, opowiedz nam, czemu zawdzięczamy twoją wizytę?

Obieg zamknięty między Eladiem Altube a mną wytworzył się już na samym początku i grozi eksplozją. Nasze spojrzenia nawet się nie krzyżują, tylko głośno ze sobą zderzają. Przyznaję, że czuję się, jakby mnie prześwietlał.

– Oczekujemy wyjaśnień Samuela Esparty.

Jego nagły zwrot mnie zdumiewa – w jednej chwili udało mu się ukuć to autentyczne wyrażenie.

– Chce dokończyć swoją robotę. Czekal na nasz powrót, żeby nas przesłuchać – mówi Luciano. – No dalej, zaczynaj, księgarzu.

– Co słyszać na czarnym rynku tej nocy?

– Chce na nas donieść! – ryczy Eladio. – Dlatego tu przyszedł.

– Dziesięć lat temu jeden brat zabił drugiego, a tutaj stoi ten żywy – mówię bardzo wolno. Mam nadzieję, że w powieści nie zabrzmiałoby to pretensjonalnie.

– Patrzy na ciebie! – ryczy Eladio Altube. – Przygotuj się.

– Moi rodzice nie spłodzili mi żadnego brata – zapewnia Luciano. – Patrzy na ciebie, przyjacielu. Od początku nie spuścił z ciebie oka... A więc tak wygląda koniec powieści? Mam na myśli „twoją” powieść.

– Oczywiście, powieść – mówi Eladio Altube.

– Bo moja, księgarzu, toczy się zupełnie inaczej, i zaplanowałem inne zakończenie.

– Ja, tu i teraz, piszę prawdziwe zakończenie. – I może przedwcześnie miłe łaskotanie świadczące o spełnieniu przechodzi mnie od stóp do głów, kiedy wymawiam te słowa. Nie można zaprzeczyć, że ryzykuję teraz własną skórą nie przeciw jednemu, jak planowałem, ale przeciw dwóm.

Falangista wyciera nos chusteczką, a jego oczy nabierają blasku.

– Ziarno rewelacji pojawiło się w czasie przesłuchania, któremu poddałem tego typu, który pierwszy schodzi na plażę codziennie rano... Etxe, tak?

– Eladio Altube ci odpowie – objaśniam mu. – Czekał wtedy na niego, żeby zamknąć łańcuchy na swojej własnej szyi, i tak to Etxe rozpoczął odliczanie jego alibi.

– O czym mówi ten paniczek w garniturze, którego nie ściąga nawet, żeby się odlać? – rzuca kąśliwie Eladio Altube, balansując między żartem a oburzeniem. – Tak, ten Etxe, na którego nigdy nie czekałem, tak się nazywa, Etxe.

– Zapytałem tego Etxe – ciągnie dalej niebieska koszula – co widział na plaży przed i po tym, jak odkrył na skale bliźniaków. „Nic a nic”, odpowiedział. A ja gnębię go z wyrachowaniem: „Ale mówiono mi, że pierwszy chodzisz po plaży, żeby zebrać to, co niestrudzone fale w swojej szczodrości wyrzuciły wam, tubylcom, poprzedniej nocy. Co takiego widziałeś wokół tej skały? Co zobaczyłeś na miejscu tej mroźnej krew w żyłach zbrodni?”. „Nic a nic”, powtórzył. Oburzyłem się. Kłamał. Przyparłem go do muru, stosując taktykę, której nauczyłem się od jednego sierżanta z Błękitnej Dywizji. I wszystko wyśpiewał. I jeszcze jak wyśpiewał! Widział czarny kaptur. „I dlaczego o tym milczałeś?” Tak się trząsł, nieborak, że od razu wiedziałem, że to on był przestępcą. Zobaczyłem to tak wyraźnie, wszystko stało się jasne jak słońce. Tak wyglądała jego robota – skrył się pod kapturem, żeby uderzyć, a potem skuć łańcuchem swoje ofiary; nieokiełznane morze w czasie przyływu posłużyło za kata. W tym czasie, chcąc odwrócić od siebie podejrzenia, najspokojniej udał się, żeby odnaleźć mężczyzn z kuźni Wulkana. Wrócił wcześniej, niż to sobie skalkulował, i przekleństwo! Jedna z ofiar nadal żyła. Ale było za późno, żeby temu zaradzić... Taką wersję zacząłem pisać nocą. Wyszła mi scena jak z filmu, jak z niemieckiego kina. Reszta śledztwa to była czysta formalność. Każdy uczy się narracyjnych sztuczek w trakcie pracy. Kolejny dowód na nieczystość gatunku narracyjnego, poezja nie zna bowiem granic...

Nawet na chwilę nie spuściłem z oczu Eladia Altube w trakcie kłapania dziobem tego obłąkańca. Nie poruszył się, ani jednego grymasu. Powinien był się roześmiać chociaż raz, przynajmniej na pozór, ale w tym momencie nie jest mu do śmiechu. Może wierzy w potencjał tego nonsensu, który został nam właśnie przedstawiony. Powinien mnie wyśmiać, wiedząc, że jest chroniony przez falangistę, którego ma za współnika.

– Tyle wdzięczenia się z powodu jednego nieboszczyka – wzdycha niebieska koszula.

– Mamy dwie wersje tej samej sprawy. Z każdej z nich można zrobić powieść.

– Tylko jedna byłaby prawdziwa.

– Do której rzeczywistości należą te łańcuchy? Znaczą coś?

– Eladio Altube zamordował nimi swojego brata.

– Wałac w niego łańcuchami?

Dogłębnie mu to wyjaśniam. Falangista odwraca się do Eladia.

– Nic nie powiesz?

– To wariat! Czyżbyś go nie słyszał? Nie wie, jak skończyć robotę, w którą się wpakował po dziurki w nosie, choć nikt go o to nie prosił, i wymyślił wszystko, żeby mnie udupić. Za kogo on się ma, za Boga? Dlaczego wybrał sobie właśnie mnie? Spójrz na tego buca, co udaje jaśnie pana. Buc! Jak stąd zaraz w podskokach nie pryśniesz, to ci nogi z dupy powyrywam! Poza tym, jak się dostałeś do mojego domu? Okłamując moją żonę? Gdzie ona jest? Poszukajmy jej ciała.

– Poczekaj, poczekaj... Jeśli trzeba kogoś sprzątnąć, jestem do dyspozycji... Pytanie nie brzmi: czy zabiłeś, czy nie zabiłeś? Guzik mnie to obchodzi, ale czy rzeczywistość jest taka, że zabiłeś, czy rzeczywistość jest taka, że nie zabiłeś? Jak może nazywać się rzeczywistym zdarzenie, że ty nie zabiłeś? Wersje rzeczywistości dają się widzieć i słyszeć, jeśli ich nie widać ani nie słyhać, to ich nie ma. Te łańcuchy widać i jeśli nimi potrząśniemy, to będzie je słyhać. Te łańcuchy, które nam tutaj przyniósł księgarz, są najbardziej rzeczywistą rzeczą, którą można rzucić sobie w twarz. Jego zdaniem, szyje dwóch osób były do nich przywiązane, twoja i twojego brata. To wymysł księgarza, tak czy nie?

Eladio Altube zwleka, zanim ciężko kiwnie głową. Stara się zabić mnie wzrokiem. Od kiedy przyszedł, nie robi nic innego. W tej scenie występuje dwóch przeciwników: on i ja. Trzeci robi tylko hałas.

– Twój brat wyzionął ducha na tej skale, a ciebie wyciągnęli z połową oceanu w płucach, ale żywego. Co się stało? Zwykły błąd? Czyj? Tego czerwonego separatysty, który was przywiązał? Czy to może nie był błąd?

Eladio Altube waży dobrze słowa:

– Sam to właśnie powiedziałeś – ledwo uszedłem z życiem przed skurwysynem. Los musiał wybrać między moim nieszczęsnym bratem a mną...

– Z tego, co widzę i rozumiem, udało ci się, bo twój łańcuch był dłuższy... a i tak okazał się za krótki! Komuś coś nie wyszło – mówi falangista.

Niespodziewanie Eladio Altube obraca się przeciwko niemu:

– Wierzysz temu wariatowi? Kurwa mać! Niezłego skurwysyna mam za przyjaciela!

– Nie bój się, piszę tylko powieść, w której gdzieś czai się morderca. Spokojnie, chłopcze. Tak na koniec, rzeczywistość wskazuje na ciebie czubkiem sztyletu, ty będziesz czarnym charakterem, tak, ale tylko w powieści. Nie zamierzam cię wpakować za kratki.

Co on sobie myśli? Że może wykorzystać rzeczywistość, żeby się jej potem pozbyć? Ten parweniusz nic w dalszym ciągu nie zrozumiał. Chociaż wszystko to jest dla mnie bardzo cenne, włączając zagrożenie, jakie stanowi ten falangista, który teraz jeszcze kieruje się sprawiedliwością, a który opowie się po stronie Eladia Altube, kiedy tylko zrozumie, że nie potrzebuje więcej materiału powieściowego.

– Zapytaj swojego współnika, czy widział wcześniej te łańcuchy. Okłamię cię i powie, że nie. Wówczas zapytaj go, kto schował je w rupieciarni na strychu w tym gospodarstwie zaraz po wykradzeniu ich z własnego sklepu żelaznego.

– Gdzie jest moja żona?

Bardziej niż pytanie jest to żalony lament. Eladio Altube rzuca się na korytarz, wykrzykując jej imię, sprawdza we wszystkich pokojach i wraca z przerażeniem malującym się na twarzy.

– Zdradza cię z księgarzem? – śmieje się falangista.

– Po prostu uciekła. Przed tobą. – Wskazuję na bliźniaka, podnosząc łańcuchy. – Wie, że zamordowałaś swojego brata. Łańcuchy mówią nam to samo.

– Pieprzeni powieściopisarze! – ryczy Eladio Altube. – A co powiecie na moje piekło, kiedy ciągnąłem łańcuch, żeby móc się wydostać z morza, które podnosiło się i podnosiło? Czy to też nie jest pieprzona rzeczywistość?

Brzmi to zupełnie nie na miejscu, nie powinien wspominać o swoim alibi. Dlaczego to zrobił? Należałoby przypuszczać, że przez te dziesięć lat starał się wymazać ze świadomości – musimy mu ją przyznać – wszystko to, o czym mówiło się w Getxo, dwie części jego alibi: tę uosobioną przez niego i tę sfalszowaną przez koleje losu, które sprawiły, że stała się nieprzewidywana. I w ten sposób mógł uwierzyć w interwencję takich sił, jak przeznaczenie,



fatum, bogowie albo Bóg, przerzucając na którąkolwiek z nich całą odpowiedzialność.

Nie, nie powinien był o tym wspominać. Albo tak, przyjmując, że z winy buca znalazł się w krytycznej sytuacji. Musi być naprawdę zdesperowany, jeśli sięgnął po to alibi, które nigdy nie potrzebowało rzeczników, dlatego że zawsze mówiło samo za siebie. Dzięki niemu żył dziesięć lat. Ale teraz czuje, że ziemia pod nim drży, i zaczyna podejrzewać, że jego dobra wróżka, to alibi, dopełniła swojego żywota i nie ma żadnego innego pod ręką, tak więc teraz musi wymyślić naprędce nowe.

– Jak mam cię przekonać, że ja też miałem zginąć tamtej nocy? Wiesz, że zabrakło odrobiny – sekunda dłużej i wyciągnąłbym kopyta.

Getxo zawsze o tym wiedziało i nie ma potrzeby tego podkreślać. W jadalni robi się przeciąg przez przyspieszony oddech należący do Eladia Altube.

– Ale nie dali ci tej sekundy dłużej – mówię – więc jej nie wykorzystuj, dlatego że nawet w snach o niej nie myślałeś. Twój rachunek czasów zatrzymywał się dużo wcześniej... A właśnie, moje najszczerze wyrazy uznania za błyskotliwe alibi... zwłaszcza że teraz jesteś już jego jedynym piewcą. Do tej pory wydawało mi się, że plan wymyśliły dwa mózgi. Jedna zasługa więcej.

Eladio Altube robi parę kroków w kierunku swojego towarzysza i łapie go obiema rękami za gors koszuli, żądając od niego:

– Zabierz mi go z oczu!

Falangista wyswobadza się z jego uścisku. Bawi go ta scena, czuje się ponad nią.

– Chciałbyś, żebym go zabił, prawda? – pyta z dostateczną antypatią. – Mógłbym to spokojnie zrobić, obraża cię. Ale czy byłoby to dobre dla powieści? Nie przestałoby być realnym wydarzeniem, a przez to nieodzownym. To, co wydarza się na naszych oczach, jest rzeczywistą materią. Nie jest tak, księgarzu? Ty giniesz, a ja kontynuuję powieść. Napiszę, że drugi detektyw chybił celu, źle wycelował, a ja mam Etxe, prawdziwego mordercę. Więcej stron, większe zagęszczenie. Z drugiej strony włączenie trupa nie zrobi krzywdy żadnej powieści kryminalnej.

– Jeden detektyw zabija drugiego? Bardzo oryginalne.

– Nie zginąłby od kuli, a zmarł na zawał, za dużo emocji – najpierw oskarża, a potem, kiedy musi przelknąć swoją porażkę... Za dużo wzruszeń jak na wrażliwca.

– Musiałbyś skłamać, wymyślić. A czy nie boisz się fantazjowania? Splugawiłbyś całe opowiadanie.

– Pamiętaj, księgarzu, że jestem też poetą. Rozwiązałbym całą tę sprawę samotnym wierszem nieznanym granic.

Unoszę ciężkie łańcuchy jak najwyżej, na tyle, na ile pozwala mi długość ramion.

– To jest prawdziwy koniec powieści! Niech będzie przeklęta!

Mój krzyk zagłusza chrapliwy krzyk Eladia Altube:

– Zabij go!

Jedynym, który wydaje się zachowywać przytomność umysłu, jest uśmiechnięta niebieska koszula.

– Z drugiej strony, księgarzu, jak zamierzasz się zmierzyć z tą sytuacją? Jesteś bezbronny niczym baranek. Po pierwsze, mamy tutaj twoje słowo przeciwko jego. Prawdziwy detektyw nigdy nie rzuciłby tak ciężkiego oskarżenia, nie mając dowodów. Gdzie one są? Pokaż mi chociaż jeden, a postawię na twoją powieść. Po drugie, nawet gdyby w cudowny sposób znalazł się ten dowód, jak poradziłbyś sobie z oskarżonym? Rękami? Gołym okiem widać, że Eladio jest silniejszym facetem od ciebie, poza tym nie utyka.

– Właśnie, tylko spróbuj, skurwysynie!

Ich ciężar parę minut temu sprawił, że musiałem odłożyć łańcuchy na stół. Czy są

decydującym dowodem? Czy powinienem przypuszczać, że coś mam, czy że są tylko poszlakami? Iloma? Mówią, że jedna poszlaka jest tylko poszlaką; że dwie poszlaki to tylko dwie poszlaki, ale że trzy poszlaki są już dowodem.

– Nie przejmuj się, księgarzu, zastąpię cię w śledztwie. Będzie powieść. A ty też weźmiesz w niej udział jako trup.

– Co zrobisz, kiedy wpadniesz na to, że za wszystkim stoi Eladio Altube, a na pewno tak się stanie? – Są to tylko słowa, nie jestem ze stali tak jak oni. Teraz to ja zapominam o łańcuchach.

– Nieźle nas nabrałeś, skurwysynie! – śmieje się odmieniony Eladio Altube. – Nie ma żadnego, kurwa, dowodu, dlatego że nie może go mieć! Jestem czysty!

Potrzebuję czasu, żeby zamienić te poszlaki w dowód.

Milcząca postać zarysowuje się nagle w progu drzwi. Muszę się mocno skoncentrować, żeby powitać Bidane Zumalabe. Jak weszła? To jej dom, ma klucz. Co tu robi? Kazałem im obydwu... Co tu robią? Za nią stoi Koldobike. Przemknęły po korytarzu jak duchy.

– Mam dowód – słyszę Bidane Zumalabe. Jej głos nie jest stanowczy, a taki pasowałby ujawnianej rewelacji.

– Tak, ma dowód – zapewnia Koldobike. Ona, owszem, mówi ze stanowczością. I dodaje: – To bardzo odważna kobieta.

Jedynymi słowami, na jakie czeka cały świat, są słowa Bidane Zumalabe. Za jej plecami, jakby chroniąc ją, Koldobike daje mi znak, który niezbitnie wyraża: „Usłyszysz teraz prawdziwą sensację”.

– Niech poruszy uszami – mówi delikatnie jaśnie pani Zumalabeny. – Niech poruszy uszami.

To powtórzone zdanie można by wziąć za dowcip, gdyby nie potworne spustoszenie, jakie maluje się teraz na twarzy Eladia Altube.

– Dlaczego nie poruszysz uszami, jeśli jesteś tym, za kogo się podajesz? – Kobieta zatrzymała się dwa kroki od mężczyzny i wydaje się całkowicie opanowana. – Jeśli nie poruszysz uszami, nasi goście pomyślą, że jesteś Leonardem. On też nie potrafił, pamiętasz?

Co to za bzdury?... Ale nagle docierają do mnie jej słowa i mnie porażają. Leonardo! Wstrząs jest tak wielki, że czuję się, jakby ktoś powiesił mnie do góry nogami. Bliźniacy, martwy i żywy, doskonale alibi... robota tego żywego, który stoi przede mną? Którymkolwiek byłby z tej dwójki, nie potrafi poruszać uszami, jego przerażone oczy się do tego przyznają. W takim razie musi być tym drugim. A ten, który się utopił, to ten.

Ruszające się uszy Eladia Altube! Wielu w Getxo nigdy tego nie widziało, ale słyszało: napinał mięśnie twarzy, a uszy poruszały się jak za sprawą lekkiego powiewu wiatru. Dowód, który znajdował się tutaj przez dziesięć lat! Dlaczego nigdy się tym nie zainteresowaliśmy? To proste, dlatego że nikt nie podejrzewał fałszywego Eladia.

Eladio Altube – w dalszym ciągu wydaje mi się niemożliwe, żeby nazwać go Leonardem, nie tylko dlatego, że to wymaga czasu, ale też przez zamierzony plan zdarzeń, który powinien skrupulatnie zostać doprowadzony do końca opowiadania – macha rękami w powietrzu. Ponieważ nie może poruszyć uszami, porusza całym ciałem i kręci się dookoła własnej osi, aż znajduje się na środku pokoju. Patrzy na nas wszystkich patetycznie, domagając się naszej uwagi, i wystawia przed nami monodram o człowieku, który dał rozkaz wszystkim swoim mięśniom, żeby poruszyły uszami. Jego determinacja jest tak szaleńcza, że mięśnie, poczynając od stóp, zaczynają popychać go całego do góry – albo tylko tak mi się wydaje – aż następuje kolizja z tymi od uszu, żeby wybudzić nas z letargu, który trwał... ile lat mają bliźniacy? Wydaje się, że Eladio nie potrzebował takiej gorliwości, żeby pokazać swoją ekscentryczność.

Dowód? Nawet sędzia by go uznał. Chociaż łańcuchy byłyby bardziej definitywne – skupiają ponad trzy poszlaki. Spoglądam na falangistę, ale nie udaje mi się odgadnąć, jakie myśli krążą w tych oczach, które mrugają. Jedyne, co wydaje się żywe w bliźniaku, jest hałaśliwe unoszenie się i opadanie jego klatki piersiowej. Jeśli zanotowałbym, że on i Bidane Zumalabe wpatrują się w siebie, byłoby to wyłącznie bladym odbiciem całej tej sytuacji. Cóż za wstrząsająca wymiana! Jak żyli przez te dziesięć lat? Kto oszukiwał kogo? Czy ten żywy bliźniak był pierwszym narzeczonym Bidane czy drugim? Czy zaplanowali wspólnie śmierć drugiego bliźniaka i w takim razie należałoby wziąć pod uwagę, że kobieta odegrała ważną rolę w zaplanowanym alibi?

Udziela mi się niestety szok tej chwili, prawda powinna być czystsza. Kontemplujemy, na przykład, kobietę, która sekunda po sekundzie rozkłada na czynniki pierwsze mężczyznę, z którym dzieliła małżeńskie łóżko przez tyle lat. Wyzbywa się swojej odwiecznej pogody ducha, musi teraz spłacić stary dług. Czy możliwe, żeby z innej okazji poprosiła go o poruszanie uszami, podejrzewając oszustwo?... Czy byli do siebie aż tak podobni, nawet dla niej?... Albo tylko przez kaprys? A on, to jasne, nie potrafił.

W tej scenie jest tyle napięcia, że zwierzęce warczenie mężczyzny brzmi jak naturalny dodatek:

– Zabij pajaca!

Rzuca się na Bidane Zumalabe i zaciska swoje łapska dookoła jej szyi. Z ust kobiety wydobywa się jeden jęk, ale natychmiast zostaje zwalczony przez to dzikie zwierzę. Koldobike rzuca się na niego, kopie i wymierza ciosy mężczyźnie, który działa na poważnie. Ona przed nim klęczy, a on zaciska i zaciska. Kiedy chcę interweniować, staje mi na drodze niebieska koszula, jego pistolet na moich nerkach.

– Zabij go! – wyje bliźniak.

Staram się, mimo wszystko, dotrzeć do tej trójki, ale lufa pistoletu wbija się coraz mocniej w moje ciało.

– Uduś ją! – stwierdzam idiotycznie to, co niezaprzeczalne, i zawierzam bardziej rozpaczliwemu błaganiu, które moja twarz kieruje do niebieskiej koszuli. Widzę, jak porusza głową, nie przestając patrzeć na mnie z zacięciem, i myślę, że stara się powiedzieć mi coś w stylu: „Przykro mi, księgarzu, tak się rzeczy mają”. Ale słyszę coś innego:

– Ta scena będzie dużo trudniejsza do opisania, niż myślałem.

Moje nerki uwalniają się od ucisku, niebieski sięga pleców bliźniaka, lufa jego pistoletu opiera się przez chwilę na nieświadomym niczego karku, po czym huk wystrzału spowija jadalnię ciemnością. Szczególna cecha tego domu.

## Epilog

To był jeszcze tylko jeden nieboszczyk. Cywilne protokoły zostały spreparowane przez wysoko postawionych ludzi reżimu i ustanowiono oklepane: tutaj nic się nie wydarzyło. Ciało Leonarda zostało wydane jego rodzicom pod prawdziwym imieniem. Ja wolałbym zataić prawdę, taniec tożsamości, nasz sekret znały jedynie trzy osoby, świadkowie zdarzenia: Koldobike, niebieski i ja sam. Dla Bidane Zumalabe nie było niespodzianki. Jeśli o nią chodzi, należało tylko ustalić, w którym momencie jej narzeczeństwa czy już małżeństwa z Leonardem spostrzegła, że wyszła nie za tego, za którego chciała, czym za chwilę podzieli się z nami, z Koldobike i ze mną.

W każdym razie mój pierwszy impuls, żeby zataić prawdę, zderzył się z posuwającą się naprzód rzeczywistością – powieścią. Trzeba było przygotować się na najgorsze, a więc że zostanie kiedyś opublikowana. A w tym wypadku, naturalnie, wszystko wyszłoby na jaw. Może nie było to szlachetne z mojej strony, żeby podnieść powieść do rangi sędziogo. Bidane Zumalabe wybrałaby cenzurę czy było jej wszystko jedno, że Getxo uzna ją za głupią, albo nawet gorzej? Nie dałem jej możliwości wyboru.

Na cmentarzu w La Galea, obok trumny pierwszego bliźniaka, grabarz Gabino Perurena miał zarezerwowane, na prośbę ojca Roque Altube, miejsce dla drugiego. Chciał on, żeby bracia zostali pochowani obok siebie, tak jak żyli, bo o tym, co zdarzyło się na końcu, wolał myśleć jak o złym śnie. Bidane Zumalabe interweniowała tylko dwa razy: po raz pierwszy, kiedy poprosiła Roque Altube, żeby pochował Leonarda w jakimkolwiek innym miejscu na cmentarzu – prośba, którą ojciec zrozumiał i spełnił; drugą prośbę usłyszał Gabino Perurena – miejsce obok Eladia, które się zwolniło, potrzebowała dla siebie. Powiedziała bez ogródek, po prostu, że potrzebuje go dla siebie, kiedy nadejdzie ten dzień, żeby wynagrodzić sobie ich dziesięć lat rozłąki.

Dziesięć dni po tym wszystkim Koldobike zaproponowała, żebyśmy udali się pieszo do Zumalabeny.

– Po co?

– Byłoby dla niej dobrze, gdyby miała przez chwilę towarzystwo.

– Towarzystwo?

Tak naprawdę mi też brakowało jakiegoś zakończenia. Nie byłoby to nic wielkiej wagi, naturalnie, w tych okolicznościach... Bidane Zumalabe i Leonardo Altube: jak to z nimi było? Czy przypadkiem nie należała nam się prawda?

Nie, nikt nie miał prawa grzebać w ich prywatnych sprawach... obojętnie, jak mało czy dużo fermentu by wydzielaly. Mimo to sześliśmy sobie, Koldobike i ja, starając się przekonać samych siebie, że kierowało nami zwyczajne ludzkie współczucie.

Nie chcieliśmy nawet komentować tej naturalności, z jaką nas wykorzystala.

– Zrozumiała, że żona nie powinna demaskować własnego męża – powiedziałem – i zrzuciła to na nas. Przekonała nas, że odczuwa wielki niepokój, że martwi się o jego bezpieczeństwo... ale to ona w rzeczy samej stanowiła dla niego zagrożenie! Zaprowadziła nas tam, gdzie znajdowały się łańcuchy, i poprosiła, żebyśmy to my świętokradczymi rękoma wyjęli ze skrzynki z fotela pieniądze Baskijskiego Rządu. Ale, jasna sprawa, nie było żadnych pieniędzy, tylko łańcuchy... Zauważyłaś, czy na jej twarzy pojawiło się zdumienie? Na pewno nie. Parę sekund wcześniej przestała udawać...

Nagle dopadają mnie wspomnienia, analizuję je w ciszy i Koldobike pyta mnie, o czym myślę.

– Nie rozmawiałem wiele z Bidane, ale nigdy, przenigdy nie wypowiedziała imienia „Eladio”. Zawsze „mąż”. To się nazywa szacunek dla litery prawa i odrzucenie

sprzeniewierzenia... ile lat po ślubie? Czy powinniśmy nadal uważać, że nie należała nam się prawda?

Czekała na nas? Z trudem przyszłoby mi powiedzieć, że nie. Przy wejściu widzimy trzy krzesła, te same, które parę dni wcześniej znajdowały się u niej w jadalni. Bidane nie tylko nas oczekiwała, ale widać było, że zaproponowane przez nią spotkanie nie ma nic wspólnego z etykietą – przywilej ten doceniliśmy w całej krasie.

Czuliśmy strach przed słowami, nawet przed powitaniem, i możliwe, że wymieniliśmy tylko szept. Krzesła ustawione były na planie trójkąta, tak usiedliśmy. Wyobraziłem sobie, że brak stołu na środku będzie lepszy dla zwierzeń. Długa cisza, która zapadła, zanim Bidane wypowiedziała pierwsze słowa, nie była niewygodna.

– Mogłam żyć z kopią. – Czyżby tym słowom towarzyszyło coś podobnego do uśmiechu? Tak, starała się wprowadzić bardziej swobodną atmosferę przez odrobinę humoru, chociaż jej oczy mówiły nam o walce wewnętrznej, którą toczy, jeszcze na szachownicy. – Kiedy przyjąłem Leonarda, wiedziałam, że nie jest Eladiem, ale wiedziałam też, że jest najbardziej do niego podobnym człowiekiem, jakiego kiedykolwiek znajdę. Nie wstydzę się mówić czegoś tak błahego, dlatego że taka jest prawda, tak czułam. Zrobiłam to z miłości. Byłoby po myśli Eladia, że Leonardo zajął jego miejsce, że został moim narzeczonym, a później mężem, kiedy jego zabrakło. Usłyszałam to przy pewnej okazji. Byli bardzo zżyci. Poza tym Leonardo też był we mnie zakochany, też mnie kochał. Wszystko było pobłogosławione przez miłość. Szukałam niemożliwego cudu. Nie wiedziałam, co zrobić ze swoim bólem...

Jej słowa są za bardzo wyrafinowane. Nie przypuszczam, żeby wymyślała je na poczekaniu, muszą być owocem długoletniego procesu, w trakcie którego starała się je upiększyć albo chociaż uczynić znośnym czas, który będzie trwała naprawa. Powtarzała je sobie przez te długie dziesięć lat: „Wszystko pobłogosławiła miłość. Wszystko pobłogosławiła miłość”. I obserwując Bidane Zumalabe, nikt nie miał żadnych wątpliwości, żadnych.

Koldobike i ja przysłuchiwaliśmy się jej w milczeniu, tak że w końcu poczułem się na siłach, żeby ośmielić się i zapytać, co nim powodowało, żeby zabić – czy to, że stał się jedynym właścicielem wszystkich dóbr, czy to drugie, miłość? Ja sam nie miałem żadnych wątpliwości. Ale to ona znowu zabrała głos i udzieliła nam odpowiedzi:

– Byli braćmi, współnikami, wyglądali tak samo, może wcale nie mieli tyle pieniędzy, ile wszyscy myśleli, ja sama nigdy się tego nie dowiedziałam, nawet będąc żoną jednego z nich. Ale jedno jest pewne, nieważne czy mieli dużo, czy mało, cieszyli się nimi razem, nie umieli tego robić pojedynczo, jeden bez drugiego. Nie byli dwoma osobami, stanowili jedność.

– A ty też jesteś jedna. – Głos Koldobike wdarł się niby sztylet.

– Tak, jedyna w życiu, którą nie mogli się podzielić – przyznała Bidane Zumalabe, kiwając głową, a kosmyk blond włosów opadł na jej lewe oko, ale była tak zatopiona we wspomnieniach, że nawet tego nie zauważyła. – Powiem wam coś niezwykle ważnego... Tak, wiedziałam za kogo wychodzę za mąż, ale rok wcześniej zdarzyło mi się, że przez parę godzin nie byłam pewna. Jakie ważne okazały się później te godziny! Tego koszmarne ranka Lucio Etxe pojawił się w domu, żeby zaprowadzić mnie do Eladia. Tylko żeby mnie zaprowadzić, nie usłyszałam żadnych wyjaśnień. Znalazłam narzeczonego siedzącego w jego kuchni, owiniętego kocem i płaczącego. Zapytałam go, co się stało, a on powtarzał tylko raz za razem: „Utopił się obok mnie i nie mogłem nic dla niego zrobić”. Nikt nie był w stanie nic więcej z niego wydusić. Zapytałam o to samo Lucia Etxe, a on odwrócił się do mnie plecami. I pomyślałam, że jeśli Eladio mówił o kimś, kto utopił się tuż obok niego, a na miejscu nie było Leonarda, to znaczy, że topielcem musiał być Leonardo. Chociaż nie musiało tak być. Usiadłam obok niego, przytuliłam go i pocałowałam. Biedak cały się trząsł i płakał. Kiedy jakiś czas później dowiedziałam się, że

to nie był Eladio i że go zabił, zastanawiałam się, czy te łzy były szczere. Ale dlaczego miałyby nie być? Tak bardzo kochał brata, którego zabił! A teraz posłuchajcie mnie dobrze: nigdy nie kochałam mojego Eladia bardziej niż na te parę godzin wcześniej, zanim dowiedziałam się, że to nie był on. Trzymałam w ramionach ciało, które siedziało na krześle, całowałam je, nasze usta wymieniły z tysiąc pocałunków... A biedny głupi Lucio Etxe rozglądał się dookoła, żeby tylko nie patrzeć w naszą stronę... Ale musiałam wrócić do Zumalabeny, żeby wydoić krowy, a później kiedy już rozniosłam mleko, położyłam się, żeby uciąć sobie drzemkę. I nie spałam nawet dziesięciu minut, kiedy nagle obudziłam się i wykrzyknęłam: „To nie Eladio!”.

– Uszy! – wskazała Koldobike.

– Nie. We śnie przypomniały mi się pocałunki Eladia i porównałam je z tymi, którymi właśnie przed chwilą okryłam jednego z bliźniaków, i krzyknęłam znowu: „To Leonardo!”. Pobiegłam do Berango, ale dom był już dla mnie zamknięty. I nie widziałam go przez cały rok. Ten bliźniak bał się mieć mnie blisko siebie, bał się, że odgadnę prawdę. A ja przychodziłam prawie codziennie i stawałam w drzwiach jego domu, a on tylko wychylał głowę przez okienko, żeby wymamrotać słowa, których nie rozumiałam. Znudziło mi się tam przychodzić, ale nie przestawał krążyć mi po głowie cały ten galimatias i zastanawiałam się, dlaczego nikomu nie powiedziałam o tym, o czym wiem... Tak minął rok, aż jak mi się wydaje, pomyślał, że ja już zapominałam o różnicach, które ich dzieliły. I wtedy wyszedł z ukrycia i porozmawialiśmy o ślubie.

Zrobiła przerwę i chociaż mogłoby się wydawać, że chciała zaczerpnąć oddechu, poświęciła ją na wpatrywanie się w nasze twarze, by sprawdzić, jakie wrażenie wywarła na nas wiadomość o ślubie. Dzisiaj ta kobieta nadal żyje i ma przed sobą jakąś przyszłość, i chce wiedzieć, na jaki osąd zasługuje narzeczona, która wychodzi za mąż za jednego mężczyznę z miłości do drugiego. Jeżeli tak zrobiła, to znaczy, że dla niej miało to sens. Ale jeśli tak było, to teraz cała sprawa wymykała się spod kontroli i po raz pierwszy została narażona na zuchwały obiektywizm.

Poszukałem oczu Koldobike, ale ich nie znalazłem. Chciałem jej powiedzieć, żeby nic nie mówiła, żeby nie zadała jej ani jednego pytania. Koldobike powinna bezwzględnie wierzyć, że ból był znakiem opatrności.

– Nasze spotkanie w kuchni i mój krzyk, z którym się obudziłam, dzieliło sześć godzin – ciągnęła Bidane Zumalabe z przejmującym spokojem. – Przez te sześć godzin czułam Eladia, mimo że całowałam się z Leonardem... I nie chciałam go już nigdy więcej stracić! Sześć godzin, w czasie których zamknęłam oczy i kurczowo trzymałam się błędnego uczucia, sześć godzin, w czasie których poczułam, że zamiana jest możliwa. Jestem przekonana, że to samusieńki Pan Bóg podarował mi te sześć godzin. I to Jemu zawdzięczam osiem szczęśliwych lat.

Cisza.

– Osiem lat? – odezwała się nagle Koldobike.

Bidane Zumalabe miała rację, byli małżeństwem nie dziesięć lat, tylko mniej niż dziewięć.

– Aż on się domyślił, że znam prawdę, i wówczas zobaczył we mnie jedyną osobę na świecie, która wiedziała, co zaszło na plaży tamtej nocy. „Co teraz zrobisz?”, zapytał mnie. „Nic”, odpowiedziałam. „Pójdiesz z tą historyjką na policję?”. Zapewniłam go, że nie. I mi uwierzył, bo mijały miesiące, a ja nie puściłam pary z ust. Nie miałam po co, od początku milczałam, dla mnie nic się nie zmieniło. Uspokoił się. To ty zburzyłeś jego spokój, Samuelu Esparta.

– Ale jak odkrył, że wiedziałaś, że nie był Eladiem? – chciała dowiedzieć się Koldobike. I ja też.

– Pewnego dnia zawołałam go z daleka i mnie nie usłyszał. Kiedy podeszłam do niego, pociągnęłam go za jedno ucho, mówiąc mu, że jest głuchy jak pień i że słyszałby lepiej, gdyby poruszał uszami do przodu i do tyłu, a on już nie żartował, kiedy spojrzał na mnie groźnie. Ja też na niego spojrzałam i powiedzieliśmy sobie wszystko oczami. I tak w ten głupi sposób dowiedział się, że ja wiedziałam... A ty, Samuelu Esparto, robiłeś dużo hałasu, więc on zaczął się denerwować i wykradł łańcuchy, które ukrył w starym fotelu w rupieciarni – może żeby mnie nimi zabić na tej samej skale Felixa Apraiza, dlatego że byłam jedyną osobą na świecie, która знаła jego sekret. Wiem, że zabiłby mnie w końcu.

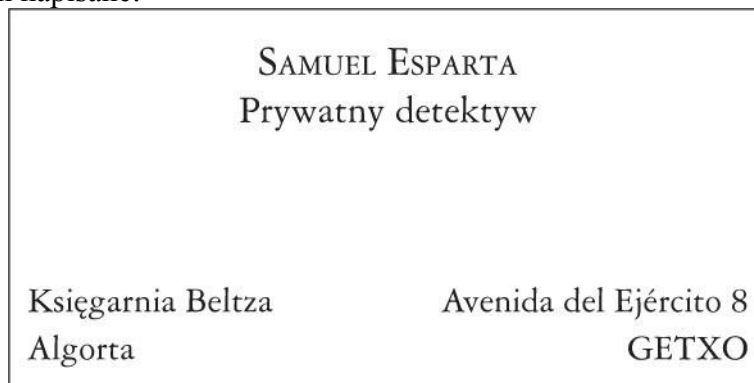
Nie mogłem dłużej wytrzymać i zapytałem, jak sobie to wszystko wymyśliła.

– Żona zna wiele sekretów męża, ponieważ słyszy, jak w niektóre noce mówi przez sen – wytłumaczyła Bidane Zumalabe, nie zwracając uwagi na moją uszczypliwość. – Nie miałam innego wyjścia, musiałam go wydać. Stałam się dla niego zagrożeniem, które nad nim zawisło. A dla mnie ta rola była torturą. Chciałam i jednocześnie nie chciałam go wydać. I przyszłam do was. Sami wiecie: rzucić kamieniem i schować rękę za siebie. – Oddycha głęboko. – Ale teraz już wszystko się skończyło.

Kiedy opuszczaliśmy Zumalabenę, dotarły do nas jej ostatnie słowa z bramy:

– Ale kochał mnie. Zabił z miłości.

Koldobike wkłada mi do ręki maleńkie kartonowe pudełko. Otwieram je, są to karty wizytowe. A na nich napisane:



Biore jedną z nich i obracam w palcach. A kiedy tak ją podziwiam, nie odczuwając nic specjalnego, wydaje mi się, że słyszę uszczypliwy głos mojej sekretarki:

– Wiesz, co ci powiem, Sam?

Ale nie słyszę, co mówi dalej, bo moje myśli zaczynają krążyć wokół wszystkich niezwykłych miejsc i historii, do których może mnie zaprowadzić wizytówka taka jak ta.